



Psy czynią nas ludźmi  
(przysłowie aborygeńskie)



## Spis treści

<b>Przedmowa</b>	13
<b>Antologia</b>	45
<b>Zwierzęta dają do myślenia i dziwią</b>	47
Sam jesteś psem, H. Ch. Andersen	49
Śmierć zwierząt, S. Morawski	50
Brak zwierząt, J. U. Niemcewicz	52
Brak ptaków, A. E. Odyniec	53
Szczurzy sabat, Deotyma	54
Fauna Araukanii, I. Domeyko	55
Zwierzęta Kirgizów, E. Ostrowski	59
Zwierzęta w cyfrach, E. Ostrowski	63
Stepowe zwierzęta, E. Ostrowski	65
Zwierzęta nad Wołgą, E. Ostrowski	67
Zwierzęta na Kamczatce, J. Kopec	68
Wilk nie do oswojenia, <i>Elementarz dla dzieci polskich</i>	70
Latające ryby, I. Domeyko	71
Jaskółka, J. Michelet	73
Ptaki na Atlantyku, I. Domeyko	75
Ziemia!, J. Gordon	76
Wielka ropucha, I. Domeyko	77
Ptasie rozmowy, E. Felińska	78
Czyż grzechotnik nie jest lepszy od ludzi?, J. Gordon	79
Żmija, A. E. Odyniec	81
Jaszczurki stepowe, E. Ostrowski	82
Głosy natury, A. E. Odyniec	83
Zwierzę w człowieku, A. E. Odyniec	84
Człowiek i królowie zwierząt, I. Domeyko	85
Arka na Niagarze, J. Gordon	86

Czarny pies, M. Gorecka	88
Uratowany zając, A. E. Odyniec	90
Mały niedźwiadek, E. Felińska	91
Fałszywy niedźwiedź, fałszywy lew, E. Felińska	93
Niedźwiedź albo biała kobyła, A. Fredro	97
Odgryziony palec, A. Fredro	99
Kangury, A. E. Odyniec	100
Koniki polne, M. Gorecka	103
Robaczek świętojański, A. E. Odyniec	104
Inwazja mrówek, A. E. Odyniec	105
Łańcuch życia, M. Gorecka	106
Po co Bóg stworzył komary?, A. E. Odyniec	108
Komary, E. Ostrowski	110
Szarańcza, E. Ostrowski	113
Skorpiony i tarantule, E. Ostrowski	114
<b>Zwierzęta dotrzymują towarzystwa i dają rozrywkę</b>	115
Zęby Brylanta, E. Felińska	117
Szczygły w klatce, E. Felińska	119
Papuga, A. E. Odyniec	120
Królik z czerwonymi oczami, M. Gorecka	121
Kurze historie, M. Gorecka	122
Wiewiórka w Collège de France, M. Gorecka	123
Wspominane zwierzęta, A. E. Odyniec	125
Koty Oleszkiewicza, S. Morawski	127
Koty Oleszkiewicza 2, A. E. Odyniec	131
Koty arcybiskupa, A. E. Odyniec	133
U kotów na obiedzie, A. E. Odyniec	135
Rozmowy z psem, J. U. Niemcewicz	137
Bulldog Bauzer, A. E. Odyniec	138
Telasko, A. E. Odyniec	139
Psia krew, J. N. Kurowski	141
Gołębie na placu świętego Marka, A. E. Odyniec	143
Białe myszki, G. Puzynina	145

Konie i psy na spacerze, A. E. Odyniec	146
Polowanie na lwy, I. Domeyko	148
Leonero, I. Domeyko	152
Polowania na susły, E. Felińska	156
Wyścigi koni, A. E. Odyniec	158
Wyścigi u Kirgizów, E. Ostrowski	160
<b>Zwierzęta karmią, ubierają i transportują</b>	167
Konie w śniegu, E. Felińska	169
Lustra w stajni, E. Felińska	173
Deresz dereszowaty, A. Fredro	174
Klacz szpakowata, A. Fredro	175
Klacz angielska, A. Fredro	176
Śmierć konia, A. Fredro	178
Konie pocztowe, A. Fredro	179
Właściwy dosiad, A. Fredro	180
Kłusaki, E. Ostrowski	182
Łowienie koni, E. Ostrowski	184
Hipocentaur nowożytny, T. T. Jeż	186
Rany pod siodłem, A. Fredro	187
Pod siodłem, J. N. Kurowski	189
Podkowy z ocelami, J. Grabowski	191
Konie zimą, J. U. Niemcewicz	192
Gwóźdź w kopycie, J. N. Kurowski	193
Zbyt ciasna stajnia – guzy w łokciach, J. N. Kurowski	194
Nie bać się konia, A. Fredro	196
Ucieczka koni, T. T. Jeż	198
Osiół, A. E. Odyniec	199
Marynarze na wielbłądach, E. Ostrowski	201
Psi zaprzęg, J. Kopeć	202
Folwark bez krów, E. Felińska	204
Mądre krowy, E. Felińska	205
Pasienie wieprzów mięsem, J. Lipowski	208
Czym zastąpić mleko?, J. Lipowski	209

Oswojone bawoły, A. E. Odyniec	210
Wielbłądy, A. E. Odyniec	211
Weterynarze, E. Ostrowski	213
Dżabaga, E. Ostrowski	214
Owce kirgiskie, E. Ostrowski	215
Muzyka pasterska, E. Ostrowski	217
Konie i bydło kirgiskie, E. Ostrowski	219
Arystokracja wieprzowa, J. Gordon	221
Skrzydółko kurczęcia, K. Hoffmanowa	223
Kury po węgiersku, T. T. Jeż	224
Mięso końskie, T. T. Jeż	225
Pasztet z gęsich wątróbek, A. E. Odyniec	226
Co jedzą mieszkańcy Kamczatki?, J. Kopec	228
Psie mięso, J. Kopec	232
Życiodajne guano, J. Kopec	234
<b>Ogłoszenia drobne i listy</b>	121
Ogłoszenia	121
Listy, A. Mickiewicz	121
Listy, J. Słowacki	121
<b>Wykaz źródeł</b>	267
<b>Spis ilustracji</b>	273

## Przedmowa

Ucisz w sobie człowieka, a pielęgnuj  
zwierzątko [...].<sup>1</sup>

Zwierzęta przyglądają się nam od zawsze. Były bowiem tutaj, w świecie – wcześniej, są od ludzi bytowo starsze. Poprzezdzają nas, o czym przypomina biblijny opis stworzenia, ale także odkrycia biologów i paleontologów. Na ten fakt wskazał także Jacques Derrida w zbiorze pośmiertnie wydanych tekstów zatytułowanym *L'animal que donc je suis*<sup>2</sup>, rozgrywając tę uprzedniość za pomocą finezyjnej zabawy z francuską homonimiczną formą „suis”, równocześnie pozwalającą myśleć o „byciu zwierzęciem” i „podążaniu za nim”. Wyłoniliśmy się zresztą niejako z relacji z nimi. A na pewno blisko niej sytuuje się język, który w sposób przedziwny oddziela nas i zarazem łączy z nie-ludzkimi braćmi. Jak pisze bowiem teoretyk patrzenia, John Berger, w tekście o symptomatycznym tytule *Po cóż patrzeć na zwierzęta?*:

To, co odróżniało człowieka od zwierząt, to ludzka zdolność myślenia symbolicznego, zdolność nierozłącznie związana z rozwojem języka, w którym słowa były nie tyle sygnałami, co znakami czegoś innego niż one same. Niemniej pierwszymi symbolami były zwierzęta. To, co odróżniało ludzi od zwierząt, zrodziło się z ich wzajemnego związku.<sup>3</sup>

Na zwierzęce źródła języka ludzkiego wskazywał także dużo wcześniej August Wilhelm Schlegel, pisząc, że „pierwszy język mógł

---

1 A. Mickiewicz, *Do Stefana Garczyńskiego*, Paryż, [8 kwietnia] 1833, w: *Listy. Część pierwsza 1815–1829*, Dzieła, t. XIV, oprac. M. Dernałowicz, E. Jaworska, M. Zielińska, Warszawa 1998, s. 199.

2 J. Derrida, *L'animal que donc je suis*, édition établie par M.-L. Mallet, Paris 2006.

3 J. Berger, *Po cóż patrzeć na zwierzęta?*, w: tenże, *O patrzeniu*, przeł. S. Sikora, Warszawa 1999, s. 14. Podkr. B. M.-F.



być bezładną mieszaniną krzyku i śpiewu”<sup>4</sup>. Zwierzęta na sposób realny, ale także magiczny czy religijny zapraszały do rozmowy, mówiąc w nas i do nas jednocześnie. Nieprzypadkowo pewnie prehistoryczne, paleolityczne malowidła zdobiące ściany jaskini w Lascaux przedstawiają przede wszystkim wielkie ssaki kopytne: jelenie, byki, żubry, konie, reny, co świadczy o sile oddziaływania na ludzką wyobraźnię, ale także o mocy ich obecności w życiu pradawnych zbieraczy i łowców. Oczywiście, nigdy zapewne nie były to relacje harmonijne i opowieść o tzw. tubylczej mądrości<sup>5</sup> można właściwie włożyć między bajki, gdyż na pewno zawsze kontakty zwierzęco-ludzkie stanowiły dla obu stron poznawcze i egzystencjalne wyzwanie. Piotr Cieślikowski, recenzujący książkę Elizabeth Kolbert *Szóste wymieranie. Historia nienaturalna*, pisze:

Miło jest wyobrazać sobie, że w dawnych czasach człowiek żył w harmonii ze sobą i z naturą. W rzeczywistości nigdy tak nie było. To pradawni myśliwi i zbieracze wprowadzili pierwsze ogromne zmiany w środowisku.

Jeszcze pod koniec ostatniej ery lodowcowej ogromne zwierzęta występowały we wszystkich częściach świata. W Europie żyły nosorożce włochate i niedźwiedzie jaskiniowe, tury, jelenie olbrzymie, hieny jaskiniowe, na Cyprze – słonie i hipopotamy karłowate,

4 A. W. Schlegel, *Briefe über Poesie, Silbermass und Sprache*, w: *Sämtliche Werke*, Hildesheim, New York 1971, s. 118. Cyt. za: B. Andrzejewski, *Przyroda i język. Filozofia wczesnego romantyzmu w Niemczech*, Warszawa–Poznań 1989, s. 75.

5 „Biogeografowie wykazali, że animistyczne ludy Polinezji, rozprzestrzeniając się na terenach Pacyfiku, wytępiły niemal jedną trzecią wszystkich gatunków ptaków występujących na świecie. Biorąc pod uwagę psychiczną jednorodność rodzaju ludzkiego, można z powodzeniem założyć, że ludzie zawsze bywali sprytni i zachłanni, a także inteligentni i altruistyczni, wobec tego, jak dowodzi Jared Diamond, cnota ekologiczna albo śmiercionośność istot ludzkich to konsekwencje szczególnych biogeografii, spłotu przypadków związanych z konkretną drogą rozwoju kultury i, w pewnym stopniu, przyrostu naturalnego oraz charakteru rozwoju technologicznego. Aż do początków ery nowoczesnej w niewielu społecznościach występowała potrzeba formułowania idei ekologicznych, a tam, gdzie była taka potrzeba, brakowało systematycznej wiedzy na temat natury, żeby takie idee mogły powstać”. J. Fiedorczuk, *Wywiad z Gregiem Garrardem*, w: *taż, Cyborg w ogrodzie. Wprowadzenie do ekokrytyki*, Gdańsk 2015, s. 216–217.

a w Ameryce – mastodonty, mamuty, wielkie wielbłądy, bobry wielkości współczesnych niedźwiedzi grizzly, olbrzymie leniwce ważące blisko tonę, wielkie pancerniki. W Australii mieszały diprotodony – torbacze wielkości nosorożców, lwy workowate wielkości tygrysa i kangury osiągające wysokość 3 m.

Co się stało z tymi wszystkimi gigantycznymi zwierzętami, tzw. megafauną? Wyginęły w ciągu tysiąca lat po pojawieniu się człowieka. Wszędzie tam, gdzie archeologowie znajdują pierwsze ślady człowieka, zaraz potem znika wielka fauna. Słowem, pożarliśmy je.<sup>6</sup>

Dzisiejsza perspektywa oglądu zwierzęco-ludzkich spraw, silnie uwarunkowana narastającym kryzysem ekologicznym, sprawia, że na epoki wcześniejsze spoglądamy z troską, szukając w nich źródeł współczesnych problemów, korzeni pogłębiającego się impasu. Wiek dziewiętnasty myślany z tej perspektywy okazuje się czasem szczególnie ciekawym. Wtedy właściwie wszystko to, co dziś nas przeraża, się zaczyna. I wprawdzie ludzki „atak na biosferę”<sup>7</sup> rozpoczął się dużo wcześniej, to jednak zmiany zachodzące w wieku XIX będą miały nieporównywalny z niczym dotąd znanym charakter. Jürgen Osterhammel napisze nawet, że właśnie wtedy:

[...] człowiek dramatycznie zwiększył kontrolę nad zasobami naturalnymi. Wszystkie te procesy kontynuowały również trendy rozwojowe zapoczątkowane we wcześniejszych epokach. To oczywiste, że industrializacja stwarzała niesłychane dotąd obciążenia dla środowiska naturalnego, kreowała zupełnie nowe obszary popytu na wytwory Ziemi i wyposażała człowieka w technologie, które nadawały jego ingerencjom w naturę nieznaną dotąd siłę oddziaływania. Jednak bardzo często jedynie modyfikowała dawniejsze procesy.<sup>8</sup>

<sup>6</sup> P. Cieślowski, *Zostało nam parę sekund*, „Książki. Magazyn do Czytania” 2016, nr 3, s. 16.

<sup>7</sup> Termin Jürgena Osterhammela. Zob. tenże, *Podbój środowiska naturalnego: atak na biosferę*, w: tenże, *Historia XIX wieku. Przeobrażenie świata*, redakcja naukowa i posłowie W. Molik, przeł. I. Drozdowska-Broering, J. Kałużny, A. Peszke, K. Śliwińska, Poznań 2013, s. 496.

<sup>8</sup> Tamże, s. 497.

Narastające w dużym tempie uprzemysłowienie przekształca nie tylko przestrzeń, co objawia się postępującym wylesieniem<sup>9</sup>, melioracją terenów bagiennych i torfowisk<sup>10</sup> oraz w konsekwencji wypieraniem niektórych gatunków z ich naturalnych siedlisk. Zmienia się także rola, jaką pełnią zwierzęta wcześniej udomowione, a często nawet ich fizjologia, gdyż modyfikacji podlega ich funkcja i warunki, w których przychodzi im żyć. Narastający impet, z jakim człowiek uderza w środowisko, otrzymał swoją naukową nazwę, którą zawdzięczamy amerykańskiemu biologowi Eugene'owi F. Stoermerowi, a także laureatowi Nagrody Nobla, holenderskiemu chemikowi badającemu zmiany w ziemskiej atmosferze Paulowi Crutzenowi:

W 2000 roku Crutzen i Stoermer przekonywali, że epoka geologiczna, w której żyjemy, powinna być określana mianem antropocenu, ponieważ ludzka działalność od czasów rewolucji przemysłowej zmieniła oceany, atmosferę i powierzchnię Ziemi w stopniu porównywalnym do kataklizmów naturalnych determinujących poprzednie ery geologiczne. Crutzen i Stoermer przypominają, że w ciągu ostatnich trzystu lat liczba ludności na naszej planecie zwiększyła się dziesięciokrotnie, czemu towarzyszył równie intensywny wzrost liczebności bydła. Od 30% do 50% powierzchni ziemskiej uległo przetworzeniu w wyniku aktywności takiej jak rolnictwo czy przemysł. Szacuje się, że na skutek ludzkich działań gatunki zwierząt na niektórych obszarach Ziemi wymierają tysiąc razy szybciej, niż miałyby to miejsce bez ludzkiej interwencji. Należy do tego dodać zwiększoną obecność siarkowodoru, węglowodorów i dwutlenku węgla w atmosferze, a także zmiany w cyklu geochemicznym dużych zbiorników słodkowodnych.<sup>11</sup>

---

<sup>9</sup> „Szacuje się, że około połowa połaci leśnych wykarczowanych pod uprawę od początków rolnictwa została wylesiona w wieku XIX”. J. Osterhammel, *Podbój środowiska naturalnego: atak na biosferę*, s. 498.

<sup>10</sup> „We Francji już około 1860 r. wszystkie większe obszary bagienne były osuszone i przekształcone w pastwiska, co bogącemu się społeczeństwu pozwoliło zwiększyć spożycie mięsa”. Tamże, s. 516.

<sup>11</sup> J. Fiedorczuk, *Cyborg w ogrodzie*, s. 11.

Przywołani naukowcy datowali początek antropocenu na koniec XVIII wieku<sup>12</sup>, a cytowany już przeze mnie John Berger zauważył nawet, iż właśnie od wieku XIX rozpoczyna się proces znikania zwierząt z naszego życia<sup>13</sup>, wynikający z dramatycznego zerwania z „tradycjami, pośredniczącymi wcześniej między człowiekiem i naturą”<sup>14</sup>. Pierwotnie, niejako u zarania – „zwierzęta zamieszkiwały z człowiekiem w samym centrum jego świata”<sup>15</sup>, od wieku XIX, a może nawet od kartezjańskiego zrównania ciała/zwierzęcia i maszyny<sup>16</sup> aż po rozwinięty kapitalizm postępuje ich wypieranie z relacyjnego centrum i sytuowanie w przestrzeni produkcji, rozrywki oraz podszytej kompensacją – przyjemności. I wcale nie chodzi o zmniejszającą się ich liczbę, bo choćby intensywna hodowla byłaby stanowiąca skutek rosnącego popytu na mięso i mleko dowodzi czegoś zupełnie innego. Ważniejsze wydaje się istotowe przesunięcie w obrębie relacji z człowiekiem, który przestaje patrzeć zwierzętom w oczy, a zaczyna traktować je wyłącznie przedmiotowo, nie tylko hodując je i zjadając, ale także podziwiając w cyrku,

---

12 P. Crutzen, E. Stoermer, *The Anthropocene*, „Global Change Newsletter” 2000, nr 41/1, s. 17–18.

13 „W ciągu ostatnich dwóch wieków zwierzęta stopniowo znikły z naszego życia. Dziś żyjemy bez nich”. J. Berger, *Po cóż patrzeć na zwierzęta?*, s. 17. Anna Barcz również wskazuje na wiek XIX jako czas ujawniający z zupełnie nową siłą problematyczność relacji człowieka z przyrodą. Zob. A. Barcz, *Realizm ekologiczny. Od ekokrytyki do zookrytyki w literaturze polskiej*, Katowice 2016, s. 13.

14 Tamże, s. 7.

15 Tamże.

16 „I tak samo jak zegar sporządzony z kóelek i ciężarków niemniej dokładnie zachowuje wszelkie prawa natury, gdy jest źle wykonany i wskazuje fałszywe godziny, jak i wtedy, gdy pod każdym względem czyni zadość życzeniu twórcy – tak samo rzecz się ma, gdy rozważam ciało ludzkie jako pewien mechanizm tak urządzony i złożony z kości, nerwów, mięśni, żył, krwi i skóry, że gdyby nawet nie było w nim żadnego umysłu, to jednak miałyby wszystkie te same ruchy, które teraz się w nim odbywają nie z nakazu woli, a więc i nie pochodzą od umysłu”. R. Descartes, *Medytacje o pierwszej filozofii. Zarzuty uczonych mężów i odpowiedzi autora. Rozmowa z Burmanem*, przeł. M. i K. Ajdukiewiczowie, S. Świeżawski, I. Dąbska, Kęty 2001, s. 98.

zoo<sup>17</sup> czy na safari lub skazując na bycie zabawką do towarzystwa, której depresję leczy się podobnie jak ludzki egzystencjalny smutek. Oczywiście, równocześnie należy z mocą podkreślić rolę romantycznego namysłu nad przyrodą, który w zupełnie inny niż oświeceniowy sposób stawia problem relacji ze sferą nie-ludzką, akcentując wagę współodczuwania oraz semiotycznej wymiany ufundowanej na czytelności wszechświata i interpretacyjnych kompetencjach ludzi, o czym w *Uczeniach z Sais* pisze Novalis:

Różnymi drogami chodzą ludzie. Kto prześledzi je i porówna, ten zobaczy, że układają się w przedziwne figury; figury, które zdają się należeć do owego tajemnego pisma, jakie dostrzegamy wszędzie: na skrzydłach ptaków, na skorupkach jaj, w chmurach, w płatkach śniegu, w kryształach i skamielinach, na zamrożonych wodach, we wnętrzu i na powierzchni gór, w roślinach, w zwierzętach i ludziach, w gwiazdach na niebie, na plastrach smoły i szklanych szybach, kiedy dotykamy ich i je gładzimy, w opiłkach układających się wokół magnesu oraz w osobliwych przypadkach i zbiegach okoliczności. W nich, jak przeczuwamy, tkwi klucz do tego cudownego pisma, w nich kryje się jego gramatyka [...].<sup>18</sup>

Romantyczne wyczulenie na mowę wszechświata stoi w pewnej sprzeczności z narastającym równocześnie postępowaniem technologicznym, który przyczyniał się coraz intensywniej do dewastacji środowiska, ale także przekształceń w obrębie ludzko-zwierzęcych relacji. Pewne ich formy podlegać musiały postępującej marginalizacji, wynikającej z szybko następujących zmian. Nowe środki transportu powoli wypierały z przestrzeni miejskiej konie, mityzacji, a tym samym marginalizacji podlegały też dotychczas hołubione rasy psów myśliwskich, zastąpione przez psy do zabawy

<sup>17</sup> Nieprzypadkowo pewnie pod koniec XVIII i w pierwszej połowie XIX wieku powstają trzy najważniejsze europejskie ogrody zoologiczne: w Londynie – w 1828 roku, w Paryżu – w 1793 i w Berlinie – w 1844 roku. Zob. J. Berger, *Po cóż patrzeć na zwierzęta?*, s. 29.

<sup>18</sup> Novalis, *Uczeniowie z Sais. Proza filozoficzna – Studia – Fragmenty*, wybrał, przełożył, wstępem i przypisami opatrzył J. Prokopiuk, Warszawa 1984, s. 49. Podkr. B. M.-F.

i towarzystwa, krowy powoli zaczynały stawać się maszynami do produkcji mleka i mięsa, a kury robotami wytwarzającymi jajka.

A ponieważ ważne w kontekście zwierzęcym wydają się wszelkie symbole, warto przywołać trzy nazwiska, które dziwnym trafem łączy problem animalnego skrzyżowanego z cywilizowanym. To Leo Marx, Adam Mickiewicz i Jules Michelet, każdy z nich w inny sposób przedstawiający temat „zwierzęta w pierwszej połowie XIX wieku”, jednak najciekawsze wydają się przecięcia ich trajektorii. Pierwszy z wymienionych, amerykański uczonej zajmujący się wpływem nowych technologii na kulturę w XIX i XX wieku w Ameryce, kręgom zorientowanych ekokrytycznie badaczy dostarcza dowodu, że początku końca pastoralnego mitu należy upatrywać właśnie w wieku XIX. W książce z 1964 roku *The Machine in the Garden. Technology and the Pastoral Ideal in America* opisuje moment, w którym 27 lipca 1844 roku Nathaniel Hawthorne, sąsiad Emersona i Thoreau, osoba, której Herman Melville zadedykował *Moby Dicka* – odnotował w swoich zapiskach naruszenie spokoju leśnego otoczenia przez gwizd zbliżającego się pociągu. Tym sposobem zburzona została przednowoczesna osobność natury i kultury/technologii, zmieniając się w hybrydyczną, trudną do opisania jedność, z którą borykamy się do dziś:

On the Morning of July 27, 1844, Nathaniel Hawthorne sat down in the woods near Concord, Massachusetts, to await (as he puts it) 'such little events as may happen'. [...] But, hark! There is the whistle of the locomotive – the long shriek, harsh, above all other harshness, for the space of a mile cannot mollify it into harmony. It tells a story of busy men, citizens, from the hot street, who have come to spend a day in a country village, men of business; in short of all unquietness; and no wonder that it gives such a startling shriek, since it brings the noisy world into the midst of our slumbrous peace.<sup>19</sup>

---

<sup>19</sup> „Rankiem 27 lipca 1844 roku Nathaniel Hawthorne usiadł w lesie blisko Concord (w stanie Massachusetts), by oczekiwać (jak mówi) «takich małych wydarzeń, jakie mogą się zdarzyć». [...] Ale, uwaga! Słychać gwizd lokomotywy – przeraźliwie długi

W tym samym roku, a w życiu nie ma przecież przypadków, cztery miesiące wcześniej (19 marca 1844 roku) w Paryżu – Adam Mickiewicz kierował do publiczności wykładów poświęconych literaturze słowiańskiej pytania brzmiące nadzwyczaj aktualnie, a dotyczące związków człowieka „z całym królestwem zwierzęcym i roślinnym”<sup>20</sup>. Wyzyskując kolonialne schematy, w jakie ubrać można by relacje ludzi i zwierząt<sup>21</sup>, autor *Pana Tadeusza* wątpił w postęp w zakresie etycznych powinności względem nie-ludzkich bliźnich<sup>22</sup>. W miejsce naukowego, obiektywizującego i zimnego dystansu proponował współodczuwanie oraz sięgnięcie po stare intuicje tych, którzy zawsze żyli blisko zwierząt, nie potrzebując skalpela i wyrafinowanych naukowych technik, by udowodnić coś, co Mickiewicz nazywał duchem, a dzisiejsi naukowcy – psychiką czy świadomością<sup>23</sup>. Sto sześćdziesiąt dwa lata przed Derridą dostrzega, iż namysł filozoficzny nie radzi sobie z tym, co zwierzęce („W całym steku pisaniny nowożytnej filozofii nie znajdujemy w tym przedmiocie nic prócz niejasnych formułek”<sup>24</sup>), a tak

---

gwizd, niebywale przykry, którego nawet przestrzeń mili nie potrafi złagodzić. Opowiada historię zajętych mężczyzn, biznesmenów, obywateli z rozgorączkowanej ulicy, którzy spędzili dzień w wiosce, w oderwaniu od wszelkiego niepokoju; nic dziwnego, że [lokomotywa] wydaje z siebie taki przerażający wrzask, ponieważ przynosi hałaśliwy świat do środka naszego rozspanego spokoju” (przekład – B. M.-F.); L. Marx, *The Machine in the Garden. Technology and the Pastoral Ideal in America*, London and New York 1964. Cyt. za: *The Green Studies Reader. From Romanticism to Ecocriticism*, ed. L. Coupe, with a foreword by J. Bate, New York 2000, s.104.

20 A. Mickiewicz, *Wykład x (Mistrz)*, w: tenże, *Literatura słowiańska. Kurs czwarty*, Dzieła, t. XIV, przeł. L. Płoszewski, Warszawa 1998, s. 120.

21 „Człowiek [...] nadal sprawuje swą królewską władzę nad niższymi stworzeniami niczym królikowie murzyńscy i wodzowie dzikich plemion, którym nie przychodzi na myśl, że ich poddani mogą mieć także jakieś prawa”. Tamże.

22 „Czy jesteśmy obecnie bardziej oświeceni niż starożytni co do wzajemnych obowiązków i praw, jakie powinny istnieć między człowiekiem a zwierzęciem?” Tamże.

23 „Trzeba tedy zacząć od współodczuwania z tymi, których położenie i obowiązki pragniemy poznać [...]”. Tamże, s. 121. Historia idei na naszych oczach zatacza koło i dzisiejsi badacze nie-ludzkich światów znów sięgają po pojęcie ducha zwierząt, w nieco innym jednak niż romantycy sensie. Zob. P. Wohlleben, *Gdzie tkwi dusza?*, w: tenże, *Duchowe życie zwierząt*, przeł. E. Kochanowska, Kraków 2017, s. 332–335.

24 A. Mickiewicz, *Wykład x (Mistrz)*, s.121.

naprawdę istotną kwestią dotyczącą braci mniejszych nie jest problem ich rozumności, ale cierpienia<sup>25</sup>, czyli reakcji na ból, którą wykazują już najprostsze organizmy. Posiłkując się parafrazą tekstu Emersona (*History*), Mickiewicz pytał w sposób tak dosadny, jakby w profetycznej wizji przewidywał dzisiejsze humanistyczne mody, a nade wszystko problemy, z jakimi boryka się ludzkość XXI wieku:

O filozofowie! badacze gwiazd, czyście śledzili bieganie tam i z powrotem szczurów krążących pod waszą podłogą? Ależ przypatrzcie się trochę ruchom jaszczurek igrających na murze, zbadajcie mech, który depczecie stopą, i powiedzcie mi, jakie moralne dane, jakie głębsze wiadomości macie o historii królestwa zwierząt, równie, a może bardziej starożytnego niż królestwo rasy kaukaskiej? [...] Potarzamy: Rzym i Rzym, Paryż i Londyn. Ale ów stary Rzym, cóż on wiedział o szczurach i jaszczurkach?<sup>26</sup>

Przywołane pytania dekonstruują przekonanie o większej ważności ludzkiej historii, więc podają także w wątpliwość kształt hierarchii, zgodnie z którą koroną stworzenia obwołał się człowiek. Czyżby więc to nie kto inny, tylko ocytany Mickiewicz dokonał skutecznego zamachu na humanizm i antropocentryzm? I co paradoksalne, choć jednocześnie arcylogiczne – uczynił to z wnętrza antropocenu? Uprawiając literaturoznawstwo porównawcze, a zarazem konstruując mitologię słowiańszczyzny, wykładowca Collège de France sięgnął do tradycji chrześcijańskiej, z jej opowieściami o świętych takich jak Franciszek czy dwóch Antonich (Pustelnik i Padewski), którzy mieli niecodzienne relacje ze zwierzętami<sup>27</sup>, a także do biblijnych scen ukazujących jakąś dziwną – z punktu

25 Również Derrida, sięgając po myśl angielskiego prawnika Jeremy'ego Bentham'a, zapyta o cierpienie zwierząt: „Peuvent-ils souffrir? demandait simplement et si profondément Bentham”. J. Derrida, *L'animal que donc je suis*, s. 48.

26 Tamże, s. 122.

27 „Czytam w swoim brewiarzu, że kiedy święty Antoni [Pustelnik] umarł na pustyni, przybyły w nocy lwy i wygrzebały jamę, w której towarzyszył go pochował. Kiedy święty Antoni Padewski kazał, zwierzęta nadstawiały uszu i widziano, jak przyplływały ku niemu ryby. [...] Święty Franciszek z Asyżu, wielki cudotwórca, z jakąż miłością mówił



widzenia hierarchicznego układu ludzie/zwierzęta – ekonomię. Najczęściej przecież przywoływany bywa poemat o stworzeniu świata na dowód jego antropocentrycznej skazy, tymczasem Mickiewicz przypomina przedziwny przypadek osłicy Balaama, która widziała to, czego nie dostrzegał podróżujący na niej prorok (Lb 22,21–35), oraz narodziny Chrystusa, którego witały na świecie właśnie zwierzęta, wyprzedzając w tym ludzi. Równocześnie wskazuje na szczególność literatury słowiańskiej, której „pieśń gminna jest niemal cała wypełniona rozmowami zwierząt i roślin”<sup>28</sup>. Józef Bachórz, pisząc o leksyce zwierzęcej poety, tak zinterpretuje wykład z 19 marca 1844 roku:

[...] w idei ducha zwierząt bez trudu zauważymy kontynuację spirytualizmu Naturphilosophie Schellinga i żarliwie odnowione przekonanie wczesnych „naturalistów” romantycznych o autonomii przyrody. Odnajdziemy więc swego rodzaju zwieńczenie naturocentryzmu, którego podstawy w literaturze przedlistopadowej budowali towarzyszący narodzinom romantyzmu entuzjaści Schellinga (na przykład Mochnacki). Mickiewicza jednak ku temu zwieńczeniu prowadziła od początku – niesprzeczna z kierunkiem schellingianizmu – jego własna droga. Ta, po której idąc, zabierał z sobą „domowe” podania – jakby księgę puszczę litewskiej z jej mądrymi prawami i tajemnicami – i nasłuchiwał chrobotać kołatka w kantorku oraz rozmyślał o dziwnych a dramatycznych rolach ludzi i zwierząt na polowaniach. Z tych doświadczeń i rozmyślań wyprowadzał parokrotnie, a u kresu swej drogi już nader wyraziście, wnioski o konieczności rozumienia i nowego poszanowania natury w ogólności, świata zaś zwierząt w szczególności, które po latach współbrzmiały z refleksjami rzeczników zdecydowanej obrony przyrody przed zaborczością człowieka.<sup>29</sup>

o ptakach i zwierzętach; nazywał je zawsze swymi braciszkami, siostrzyczkami!”. Tamże, s. 125.

<sup>28</sup> Tamże.

<sup>29</sup> J. Bachórz, O „zwierzyńcu” A. Mickiewicza (*rekonesans wstępny*), w: *Literacka symbolika zwierząt*, red. A. Martuszevska, Gdańsk 1993, s. 109–110.

Nadzwyczajna aktualność pomysłów poety wydaje się nieomal profetyczna w stosunku do pomysłów Derridy, Agambena czy Haraway. Zastanawiające wydaje się także to, że równocześnie na tej samej uczelni wykładał Jules Michelet, o którym Tadeusz Sławek napisał, że „to nie tylko największy historyk romantyczny, ale i pisarz usiłujący znaleźć słowo dla twórców natury pozbawionych języka. W 1861 roku ukazuje się jego *Morze*, w 1867 *Owad*. Cztery lata wcześniej w domu na przylądku Heve, koło Havru, Michelet przygotowuje do druku manuskrypt książki pod tytułem *Ptak (L'Oiseau)*”<sup>30</sup>. Ta ostatnia książka, już w 1859 roku przetłumaczona na język polski przez Wincentego Stępowskiego, zastanawia swoją myślową świeżością, tak jakby Michelet przewidział dzisiejsze marzenia o przekroczeniu antropocentrycznych ograniczeń i spotkaniu ze zwierzęciem na innych niż ludzkie zasadach. We wstępie autor pisze:

Ile możliwości szukając w ptaku tylko ptaka, unikam analogii ludzkiej. Wyjąwszy dwa rozdziały, jest ona napisana, jak gdyby był tylko ptak, jak gdyby człowiek nigdy nie istniał. Człowiek! spotykaliśmy się już z nim dosyć gdzie indziej. Tutaj przeciwnie, pragniemy pewnego odosobnienia od świata ludzkiego, głębokiej samotności i pustyni bezludnej. Człowiek nie żył bez ptaka, który tylko może go obronić od owadu i płazu, lecz ptak żył bez człowieka. Człowiekiem więcej, człowiekiem mniej orzeł zarówno królował na swym tronie Alp. Jaskółka nie zaniedbywała swej corocznej wędrówki. Fregata nieobserwowana tak samo bujała nad samotnym Oceanem. Nie oczekując słuchacza w człowieku, słowik w lesie bezpieczniej śpiewał hymn swój wzniosły. Komuż? Tej, którą kochał, swemu plemieniu, drzewom lasu, sobie samemu na koniec, jako najczulszemu słuchaczowi.<sup>31</sup>

Mickiewicz i Michelet (oraz Edgar Quinet) to ci profesorowie Collège de France, których wykłady przyciągały największą liczbę

<sup>30</sup> T. Sławek, *Ornit(e) ologia*, „FA-art” 1994, s. 37.

<sup>31</sup> J. Michelet, *Ptak*, z francuskiego czwartego wydania przejrzanego i pomnożonego przeł. W. Stępowski, Warszawa 1859, s. 6.

słuchaczy; o nich dyskutowano, pisano w gazetach, a na pamiątkę tej wyjątkowej popularności studenci ufundowali swoim ukochanym nauczycielom medal z wrytymi profilami uczonych oraz napisem *Ut omnes unum sint*. Lata 40. (1842–1845) to czas stanowiący apogeum tej intelektualnej przygody i przyjaźni zarazem<sup>32</sup>. Z tego właśnie okresu pochodzi przywołany wcześniej wykład Mickiewicza dotyczący powinowactw ducha ludzkiego ze światem tworów nie-ludzkich. Z kolei książki Micheleta z lat 60. stanowią mogą pochodną tej intelektualnej wymiany<sup>33</sup>.

Symboliczny splot nazwisk Marx – Mickiewicz – Michelet stanowi jedynie pretekst do tego, by wzmocnić doznanie wyjątkowości czasu, o którym mowa. Ścierają się w nim bowiem dwie wielkie siły: kult przyrody jako wartości samoistnej i związany z nią ruch intelektualny<sup>34</sup> oraz rodząca się świadomość ekologiczna<sup>35</sup>, o czym przekonująco pisał Jacek Kolbuszewski. Niestety, poczucie konieczności ochrony przyrody to niejako pochodna zaniepokojenia gwałtownie zmieniającym się stanem środowiska naturalnego, co zaczęto odczuwać właśnie dopiero w wieku XIX, który zapoczątkował nasze dzisiejsze problemy demograficzne, ale także te związane z gwałtownym rozwojem przemysłu i narastającą w szybkim tempie urbanizacją<sup>36</sup>.

<sup>32</sup> Zob. M. Wodzyńska, *Adam Mickiewicz i romantyczna filozofia w Collège de France*, Warszawa 1976.

<sup>33</sup> „Mickiewicz znaczy ognisty ślad, którym idzie Michelet”. D. Halévy, *Jules Michelet*, Paris 1928, s. 98. Cyt. za: tamże, s. 12.

<sup>34</sup> „Romantycy odkryli piękno przyrody jako zjawisko samoistne, jej byt indywidualny; głównie zachwycała ich przyroda niezwykła, dzika, górską i stepową, zachwycała ich piękno i potęga morza, piękno nocy księżycowej, drzew na tle jeziora, ciemnych sylwetek na tle nieba, promieni słońca wpadających przez okno, załamujących się w witrażach; lubili krajobraz zasnuty mgłami i zmrok wieczoru. Zasadą ogromną romantyków jest to, że odkryli piękno tych wszystkich zjawisk przyrody, których ludzie dawniej nie dostrzegali albo których się bali”. J. Kolbuszewski, *Romantyzm i modernizm*, Katowice 1959, s. 38.

<sup>35</sup> „Jeśli nawet kultura romantyczna początków wieku XIX nie zdołała sformułować jasnych, postulatycznych sądów o celowości ochrony przyrody, to i tak rzeczywiste tradycje owego zjawiska zaczynają się właśnie od romantyzmu”. J. Kolbuszewski, *Ochrona przyrody a kultura / Conservation of nature and culture*, Warszawa 1990, s. 41.

<sup>36</sup> Tamże, s. 40.

Zwierzęta, które się tym zmianom przyglądały lub, chcąc nie chcąc, w nich uczestniczyły, mogłyby zapewne opowiedzieć swoją wersję tej historii. Jednak poprzestając na nieudolnej próbie zrozumienia procesu, którego finał rozgrywa się na naszych oczach – wystarczy może prześledzić historię trojga z nieprzebranej wielości (psa, konia i krowy), o której różnorodność słusznie upominał się Derrida, rozmyślając nad przejmującą ogólnością rzeczownika „zwierzę”, za pomocą którego etykietuje się

[...] *tous les vivants* que l'homme ne reconnaîtrait pas comme ses semblables, ses prochains ou ses frères. Et cela malgré les espaces infinis qui séparent le lézard du chien, le protozoaire du dauphin, le requin de l'agneau, le perroquet du chimpanzé, le chameau de l'aigle, l'écureuil du tigre ou l'éléphant du chat, les fourmis du ver à soie ou le hérisson de l'échidné. J'interromps ma nomenclature et j'appelle Noé au secours pour n'oublier personne sur l'arche.<sup>37</sup>

Podpierając się poezją Zbigniewa Herberta, w której „naprzód pójdzie dobry pies/ a potem świnia albo osioł/ [...] a po niej przemknie pierwszy człowiek”<sup>38</sup> trzeba zapytać o sam proces udomowienia (domestykacji), który wpłynął nie tylko na niektóre gatunki zwierząt, zupełnie przekształcając ich fizyczność oraz psychikę, ale także zmienił drugą stronę tej relacji – stojącego się sobą człowieka. Rozłożony w czasie proces ucłowieczenia, przechodzenia od fazy *homo erectus* do *homo sapiens* spleciony był na pewno z licznymi interakcjami ze zwierzęcymi pobratymcami, których nasi praprzodkowie bali się, ale równocześnie musieli podziwiać ich

<sup>37</sup> „[...] wszystkich żyjących, których człowiek nie rozpoznawał jako krewnych, bliźnich lub braci. Ale mimo tego ogromny odstęp oddziela jaszczurkę od psa, pierwotniaka od delfina, rekina od jagnięcia, papugę od szympansa, wielbłąda od orła, wiewiórkę od tygrysa czy słonia od kota, mrówki od jedwabnika czy jeża od kolczatki. Przerzywam ten katalog i wołam na pomoc Noego, by nie zapomnieć nikogo na arce” (przekład – B.M.-F.). J.Derrida, *L'animal que donc je suis*, s. 56–57.

<sup>38</sup> Z. Herbert, *Naprzód pies*, w: tenże, *Studium przedmiotu*, Wrocław 1995, s. 49.

animalne predyspozycje do radzenia sobie z trudami egzystencji. Na pewno też na nie polowali, by zjadać nie tylko ich ciała, ale też w sposób symboliczny energię i talenty. Prehistoryczne malowidła opowiadają przecież historię nabożnej nieomal fascynacji zwierzęcymi braćmi. Najciekawsza jednak przygoda wydarzyła się wskutek spotkania, które zaowocowało udomowieniem, bo właśnie los tzw. zwierząt domowych i hodowlanych w wieku XIX podlegać zaczyna różnorodnym przekształceniom, których skutki odczuwamy dziś często bardzo dotkliwie.

Jako pierwszy udomowić zechciał się wilk, nastąpiło to kilkanaście tysięcy lat temu<sup>39</sup>, choć odkrycia paleontologów pozwalają przesunąć ten proces coraz bardziej w przeszłość. Temple Grandin, autystyczna biologka, za pomocą myślowego odwrócenia ról pozwoli spojrzeć na jego przebieg w zupełnie nowy sposób. Zamiast myśleć o biernym zwierzęciu, które zostało w jakiś sposób zniewolone przez człowieka, warto wyobrazić sobie przedziwną całość złożoną ze stającego się dopiero człowiekiem człekokształtnego osobnika oraz stającego się psem – wilka. Grandin silnie akcentuje dwustronny charakter tej relacji, dowartościowując zwierzęcy wkład:

Często słyszymy, że to ludzie udomowili zwierzęta, że z wilków zrobiliśmy psy. Ale najnowsze badania wskazują, że po części to wilki udomowiły ludzi. Ludzie ewoluowali wraz z wilkami – ten wpływ był wzajemny. [...] Kiedy [...] wilki zaczęły towarzyszyć ludziom, mieli oni zaledwie parę prymitywnych narzędzi i żyli w wędrownych grupach o prawdopodobnie równie prostej strukturze co stada szympansów. Niektórzy naukowcy uważają, że mogli oni nawet nie mieć języka.<sup>40</sup>

---

<sup>39</sup> F. Verginelli i in., *Mitochondrial DNA from Prehistoric Canids Highlights Relationships Between Dogs and South-East European Wolves*, „Molecular Biology and Evolution” 2005, nr 22 (12), s. 2541–2551. Dostęp online: <https://academic.oup.com/mbe/article-lookup/doi/10.1093/molbev/msi248>.

<sup>40</sup> T. Grandin, C. Johnson, *Zrozumieć zwierzęta: wykorzystanie tajemnic autyzmu do rozszyfrowania zachowań zwierząt*, przeł. K. Puławski, Poznań 2011, s. 376–377.

To spotkanie pozwoliło ludziom nauczyć się czegoś od wilków, które polowały w grupach, miały złożone struktury społeczne, zawierały przyjaźnie poza rodziną z osobnikami tej samej płci. Te przejęte „psie cechy” oraz pomoc w postaci ochrony i współpracy w trakcie polowania sprawiły, iż ludzie dokonali skoku rozwojowego, wynikającego z umiejętności współdziałania poza grupą krewniaczą. Co jeszcze bardziej zaskakujące, proces udomowienia zmienił budowę ludzkiego i wilczego mózgu. Obie strony zyskały i straciły na tym spotkaniu. Jak dowodzi Temple Grandin:

Skamieliny wskazują, że kiedy jakiś gatunek ulega udomowieniu, jego mózg się zmniejsza. Mózg konia zmniejszył się o 16 procent, świnia o 34 procent, a psa od 10 do 30 procent. Dzieje się tak, ponieważ kiedy ludzie zaczynają troszczyć się o zwierzęta, nie potrzebują one już pewnych funkcji, które umożliwiały im przetrwanie w naturalnych warunkach. [...]

Obecnie archeolodzy odkryli, że dziesięć tysięcy lat temu, właśnie w chwili, gdy ludzie zaczęli oficjalnie grzebać swoje psy, zaczął się też zmniejszać ich mózg. Skurczył się on o 10 procent, podobnie jak mózg psa. Najbardziej zaś interesująca jest ta część mózgu, która uległa zmniejszeniu. U wszystkich zwierząt domowych było to przodomózgowie z płacami przednimi i ciałem modzelowate, które stanowi tkankę łączącą obie półkule. Ale u ludzi było to śródmózgowie, odpowiadające za emocje i dane zmysłowe, a także opuszki węchowe, odpowiadające za węch, natomiast przodomózgowie prawie się nie zmieniło. Mózgi psów i ludzi uległy specjalizacji: ludzie zajęli się planowaniem i organizowaniem życia, zaś psy zadaniami, które wymagają skupienia się na danych zmysłowych.<sup>41</sup>

Przedziwna strata, która jest zyskiem, pozwala dostrzec w procesie udomowienia nie tylko scenariusz jednostronnie przemowcy, ujawniający ludzką przewagę nad zwierzęcym partnerem w trakcie domestykacji. Autor monografii wilka Barry H. Lopez

---

<sup>41</sup> Tamże, s. 379.

sugeruje nawet, by w poszukiwaniu informacji na temat początków społecznych zachowań człowieka badać raczej strukturę wilczego stada niż relacje między przedstawicielami naczelnymi. Kluczową kwestią wydaje się zadziwiająca z punktu widzenia życiowej pragmatyki otwarta życzliwość względem słabych i nienadających się do polowania członków stada<sup>42</sup>. Z kolei Aleksander Nawarecki retorycznie pyta:

Wszak zanim zaprzyjaźniliśmy się z psem, to najpierw mieliśmy do czynienia z wilkiem, który powoli zmieniał się w psa. Więc czy wybierając psie towarzystwo, weszliśmy także we wspólnotę z jego nieoswojonym przodkiem? Jeśli tak było, to jako ludzie jesteśmy z nim stowarzyszeni: przejęliśmy wilczą cząstkę, która pozostała w psim charakterze, nosimy jakieś wilcze cechy, które od psich trudno odróżnić.<sup>43</sup>

Warto zapytać teraz, co ciekawego stało się z psem w wieku XIX; czy można z tym czasem związać jakąś istotną zmianę w psiej fizjonomii oraz warunkach życia? Janusz Ryba piszący o okresie oświecenia zwróci uwagę na wolnę w zakresie mody na rasy wielkości bibelotów, wśród których prym wiodły bonończyki i mopsy<sup>44</sup>. Badacz sugeruje, że zamiast polować z chartami oświeceni woleli prowadzić łowy lingwistyczne i salonowe<sup>45</sup>. Sytuacja zmieni się

42 B. H. Lopez, *Of Wolves and Men*, New York 1978, s. 73, 279. Referuję za: A. Barcz, *Realizm ekologiczny*, s. 252.

43 A. Nawarecki, [notka na ostatniej stronie okładki książki], w: *Wilki i ludzie. Małe kompendium wilkologii*, red. D. Wężowicz-Ziółkowska, E. Wiczorkowska, współpraca redakcyjna K. Jaglarz, Katowice 2014.

44 J. Ryba, *Rzut oka na funkcję psów w kulturze oświecenia*, w: tenże, *Uwodzicielskie oblicza oświecenia: szkice obyczajowe*, Katowice 1993, s. 15.

45 „Myślistwo było wielką namiętnością monarchów i arystokracji. Wydaje się, że zachowując nadal ważną pozycję, stało się w oświeceniu, w porównaniu z okresami wcześniejszemi, mniej popularne. Wpłynęło na to kilka czynników. Po pierwsze, myślistwo należy do sportów siłowych, wymagających fizycznej tężyzny i sprawności. W okresie oświecenia fizyczna krzepkość nie była w zbyt wysokiej cenie. Dużą wartość przypisywano natomiast zaletom umysłowym, co znalazło odbicie w charakterze preferowanych rozrywek (królowała konwersacja)”. Tamże, s. 14.

w epoce następnej, dowartościowującej i równocześnie mitologizującej łowy oraz związane z nimi gatunki psów: charty, wyżły, gończe. Symptomatyczna wydaje się anegdota opowiadana przez Telimenę o pobycie w Petersburgu oraz zagryzieniu przez charta jej ukochanego bonończyka<sup>46</sup>. To scena obrazująca niejako „wygryzanie” jednej mody przez drugą, choć i jedna, i druga wiele mówi o fascynacji określonym modelem psiej fizjologii i zachowań, niemającym wiele wspólnego ze swobodnym krzyżowaniem się osobników tego samego gatunku, choć niekoniecznie tej samej rasy. Wiek XIX rozwinie, a nawet doprowadzi do szeregu przerysowań problem rasy, nie tylko w odniesieniu do psów, ale także koni, krów czy świń. Pozycja psa w wieku XIX wiąże się także z przekształceniami w obrębie rodziny, która powoli będzie ewoluować w kierunku modelu nowożytnego, z mniejszą liczbą dzieci oraz większą autonomią poszczególnych jej członków. Pies, kot lub papuga wejdą do rodziny i będą traktowane jak wierni przyjaciele, tracąc funkcje użytkowe i zadania do wykonania, a zyskując status bibelotu, zabawki lub „osoby” do towarzystwa<sup>47</sup>. Oczywiście, tak będą postrzegać swoich pupili mieszczaństwo lub arystokraci, biedniejsze warstwy nadal potrzebują zwierząt do bardzo konkretnych zadań, związanych z transportem, pracą fizyczną lub ochroną mienia. Jednak pierwszy z wymienionych modeli zachowań z czasem staje się coraz bardziej popularny, wypierając ten drugi. Co ciekawe, zmiana funkcji psa w relacji z człowiekiem wpłynie na zwiększenie liczebności tego gatunku w gospodarstwach domowych. Éric Baratay wskaże na dziewięciokrotny wzrost liczebności tych zwierząt w stosunku do dwukrotnie zwiększonej populacji ludzi w tym samym czasie: od końca XVII wieku do początku XX wieku milion

---

<sup>46</sup> „Bo gdym szła do ogrodu pewnego poranka,/ Chart u nóg mych zadławił mojego kochanka/ Bonończyka!” A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz czyli Ostatni zajazd na Litwie. Historia szlachecka z roku 1811 i 1812 we dwunastu księgach wierszem*, oprac. S. Pigoń, aneks sporządził J. Maślanka, Wrocław–Warszawa–Kraków 1994, s. 121.

<sup>47</sup> Zob. É. Baratay, *Zwierzęcy punkt widzenia. Inna wersja historii*, przeł. P. Tarasewicz, Gdańsk 2014, s. 29–31.



psów urosnie do dziewięciu milionów. Jeszcze istotniejsza zmiana zaszła w stosunku do samego rozumienia pojęcia rasy, która na początku XIX wieku znaczyła przede wszystkim pochodzenie zwierzęcia, wyhodowanego w określonym środowisku i dostosowanego morfologicznie do konkretnych warunków. Między drugą połową XVIII a pierwszą XIX wieku nastąpi istotne przesunięcie w zakresie definicji rasy, która przestanie odsyłać do geografii gatunku, a zacznie znaczyć wyłącznie w kontekście morfologicznym<sup>48</sup>. Jak napisze John Bradshaw:

Poza kilkoma „starożytnymi” rasami krzyżowanie psów różnych ras kwitło w Europie i Ameryce Północnej aż do połowy dziewiętnastego wieku. Koncepcja, iż suka powinna być kryta wyłącznie przez psa identycznej rasy, jest względnie nowa; w Europie zyskała popularność jakieś sto pięćdziesiąt lat temu, a później rozprzestrzeniła się na inne kontynenty. Obecnie, jeśli pies ma być zarejestrowany jako osobnik konkretnej rasy, jego rodzice, dziadkowie i tak dalej muszą także być tej rasy – jest to norma znana jako wzorzec rasy. Chociaż na Zachodzie wciąż rodzi się wiele mieszaińców, mają one mniejszą szansę niż psy rodowodowe na znalezienie domu i wydanie potomstwa. [...]

Psy na Zachodzie nigdy nie odzyskają wolności, jaką się cieszyły w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku, kiedy to wiele z nich mogło w ciągu dnia włóczyć się po ulicach wedle własnego wiedzimisię, spotykać inne psy lub ich unikać, aby wieczorem wrócić do swojego pana. Społeczeństwo wymaga teraz znacznie więcej od psów i ich właścicieli niż wtedy.<sup>49</sup>

W 1897 roku pojawia się klasyfikacja psów oparta na wielu parametrach takich jak rozmiar, format, sylwetka i kształt głowy, co dowodzi wysokiego stopnia znormatywizowania walki z naturalnym dla psowatych oraz najzdrowszym dla ich genetyki skundleniem. Fascynacja rasą i jej efekt w postaci chorobliwych dziś

<sup>48</sup> Tamże, s. 65–66.

<sup>49</sup> J. Bradshaw, *Zrozumieć psa. Jak być jego lepszym przyjacielem*, przeł. E. Abramowicz, zilustrował A. Peters, Warszawa 2012, s. 99, 365.

skutków przerasowania może zaprowadzić nawet do eugeniką podszytych dwudziestowiecznych teorii rasowych, których korzeni Boria Sax szukał właśnie w dziewiętnastowiecznej pogoni za rasową doskonałością zwierząt do towarzystwa i gospodarskich:

W pokazach psów z końca XIX wieku dostrzec można eugeniczną w swej istocie pogoń za moralną i estetyczną doskonałością, która odzwierciedlała ogromny nacisk na czyste linie rodzinne, na „rodowód” w domach arystokratycznych.<sup>50</sup>

Gdyby szukać najbardziej ogólnej zasady dotyczącej wyglądu ras, byłoby to zwiększenie – dzięki lepszymu żywieniu i stosowanej selekcji – masy ciała psów pracujących oraz miniaturyzacja psów do towarzystwa<sup>51</sup>.

Oczywiście, oprócz hołubionych psów do towarzystwa w pierwszej połowie XIX wieku wciąż wielu przedstawicieli gatunku *Canis familiaris* swobodnie włóczy się i rozmnaża, a przeciwdziałający niekontrolowanemu wzrostowi ich populacji ludzie stosują środki prewencji lub po prostu w różny sposób zabijają niechciane, niepotrzebne zwierzęta<sup>52</sup>. Historie psów domowników kończą się w diametralnie inny sposób: często dożywają późnej starości, a nawet zostają pochowane i upamiętnione za pomocą nagrobków czy pomników<sup>53</sup>.

Pies jako gatunek stowarzyszony z człowiekiem, by użyć trafnej formuły Donny Haraway<sup>54</sup>, w XIX wieku wydaje się być jednak wciąż z różnych powodów mniej ważny i mniej cenny niż koń, służący przede wszystkim do transportu, ale także niejako przekształcający (przede wszystkim) męskie ciała w ciała jeźdźców. To

50 B. Sax, *Animals in the Third Reich. Pets, Scapegoats, and the Holocaust*, New York 2009, s. 83. Cyt. za: P. Krupiński, „Dlaczego gęsi krzychały?” *Zwierzęta i Zagłada w literaturze polskiej XX i XXI wieku*, Warszawa 2016, s. 303.

51 Zob. É. Baratay, *Zwierzęcy punkt widzenia*, s. 75–76, 77.

52 Zob. tamże, s. 152–155.

53 Tamże, s. 283.

54 D. Haraway, *Manifest gatunków stowarzyszonych*, przeł. J. Bednarek, w: *Teorie wywrotowe. Antologia przekładów*, red. A. Gajewska, Poznań 2012, s. 241–260.

forma bliskości, która nie ma sobie równej, a o którą James Fillis pyta retorycznie tak:

Gdzie się kończy człowiek, a gdzie się zaczyna koń? – nie wiadomo: obaj tworzą całość bardzo zgraną, bardzo giętką, a jednocześnie najbardziej żywą i silną, ku radości życia i działania.<sup>55</sup>

*Weterynaryja popularna*<sup>56</sup>, pozycja wydana w 1832 roku i wznowiona w wersji rozszerzonej osiem lat później, dobitnie pokazuje dysproporcję między ilością uwagi, jaką poświęca się chorobom koni, i tej, którą obdarza się somatyczne dolegliwości psów. Co ciekawe, kotów, które dzisiaj licznie powoli wypierają psy, w ogóle w tym poradniku nie ma. A ponieważ cyfry mówią bardzo dobitnie, wypada na szali położyć sto czterdzieści siedem stron o końskich przypadłościach oraz tylko osiemnaście dedykowanych psom. Koń, zwierzę udomowione około 6000–4000 p.n.e.<sup>57</sup> zadziwia nieodmiennie swoją siłą i inteligencją oraz sensualną wrażliwością. Gotowy do współpracy, wchodzący z jeźdźcem w przedziwną relację polegającą na byciu hybrydyczną jednością, z której kpił Gombrowicz, chyba jej jednak zupełnie nie rozumiejąc<sup>58</sup>, patrzący na człowieka wielkimi

<sup>55</sup> J. Fillis, *Zasady ujeżdżania i jazdy konnej*, przeł. Z. Czajkowski, Warszawa 1930, s. 175. Cyt. za: Ł. Ginkowa, *Mityczna i realna historia konia*, w: taż, „Koń ma duszę w sobie”, Kraków 1988, s. 8.

<sup>56</sup> *Weterynaryja popularna. Nauka poznawania i leczenia chorób zwierząt domowych, wyłożona w sposób każdemu przystępny podług chlubnie znanych lekarzy weterynarii, Haubnera, Hertwiga, Kreutzera, Wagenfelda, Rohlwsa, Veitha, i wielu innych*, przez J. N. Kurowskiego wspólnie z lekarzem weterynarii, w kraju naszym od wielu lat praktykującym. Z dzieściami tablicami rycin w Warszawie, nakładem Aug. Emmanuela Glücksberga, księgarza przy ulicy Miodowej, n. 497, pod filarami, 1840.

<sup>57</sup> S. Lippold i in., *Whole Mitochondrial Genome Sequencing of Domestic Horses Reveals Incorporation of Extensive Wild Horse Diversity during Domestication*, „BMC Evolutionary Biology” 2011, nr 11, s. 328. Dostęp online: <https://bmcevolbiol.biomedcentral.com/articles/10.1186/1471-2148-11-328>.

<sup>58</sup> „Człowiek na koniu jest równie dziwaczny, jak szczur na kogucie, kura na wielbłądzie, małpa na krowie, pies na bawole. Człowiek na koniu to skandal, zakłócenie naturalnego porządku, gwałcała sztuczność, dysonans, brzydota”. W. Gombrowicz, *Dziennik 1957–1961*, Kraków 1988, s. 34–35.

oczami<sup>59</sup> – zajmuje ważne miejsce w literaturze, ale także w listach i wspomnieniach, co świadczy o silnej więzi emocjonalnej, jaką mieli z nimi pamiętający o nich – koniach – ludzie. Mickiewicz w liście do Jana Czeczota z roku 1823 napisze o klaczy noszącej znaczące imię Beauty, подарunku od Maryli Wereszczakówny:

Klacz moja, niedawno uzdrowiona, nosi mnie po górach i dolinach, zda się mnie rozumieć i ledwo nie mówi ze mną; na przechadzce puszcza ją, idzie z daleka za mną, pozwala patrzeć i rozmyślać; zawołana, stawi się na rozkaz.<sup>60</sup>

Z kolei Fredro ujawni wielką wrażliwość na końskie cierpienie wynikające z zaniedbań i niewiedzy ludzi, którzy korzystać będą ze zwierzęcego grzbietu:

Człowiek z koniem, niby centaur, jest dopiero jednostką w kawalerii. Konie mojem zdaniem nie dosyć doznają starania i opieki. Więcej koni ginie w czasie wojny z powodu okulbaczenia i okucia niż od kuli. Jak są rezerwy i lazarety dla ludzi, tak powinny być i dla koni. Koń uszkodzony jakim bądź sposobem z powodu okucia mógłby ozdrowieć w kilku, a odsedniony w kilkunastu dniach. Zaniedbany zaś, nieusunięty z pracy musi wkrótce stać się nieużytecznym i później marnie zginąć. Po kilku miesiącach kampanii zgroza zajrzeć pod kulbaki. Smród z jątrzących się pod nieustającym naciskiem ran ciągnie się wzdłuż maszerującej kolumny. Trzeba się tylko dziwić, jak zwierzę może znosić i to czas długi takie męczarnie. Ale wszystko ma swoje granice – koń cierpi, chudnie, słabnie i koniec końców ginie.<sup>61</sup>

<sup>59</sup> Wysokość konia użytkowego waha się w granicach 150–165 cm, co oznacza w praktyce, iż człowiek stojący naprzeciw tego zwierzęcia patrzy mu prosto w oczy, które w porównaniu z oczami innych zwierząt są szczególnie duże, dwa razy większe niż ludzkie, większe od oczu słonia i wieloryba. Zob. D. Morris, *Dlaczego koń rzy. O czym mówi nam zachowanie konia*, przeł. K. Chmiel, Warszawa 2000, s. 41.

<sup>60</sup> A. Mickiewicz, *Do Jana Czeczota* [Kowno, 31 maja / 12 czerwca 1823], w: tenże, *Listy. Część pierwsza 1815–1829*, s. 295. Podkr. B. M.-F.

<sup>61</sup> A. Fredro, *Trzy po trzy. Pamiętniki z epoki napoleońskiej*, z przedmową A. Grzymały-Siedleckiego, wydał, wstępem i uzupełnieniami zaopatrzył H. Mościcki. Z 52

Problem, jaki męczy Fredrę, wiąże się z udokumentowaną przez historyków kwestią śmiertelności koniowatych w trakcie zbrojnych konfliktów. Za Maurice'em Genevoix można by nawet powiedzieć, że wojna pożarła więcej koni niż ludzi<sup>62</sup>. Cierpienie tych zwierząt, z racji ich intensywnej obecności w przestrzeni publicznej<sup>63</sup>, musiało być na tyle dojmujące, że oprócz znanej sceny, gdy Friedrich Nietzsche 3 stycznia 1889 roku próbuje ochronić konia przed kolejnymi batami turyńskiego woźnicy<sup>64</sup>, warto zapamiętać innego konia i przejętego jego losem człowieka. Myślę o deputowanym do parlamentu francuskiego Jacques'u Delmas de Grammont, który w trakcie pracy nad projektem ochrony zwierząt zobaczył konia przewracającego się z głodu na ulicy obok zgromadzenia. Grammont bada go, każe mu przynieść siano, a następnie dodaje do przygotowywanej ustawy artykuł dotyczący konieczności odpowiedniego karmienia zwierząt<sup>65</sup>. W 1850 roku parlament francuski przegłosowuje pierwszą ustawę chroniącą prawa zwierząt zwaną właśnie ustawą Grammonta (*loi Grammont*)<sup>66</sup>. Jej współtwórcą na pewno był w jakiejś mierze koń.

Rozważając dzisiaj sytuację konia w XIX wieku, wypada na wstępie uświadomić sobie, że terazniejsza pozycja tych zwierząt, związana nade wszystko z rozrywką i hipoterapią w niczym nie

---

ilustracjami w tekście i 8 na osobnych kartach, Warszawa–Lublin–Łódź–Kraków 1917, s. 87–88. Podkr. B. M.-F.

62 M. Genevoix, *Ceux de 14*, Paris 1996, s. 96. Cyt. za: É. Baratay, *Zwierzęcy punkt widzenia*, s. 189.

63 O sposobach znęcania się nad końmi pracującymi w transporcie bardzo obrazowo pisze Éric Baratay, *Zwierzęcy punkt widzenia*, s. 148–149.

64 „Do załamania doszło 3 stycznia w Turynie na Piazza Carlo Alberto. Zaraz po wyjściu z domu zobaczył, jak brutalny dorożkarz znęca się nad koniem. Lamentując, że łzami w oczach uwiesił się na szyi zwierzęcia i stracił przytomność. W parę dni później Overbeck przywiózł chorego do Bazylei i umieścił w klinice psychiatrycznej”. I. Frenzel, *Nietzsche*, przeł. J. Dziubiński, Wrocław 1994, s. 149.

65 Zob. É. Baratay, *Zwierzęcy punkt widzenia*, s. 296–297.

66 Tamże, s. 288. Co ciekawe, w 1981 roku Maurice Agulhon, zastanawiając się nad przyczynami przegłosowania tej ustawy przez parlament, szuka przyczyn w lękach, jakie elity żywiły względem rewolucyjnie nastrojonych ludowych mas. Zob. tamże.

przypomina stanu sprzed dwustu lat. Symbolicznym kresem końskiej obecności w miastach był ostatni kurs konny w Paryżu w 1913 roku przyjęty przez prasę jako „kres końskiego zniewolenia”<sup>67</sup> człowieka, znużonego ułomnościami współdziałania z żywą, więc także kapryśną istotą. Współczesne metropolie, w których królują samochody ze schowanymi pod maską mechanicznymi końmi jak melancholijnym wspomnieniem zwierzęco-ludzkiej zażyłości, to tylko przekształcona wersja zdarzeń. W 1832 roku ruszył pierwszy omnibus konny w Nowym Jorku (w Paryżu taki środek lokomocji pojawił się już w roku 1662). Z kolei tramwaj konny pierwszy raz zastosowany w Liverpoolu w 1859 roku w latach 70. XIX wieku rozpowszechnił się w Europie. Dziewiętnastowieczne pomysły na publiczną komunikację zastąpione zostały w wieku XX przez autobusy, tramwaje i kolejki podmiejskie. Dziś nie do pomyślenia wydaje się gazetowe ogłoszenie, w którym zwierzchnik policji miasta Warszawy informuje, że zabezpieczono wałęsające się po mieście konie, a i tak w Warszawie bywało:

Prezydent Policji Miasta Stołecznego Warszawy, podając do wiadomości publicznej, iż para koni na ulicy błakających się schwytaną i zabezpieczoną została, wzywam właściciela onych, aby do Bióra mego stawił się i po udowodnieniu własności tę parę koni odebrał. Dan w Warszawie dnia 8 stycznia 1812.<sup>68</sup>

Konie, których siła fizyczna i wytrzymałość pozwalały przewozić ludzi i przedmioty, zostawiały jednak po sobie fizyczny ślad w postaci odchodów. Jak zauważa Osterhammel: „Tylko w Chicago zakład oczyszczania miasta zbierał około 1900 r. z ulic niewyobrażalną ilość 600 tys. ton nawozu końskiego rocznie”<sup>69</sup>. Najwięcej wiadomości dotyczących końskiej populacji w miastach mają historycy na temat Paryża. Dane z 1862 roku sugerują, że we Francji

<sup>67</sup> „L'Auto”, 12 janvier 1913. Cyt. za: tamże, s. 26.

<sup>68</sup> „Gazeta Warszawska” 1812, nr 4, s. 78.

<sup>69</sup> J. Osterhammel, *Obszary wewnętrzne i podziemia*, w: tenże, *Historia XIX wieku. Przeobrażenie świata*, s. 400.

żyło wtedy 2,9 miliona koni<sup>70</sup>. Paryskie Powszechne Towarzystwo Omnibusów (CGO), traktujące zatrudnione u siebie konie jako kapitał, stosuje szereg wytycznych o charakterze higieniczno-weterynaryjnym, mających wpłynąć na jakość i długość życia zwierzęcych pracowników:

[...] wytyczne dla woźniców mówią, że konie mają stopniowo zwalniać i ruszać na przystankach, że nie należy ich zachęcać do zwiększania prędkości w celu nadrobienia czasu straconego w drodze, że na dziesięć minut przed końcem trasy mają zredukować tempo. Po pracy nie można ich kąpać w rzece [...] w zamian za to mają być opatrywane i czyszczone. Są także często strzyżone, aby ich naturalnie długa i gęsta sierść nie była ciągle mokra z powodu nadmiernego pocenia się i złej pogody, bo może to skutkować chorobami układu pokarmowego i płuc.<sup>71</sup>

Zmiany morfologiczne, motywowane względami rasowymi, o jakich była mowa w odniesieniu do psów, stały się w XIX wieku także udziałem koni. Ich ciała także „rzeźbiono” za pomocą idei i doboru materiału genetycznego, co skutkowało szeregiem aberracji. Innych koni pożąda wojsko (parametry siły, zwrotności, posłuszeństwa<sup>72</sup>), innych potrzebuje transport (perszerony o bardziej prostokątnych grzbietach, szare umaszczenie wypierane przez ciemniejsze – czarne, gniade i kasztanowe<sup>73</sup>), jeszcze innych – przemysł górniczy (posłuszeństwo, psychiczna i fizyczna odporność<sup>74</sup>) i wydaje się, że manipulacja przy zwierzęcej genetyce i morfologii potrafi zaspokoić żądania każdego z tych rynków końskiego zbytu. Przeoczono jednak dwie kwestie. Pierwsza związana jest z konsekwencjami przerasowania, które u koni objawi się szybszym zmęczeniem, ryzykiem upadku, podatnością na kontuzje. Druga, mniej

<sup>70</sup> Zob. tamże, s. 401.

<sup>71</sup> É. Baratay, *Zwierzęcy punkt widzenia*, s. 222.

<sup>72</sup> Tamże, s. 64.

<sup>73</sup> Tamże, s. 64, 73–74.

<sup>74</sup> Tamże, s. 86–88.

oczywista, choć chyba nawet ważniejsza, każe przypomnieć sobie o zapomnianym problemie zwierzęcego temperamentu i charakteru. Każde, nawet morfologicznie identyczne zwierzę jest odrębną osobowością. Jak zauważy Baratay:

[...] kryteriami doboru zwierząt do zaprzęgu są wzrost, siła, a nawet kolor umaszczenia, a tylko wyjątkowo ich charaktery, których ludzie nie zdążyli jeszcze poznać. Konie natychmiast manifestują występujący między nimi konflikt usposobień: rżą, gryzą, uderzają kopytami lub wierzgają, zmuszając ludzi do rozdzielenia ich i ponownego dobierania aż do chwili, kiedy znajdując odpowiednich współpracowników i nastanie mniej lub bardziej trwały spokój.<sup>75</sup>

Zwierzęta wykorzystywane do pracy, w której liczy się siła mięśni, cały czas zwiększają swoją wielkość:

Konie pociągowe, które za *ancien régime*'u miały często w kłębie wysokość od 1,30 do 1,40 metra i przypominały dzisiejsze kuce, w połowie XIX wieku mierzą około 1,50 metra, a przed pierwszą wojną światową 1,60 metra. Tak też pośród koni w kopalniach, na które było szczególnie duże zapotrzebowanie, breton przechodzi od 1,55 do 1,64 metra, a koń belgijski, wcześniej nieprzekraczający 1,60 metra, rośnie aż do 1,75 metra. Oczywiście odbija się to na ich ciężarze: w swoim apogeum (pierwsze trzydzieści lat XX wieku) koń belgijski waży od 650 do 900 kilogramów, perseron średnio 750 kilogramów, ale może osiągnąć nawet tonę.<sup>76</sup>

Ta postępująca gigantomania motywowana jest ludzkim interesem, podszytym pragnieniem, by swego zwierzęcego pracownika wykorzystać maksymalnie. Coraz większe zwierzęta ciągną coraz cięższe pojazdy, transportując coraz większą ilość osób i pracując coraz dłużej<sup>77</sup>. Ze względu na poszukiwanie oszczędności zmianom

<sup>75</sup> Tamże, s. 177.

<sup>76</sup> Tamże, s. 76–77.

<sup>77</sup> Zob. tamże, s. 94–95.



podlegają racje żywnościowe, jakie otrzymują zwierzęta. Jeszcze w połowie XIX wieku konie jedzą owies, siano i słomę, ale im bliżej końca stulecia, tym proporcje przesuwają się niekorzystnie w stronę tańszych, a zarazem mniej kalorycznych elementów diety. W latach 70. XIX wieku owies bywa zastępowany źle trawioną przez koniowate kukurydzą i bobem<sup>78</sup>. Koński kres może mieć jednak na szczęście dwa oblicza: to pierwsze w prosty sposób wynika z nadmiernej eksploatacji zwierząt i prowadzi nas do rzeźni oraz jadalni biedniejszych mieszkańców miast i wsi<sup>79</sup>. Jednak już w XIX wieku możliwy był także inny koniec historii tych inteligentnych zwierząt:

Guy de Maupassant zauważa, że konie w okolicach Marsylii noszą słomiane kapelusze, mające chronić je przed słońcem, a gospodarze – najprawdopodobniej od XIX wieku, kiedy poprawiająca się sytuacja ekonomiczna pozwala żywić je aż do końca – zatrzymują swoje konie i krowy, pozwalając im umrzeć ze starości.<sup>80</sup>

Warto przypomnieć też historię konia Théophile'a Gautiera, zarekwirowanego na mięso w trakcie komuny w 1870 roku, oraz wysiłki Victora Hugo, by go uratować.

Ten konkretny koń przypomina o zjawisku rodzącej się w połowie XIX wieku hodowli przemysłowej<sup>81</sup>, której ofiarą padły zwierzęta żywiące ludzi swoim mięsem i jajami oraz pojące ich swoim mlekiem. Tym sposobem przyszedł czas, by spojrzeć w wielkie oczy krowy, które fascynowały wielu: Gombrowicza<sup>82</sup>,

<sup>78</sup> Zob. tamże, s. 100–101.

<sup>79</sup> „Dolne warstwy społeczne czerpały korzyści z ostatniego «złotego wieku konia» dzięki podaży taniego końskiego mięsa”. J. Osterhammel, *Obszary wewnętrzne i podziemia*, s. 402.

<sup>80</sup> É. Baratay, *Zwierzęcy punkt widzenia*, s. 215.

<sup>81</sup> Éric Baratay sugeruje, iż hodowla przemysłowa rozpoczyna się około roku 1850. Zob. tamże, s. 300.

<sup>82</sup> „Krowy. Gdy mijam stado krów, zwracają ku mnie łby i nie spuszczaają ze mnie oka póki nie przejdę. [...] Krowa. Jak mam zachować się wobec krowy?”. W. Gombrowicz, *Dziennik 1957–1961*, s. 36. Na temat krów (i nie tylko) u Gombrowicza pisze Józef Olejniczak, *Krowy*,

Białoszewskiego<sup>83</sup>, Hartwig<sup>84</sup>. W wieku XIX z krowy swobodnie pasącej się i przeżuwiającej spróbowano zrobić maszynę do wyrobu mleka i mięsa. To trudna i bolesna historia, na końcu której sytuuje się nasza terażniejszość. Ale wszystko zaczyna się zupełnie inaczej. 6000 lat p.n.e. tur, praprzodek krowy, którą znamy, zdecydował się na zaproszenie człowieka do relacji. Berger, pisząc o mitycznych korzeniach związków zwierząt i ludzi, przywoła poetycki tekst kultury nilockiej, zaczynający się od wersu „Biały wół dobry jest moją matką”<sup>85</sup>, który pokazuje sposób rozumienia symbolicznej wymiany ze zwierzęciem, przypominającym emanację macierzyńskiego bóstwa. Krowa, udomowiona ze względu na mięso i mleko, w wieku XIX przekształcona zostaje w maszynę do przeżuwania. Stworzenie tzw. krowy mlecznej jest efektem mieszczańskiego zamiłowania do świeżego mleka, które narasta w XVII i XVIII wieku. Wcześniej mleko było jedynie składnikiem niektórych potraw lub lekarstwem<sup>86</sup>. Dążenie do „wyprodukowania” zwierzęcia, które dawałoby jak największą ilość białego płynu, sprawia, że w ciągu stu pięćdziesięciu lat tzw. mleczność zwierząt wzrasta nieomal ośmiokrotnie<sup>87</sup>. Dla przykładu – w połowie XIX wieku krowa na północy Francji dawała około 1200 litrów mleka rocznie, a w roku 2000 zwierzę rasy prim’holstein – 9155 litrów w tym samym czasie.

*muchy, żuczki i Gombro*, w: *Zwierzęta i ludzie*, red. J. Kurek i K. Maliszewski, Chorzów 2011, s. 147–158.

<sup>83</sup> Na temat wiersza Białoszewskiego *Być krową* oraz „bydlęcych” kontekstów pisze Jan Piotrowiak, *Być (albo nie być) krową – studium „zwierzęcego” i „ludzkiego” w literaturze*, w: *Zwierzęta i ludzie*, s. 159–167.

<sup>84</sup> „Moja przyjaciółka krowa. Siedzi ze zgiętymi kolanami obok rzewnego cielęcia, które tuli się do niej szukając ciepła na zroszonej trawie”. J. Hartwig, *Portret 1*, w: *taż, Chwila postoiu*, Kraków 1980, s. 12. Na temat krowy w poezji Julii Hartwig pisze Anna Barcz, *Moja przyjaciółka krowa – wspólne doświadczenia. Hartwig i Brach-Czaina*, w: *taż, Realizm ekologiczny*, s. 272–284.

<sup>85</sup> J. Berger, *Po coś patrzeć na zwierzęta?*, s. 8.

<sup>86</sup> É. Baratay, *Zwierzęcy punkt widzenia*, s. 22–23.

<sup>87</sup> „Chodziło o to, aby funkcję, która naturalnie trwa określony czas, uczynić ciągłą; aby przekształcić niewyspecjalizowane krowy w wydajne i permanentne krowy mleczne, nawet już bez cielaka, «staramy się zrobić z nich tylko maszyny do mleka», jak pisze Grognier w 1834 roku, podkreślając zerwanie z porządkiem natury”. *Tamże*, s. 113.

Jak bardzo te liczby odbiegają od naturalnej zwierzęcej fizjologii, pokazuje zestawienie, zgodnie z którym krowa predestynowana do produkcji mleka dla jednego cielęcia zamienia się w maszynę do produkcji pokarmu dla trzydziestu cieląt<sup>88</sup>. Taka zmiana skutkuje przyspieszoną eksploatacją sił żywotnych zwierzęcia: krowa mogąca dożyć 25, a nawet 30 lat – jako automat z mlekiem kończy swoją egzystencję w wieku lat ośmiu. Zmieniają się także diametralnie jej warunki życia: wcześniej zwierzęta wypasane były na nieużytkach, natomiast z czasem to obora stanie się naturalnym krowim rewirem. Przymusowe ograniczenie ruchu spowoduje szereg problemów zdrowotnych, a nawet aberracji psychologicznych. Racice unieruchomionych krów przerastają, prowadząc do sytuacji, w której zwierzęta przez długi czas kłęczą, nie mogą stanąć na nogach<sup>89</sup>. Oczywiście, w pogoni za ideałem korektom poddawana jest także morfologia poszczególnych krowich ras, czego dowodzą liczne eksperymenty mające w odwodzie nieomal matematyczne ideały. Jako przykład niech posłuży krowa rasy normandzkiej:

W pierwszej połowie XIX wieku krowy z tego regionu mają kociastą i kanciastą morfologię, która daje im pofalowane grzbiety, wąskie biodra i klatkę piersiową, długie i zapadnięte boki, dużą szyję, masywną głowę z wydatnym karkiem i imponujące, nieregularne, a nawet różniące się od siebie rogi, wreszcie cechuje je gruba skóra i różnorodne umaszczenie (białe, biało-czerwone, biało-czarne, czarne). W latach czterdziestych XIX wieku próbuje się je krzyżować z angielską rasą Durham, aby zwiększyć proporcję mięsa i móc lepiej sprzedać zwierzęta kończące aktywność; zabiegi te skutkują jednak zmniejszeniem zdolności mlecznych, ostatecznie porzuca się je więc na rzecz wewnętrznej selekcji. Przez dobór hodowców i konkursy, standard i księgę genealogiczną rasy (stworzone w 1884 roku) selekcja ta prowadzi do zmierzchu lokalnych odmian, sprzyjając ocenianym jako

---

<sup>88</sup> Tamże, s. 137.

<sup>89</sup> Tamże, s. 129.

najlepsze krowom z półwyspu Cotentin (później znanym jako normandzkie) i ich ewolucji.

Na początku, od lat pięćdziesiątych do osiemdziesiątych, krowy te zyskują delikatniejszy szkielet, bardziej regularne rogi, a nawet dłuższy ogon, ich biodra tracą kanciastość, a zad i wymiona powiększają się, wreszcie – jeśli chodzi o umaszczenie – coraz częściej mają drobne łaty na jasnym tle. Ich głowa pozostaje jednak okazała, klatka piersiowa – wąska (ponieważ jest to wciąż kryterium decydujące o mleczości), grzbiet – pofalowany z wystającymi kręgami, skóra – gruba (zwierzęta żyją bowiem cały rok na świeżym powietrzu), a niektóre, stosunkowo liczne, zachowują inne umaszczenie. Od lat dziewięćdziesiątych do lat dwudziestych XX wieku postępuje systematyczna transformacja. Krowy tracą wystające kości, a ich ciało osiąga geometryczną regularność: szyję bez podgardla i piersi, horyzontalny grzbiet, zad o prostokątnym kształcie z nasadą ogona dobrze wpasowaną w kości kulszowe, proste pośladki, pełną zrazówkę i cięższe golenie. Zwierzęta przybierają większy i bardziej regularny rozmiar w kłębie, biodrach (powinny być trzy razy szersze niż głowa w okolicy oczodołów) i klatce piersiowej, której rozpiętość stała się kryterium mleczości, wymiona zaś ciągle się rozwijają, a ich skóra robi się bardziej sprężysta i ukazuje wystające żyły. Szkielet – przeciwnie – subtelnieje, zwłaszcza na poziomie kończyn, ogona i głowy. Ta ostatnia zmniejsza się, a jej szerokość musi nieznacznie przekraczać połowę jej długości, kark nie jest już tak widoczny, rogi są mniejsze, spłaszczone, w kształcie wieńca, profil staje się wklęsły, ponieważ czoło wciska się między wystające oczodoły, a w jego powierzchnię – między podstawą rogów i górą oczodołów – powinien dać się wpisać prostokąt (oznaka idealnego piękna!).

Na koniec zwierzęta zyskują delikatniejszą i bardziej elastyczną skórę (jako że coraz częściej przebywają w oborach), prezentują umaszczenie wspólne całemu stadu, z bladeżółtą podstawą, białymi łatami i czerwonymi lub kasztanowymi partiami na grzbiecie, bokach, szyi, kończynach, wokół pyska, uszu, i oczu, tworząc coraz bardziej cenione okulary. Krowy mają też coraz więcej żółtawych pasm w uszach i na końcu ogona, żółty i biały

są bowiem postrzegane jako zewnętrzne oznaki obfitości i bogatego składu mleka. Nieliczne noszą jeszcze zbyt duże i grube rogi, niewystarczająco rozwinięte wymiona, jednolite albo zbyt białe umaszczenie; cechy te niegdyś tolerowane, stają się teraz dyskredytujące. Po 1945 roku, gdy wszystkie zwierzęta wykazują już nową morfologię, ich maść funkcjonuje jako dowód tożsamości: te, które nie mają dobrze rozmieszczonych kolorowych plam, zwłaszcza wokół oczu, ani bieli na głowie, są dyskwalifikowane i tracą na wartości.<sup>90</sup>

Powyższa opowieść o metamorfozie jednej z krowich odmian może zostać potraktowana jako egzemplum, odsłaniające mechanizmy nacisków, jakim poddawane były wszystkie udomowione zwierzęta od początku ich znajomości z człowiekiem. Wiek XIX przyniósł jednak radykalną nowość w tym zakresie: przestano zwracać uwagę na związek zwierzęcia ze środowiskiem, pod którego presją przez lata kształtowała się zwierzęca fizjologia i wygląd. W to miejsce wszedł zootechnik oraz sztuczne warunki hodowli – zamknięte pomieszczenia zamiast naturalnego krajobrazu – oba czynniki przemodelowały krowią (i nie tylko) morfologię. By domknąć historię zwierzęcia symbolicznie matkującemu ludzkości, gdyż człowiek to jedyny ssak, który w wieku dorosłym pije mleko innych ssaków, warto zapytać o perspektywy dotyczące krowio-ludzkiej relacji. Drogi są dwie. Pierwsza wiąże się z możliwością większej zażyłości z konkretnymi zwierzętami, co wydaje się realne w małych rodzinnych gospodarstwach – to tradycja upowszechniona w wieku XIX, do której próbują powrócić zorientowani ekologicznie rolnicy. Niestety, dzisiejsze tendencje są zupełnie inne, związane z intensyfikacją hodowli, powiększaniem gospodarstw i stad zwierząt, co prowadzi do myślenia o nich jak o chodzących na czterech nogach bezimiennych maszynach<sup>91</sup>.

---

<sup>90</sup> Tamże, s. 67–68.

<sup>91</sup> „Badania pokazały, że młodzi, dyplomowani pracownicy intensywnych hodowli częściej niż starsi, mniej wykształceni chłopci, posiadający małe stada hodowane ekstensywnie,

Oczywiście, problemu zwierząt w XIX wieku nie da się opowiedzieć za pomocą z konieczności niedokładnej historii psa, konia i krowy, choć pewne intuicje dotyczące przejścia od zwierząt pracujących do salonowych (pies), rekreacyjnych (koń) czy umaszynowionych (krowa) można jednak uchwycić. Równocześnie z postępującą metamorfozą tych udomowionych wydarzała się przecież intensywna eksterminacja egzotycznych<sup>92</sup>, w pierwszej połowie XIX wieku powstały w Europie tzw. nowoczesne ogrody zoologiczne<sup>93</sup>, co jest ewidentnym dowodem na proces zanikania zwierząt w ich naturalnym środowisku. Edward O. Wilson, amerykański zoolog, w książce *Przyszłość życia* nieprzypadkowo jednak zwróci się najpierw w liście do Henry'ego Davida Thoreau:

Prawdziwa dzika przyroda istnieje jeszcze tylko w glebie i gnijących roślinach pod naszymi butami. Dzikie zwierzęta widzialne gołym okiem przeważnie wyginęły – w „obłaskawionych” lasach Massachusetts nie spotkamy już wilków, pum czy rosomaków. Jednak inne, nawet bardziej pradawne stworzenia wciąż tutaj żyją. Można je zobaczyć za pomocą mikroskopu. Wystarczy zawęzić skalę widzenia, by ujrzeć fragment lasu dokładnie w takiej postaci, w jakiej istniał przed tysiącami lat. Masz na to moje słowo, słowo przyrodnika, który specjalizuje się w małych organizmach.<sup>94</sup>

---

zachowują zdystansowany i chłodny stosunek do zwierząt, oparty na zootechnicznym wzorcu zwierzęcia-maszyny”. Tamże, s. 219.

92 „Nowością był zorganizowany atak na egzotyczną grubą zwierzynę, największy od czasów hekatomby dzikich zwierząt sprowadzonych z Afryki na spływających krwią arenach Rzymu [...]”. J. Osterhammel, *Podbój środowiska naturalnego, atak na biosferę*, s. 507.

93 „Pierwszy w Europie «nowoczesny» ogród zoologiczny otworzył swoje podwoje w 1828 r. w Londynie, w 1848 r. dołączył do niego Berlin (gdzie dopiero w 1865 r. otwarto pawilon z dużymi drapieżnikami); w USA ogrody zoologiczne zaczęły powstawać po roku 1890”. Tamże, s. 509.

94 E. O. Wilson, *Przyszłość życia*, przeł. J. Ruskowski, Poznań 2003, s. 17.

Adresat tego listu, nieomal rówieśnik Mickiewicza, stanowi dla Wilsona najważniejsze odniesienie dla dziś formułowanych ekologicznych postulatów, co wyraziście dowodzi konieczności sięgania po romantyczne intuicje dotyczące odpowiedzialności za przyrodę, relacji ze zwierzętami i całym nie-ludzkim światem, który właśnie wtedy, w wieku XIX niejako wszedł „w zakręt” i wciąż w nim pozostaje, doznając wszystkich niemożności charakterystycznych dla wirażu. Trzeba sporej siły, by pokonać odśrodkowe naciski.

# ANTOLOGIA





**Zwierzęta dają do myślenia i dziwią**



## Sam jesteś psem

Hans Christian Andersen (1805–1875)

Wiedeń, 1834 rok

Gdy potem spacerowaliśmy po ogrodzie, gdzie pokazywał mi uprawiane przez siebie kwiaty, obiecał mi swoje wiersze, żebym mógł go wspominać, i zaprowadził do pomnika, który postawił na grobie żony, z jej ostatnimi słowami, by jej nie zapomniał (umarła rok temu); zostawiła mu po sobie małego pieska, który zdechł osiem dni po jej śmierci, został pogrzebany tuż obok, umieszczono tam napis, że gdyby ktoś irytował się, że postawiono pomnik psu, to pies powiedziałby mu: „*Du bist ein Hund*”<sup>1</sup>.

PRZEDRUK ZA: H.Ch.Andersen, *Dzienniki 1825–1875*, wybór, przekład i opracowanie B.Sochańska, Poznań 2014, s. 125.

---

<sup>1</sup> *Du bist...* (niem.) – Sam jesteś psem.

## Śmierć zwierząt

Stanisław Morawski (1802–1853)

[...] dziwnym było naprawdę i rzadkim zjawiskiem widzieć człowieka, osobliwszym sposobem wstrzemięźliwego, żyjącego ciągle, bez żadnej przerwy, jak dawni anachoreci na puszczy. Pokarm Oleszkiewicza, który nigdy u nikogo nie przyjmował obiadu, pokarm jego zwyczajny, codzienny, niezmienny był: albo talerz mleka, albo kilka jaj na miękko, albo duże trzy kartofle, albo parę małych rybek morskich z rodzaju sielawy, koruszką w Petersburgu zwanych, i kawałek chleba. Mięsa ani zwierzyny od lat kilkudziesięciu, od tego czasu, jak mówił, kiedy mu się utworzyły oczy, nigdy do ust swoich nie wziął. Upowszechnionym morderstwem zwierząt domowych i rozlewem krwi ich najszczerzej się brzydził i to za piętno Kaina, na rodzaju ludzkim ciężące, i za źródło mnóstwa nieszczęść i ślepoty świata tego uważał. Z tegoż samego powodu miał za wielki grzech polowanie i myśliwych, z pewnym rodzajem politowania na niego patrzących, ile mógł i jak mógł, od tej pełnej śmiertelnego grzechu zabawy odkłaniał i odwracał. Jak Indianin jaki żadnego nigdy żyjącego stworzenia nie zabił. A to było dziwniejszym, że w samej rzeczy, czy sekretem jakim, czy cudem, czy instynktem wdzięczności tych stworzeń, muchy, komary i wszelkie inne robactwo, tak w Petersburgu do rozpaczcy obfite, nie znajdowały się, nie drażniły go nigdy w jego mieszkaniu chociaż wśród lata, kiedyśmy się od tego opędzić niczym nie mogli, u niego wszystkie okna ciągle otworem stały! Tak chodzą pszczoły po niektórych naszych litewskich bartnikach i nie kąsają ich nigdy.

Pośród tych dyskusji i dysput o prawie odbierania ciepłego życia jestestwom niewiele niższej od nas porody wyprowadzał często na pole bitwy pełne tajemnicy pytanie: „Gdzie się kryją zwłoki przyrodzoną śmiercią zagasłych zwierząt, na swobodzie, w stanie dzikości żyjących?”. Rzeczywiście nikt nigdy z myśliwych, nikt z kopców, lub pasieczników, nie znalazł nie tylko trupa, ale nawet

szkieletu takiego zwierzęcia lub ptaka, chyba że nagłą a sztuczną śmiercią były zamarły. A jednak one i naturalnie umierają, tak jak wszystko, co tu wzięło życie!

„Gdzież się to podziewa? odpowiedźcie mi, proszę!” mówił: „Czego dalej szukać? Wróble są półdomowym ptactwem. Wszak one umierać muszą? Pokażcież mi zwłoki lub szkielety wróbli, oprócz tych, które człowiek, jastrząb, krogulec, mróz wielki lub inny przypadek zabije? Ale wtedy śmierć ich jest przypadkowa”.

Nikt mu tego pytania nigdy rozwiązać nie umiał! On sam także na nie nie odpowiedział nigdy nikomu, chociaż mówił jakby o rzeczy, której tajemnicę posiadał. Ale to najlepsze, że w siedemnaście lat po jego śmierci jeden z tych, co go mówiącego słuchali i słyszeli, w piśmie polskim publicznym toż samo pytanie za swoje i przez siebie wyszukane ogłosił, nie wspomniawszy nic o tym poczciwym starcu, który tyle równie ciekawych, albo i ciekawszych jeszcze nam zadawał pytań.

PRZEDRUK ZA: S. Morawski, *W Peterburku 1827–1838*, wyd. A. Czartkowski, H. Mościcki, Poznań [1927], s. 129–131.

## Brak zwierząt

Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841)

1 lipca. Jak zwykle, wyszedłem z rana i obszedłem część górzystą i zarosłą boru Montmorency. Odkryłem niedaleko, w bok cmentarza kasztan mniej gruby, lecz rozłożystszy nierównie od kasztana już wspomnianego. Tyle mnie ogrom tego rodzaju drzew zadziwia, tyle zastanawia ogołocenie lasów tych z wszelkiego zwierza. Ni lis, ni zając, ni królik nawet nie przebieży. Rzadki nawet ptaszek ze śpiewami jego. To przypomina odpowiedź jednego Moskala, którego gdy pytano, jak mu się Francja podoba: nadto w niej, rzecze, ciasno. Jakoż gęstość wiosek, wszędy uprawa, wszędy lud pracujący nie zostawia miejsca zwierzętom.

PRZEDRUK ZA: J.U. Niemcewicz, *Pamiętnik. Dziennik pobytu za granicą*, t. 2: 1833–1834, Poznań 1877, s. 412.

## Brak ptaków

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

Adam powiadał kiedyś o jednym swoim znajomym, że był dla niego jak cukrowa woda: z początku zda się smaczna, a w końcu wzbudzająca nudności i kliwość. Otóż ja ci to samo powiadam o kraju lombardzkim. Z pierwszego rzutu oka zachwyił mię jak raj; a teraz myślę, że gdyby raj miał być wciąż taki – to jest choć piękny i obfity, ale płaski i jednostajny, jak cała droga z Mediolanu aż do samego prawie jeziora di Garda – to prawdziwie nie ma co dziwić się Ewie, że się w nim na koniec znudziła i zapagnęła jakiejś takiej odmiany. Szosse, drzewa morwowe, winogrona i kukuruza; domki, wioski, miasteczka (murowane, ale dość brudne), i gdzieniegdzie wspaniałe wille – oto cały rejestr widoków, jakie się widzi wzdłuż po stronach drogi. Nigdzie najmniejszego pagórka, nigdzie łąki ani gajku, nigdzie śpiewu ani świergotu ptasząt! Adam słusznie powiada, że wolałby żyć w stepie, niżli tutaj na wsi.

PRZEDRUK ZA: A. E. Odyniec, *Listy z podróży. (Z Warszawy do Rzymu)*, t. 2, Warszawa 1875, s. 119.



## Szczurzy sabat

Deotyma (Jadwiga Łuszczewska) (1834–1908)

Gdyśmy się ujrzeni pod prawdziwym dachem, wpośród prawdziwych drzwi i okien, gdzie nic nam na głowę nie kapało, gdzie w nocy żadne zwierzę nie zaglądało, myśleliśmy, że jesteśmy w raju.

Wprawdzie i tam nie brakło zwierząt. Co wieczór seciny szczurów, goniąc się nad pułapem i za ścianami, wyprawiały tak niesłychane Sabbat, że gdy dla obrony zaprosiliśmy kota, choć kocisko było ogromne, czarne i złośliwe, przecież zląkło się, wydeło grzbiet i uciekło. Myśmy nie uciekli, bo też i nie mogliśmy już wrócić na pole; śnieg padał w najlepsze i w tydzień później była już pyszna sanna.

I tym to porządkiem zawsze rok toczy się dla tamtych gubernij. Dziewięć miesięcy zimy twardej, nigdy nierozmarzającej. Potem sześć tygodni potopu. Dalej sześć tygodni senegalskich upałów. I znów dziewięć miesięcy zimy – i tak ciągle w kółko.

Pomimo szczurów, które ostatecznie, prócz strachu, nie zrządziły nam żadnej szkody, było nam bardzo dobrze w tych pokojach ciepłych, obszernych i widnych. Wróciliśmy do naszych zajęć, do naszych przeróżnych zabaw, coraz wdzięczniejsi Bogu, coraz bardziej nad sobą wzajem rozczuleni.

PRZEDRUK ZA: *Pamiętnik Deotymy (Jadwigi Łuszczewskiej)*, Warszawa 1910, s. 70–71.

## Fauna Araukanii

Ignacy Domeyko (1802–1889)

Po pampach i łąkach rozlega się rżenie niezliczonych stadnin koni z gatunku pięknej rasy andaluzkiej, którą hiszpańscy zdobywcy sprowadzili z Europy, a która rozradzając się niesłychanie szybko na tych stepach i bujając swobodnie, znacznie się wzmocniła. W lat dwadzieścia po ukazaniu się po raz pierwszy zdobywców szwadrony Indian występowały już do boju i jak się pokazuje szybko bardzo oswoiły się z tem nieznanym im dotąd zwierzęciem, którego wprowadzenie wraz z rogatym bydłem i trzodami owiec przyczyniło się wiele do ich ukształcenia i samoistnego rozwoju. Jedynym ich dobytkiem zdawała się być lama dźwigająca ciężary, i która zasłużyła na nazwisko wielbłąda tych okolic skalistych, tych piasków, moczarów i zarośli. W niedostępnych górach jest inny jej rodzaj *camelus vicugna*<sup>1</sup>, który z guanaką, dziką kozą tych stron, i z osobnym rodzajem antylopy szczyty Andów zajmuje. Spokojne te zwierzęta nie są bez krwawych nieprzyjaciół; są to po większej części dzikie koty niezwykłej wielkości, jak na przykład *felis puma*, którego hiperbola hiszpańska zaszczycza nazwiskiem lwa chilijskiego lub *margay (felis tigrana)*<sup>2</sup>, i w burzliwych tylko nocach polujący ocelot i *yaguarondi*<sup>3</sup>. Pasterze zaciętą wydają im wojnę, z nadzwyczajną zręcznością zarzucają na nie ów sznur opatrzonej w końcu kulami, owe sławne lasso będące tak straszną bronią w Ameryce południowej – a mając drugi jego koniec uwiązany u siodła, puszczają konia w całym pędzie i ściągają uplatane drapieżne zwierzę z najwyższego drzewa na ziemię, na pastwę zajadłej psiarni, czekającej u spodu. Nie mniej strasznymi dla trzód są i sępy wielkiego ogromu i mocy polujące na jagnięta, małe kózki, a niekiedy i dzieci. Prócz tego

1 Wikunia andyjska – najmniejszy przedstawiciel rodziny wielbłądowatych, przodek alpaki.

2 Margaj, ocelot nadrzewny – drapieżny ssak z rodziny kotowatych.

3 Jaguarundi amerykański – drapieżny ssak z rodziny kotowatych.

lasy chilijskie ożywione są niezwykłą liczbą stworzeń, z których czynczyla (mus laniger)<sup>4</sup> wraz z osobnym rodzajem bobrów i trójbarwnym lisem, pięknych dostarczają futer. – Rybne podbrzeża oceanu nawiedzane bywają niezliczonymi stadami fok i ogromnej wielkości żółwi. – Kraj chilijski poszczycić się może, że prócz białego niedźwiadka i kilku rodzajów ogromnych pajaków nie ma prawie żadnych w swym łonie jadowitych stworzeń.

PRZEDRUK ZA: I. Domeyko, *Araukania i jej mieszkańcy. Wspomnienia z podróży po Południowych prowincjach rzeczypospolitej Chilijskiej*, tłum. J. Zamostowski, Wilno 1860, s. 11–13.

---

<sup>4</sup> Szynszyla mała – endemiczny gatunek gryzonia.

## Zwierzęta Kirgizów

Edward Ostrowski (1816–1859)

Głównym przedmiotem ich handlu są zwierzęta domowe i niektóre produkty sprzedawane w surowym stanie. Żadnych nie mają u siebie fabryk i rękodzielni, niewielu i to najgorszych i najdroższych rzemieślników, u których także, nigdy prawie, nie ma nic gotowego, lecz wszystko zamawiać potrzeba.

Niepodobna mi także chociaż słów kilku nie powiedzieć o domowych zwierzętach Kirgizów, stanowiących nie tylko niezbędny artykuł żywności i główną dźwignię handlu, lecz nadto zastępujących monetę (akcza), gdyż najczęściej wartość usługi, zatrudnienia lub rzeczy jakiej oblicza się tu nie na ruble i kopiejki, dobrze znajome Kirgizom, ale na barany, konie itp. Mówiąc wszakże o zwierzętach, nie znudzę cię bardzo długo. Nie powiem o ich chowie, bo ten prawie się niczym nie różni od chowu u Kałmyków; pominę opis chorób i ich przyczyn itp. a zatrzymam się nieco nad tym, co cię więcej zająć zdoła.

Wielbłądy Kirgizów są albo jednogarbowe zwane dromadarami, lub też, co częściej bywa, dwugarbowe. Bywają one siwe, rdzawe lub kasztanowate, często bardzo wielkie, szczególnie jednogarbowe, przy tym silne, wytrwałe, poprzestające na najędźniejszym karmie i długo wytrzymujące brak wody. Używają ich głównie do przenoszenia ciężarów w dalekie nieraz strony, wkładając na jednego wielbłąda do 20 i więcej pudów. Czasami jeżdżą na nich konno, niekiedy urządając na grzbiecie siedzenie na kilka osób; lecz ta jazda jest bardzo męczącą z powodu trzęsienia, porównać ją można do jazdy po morzu, w czasie burzy. Chód wielbłąda jest spory, daleko prędszy niż konia; ale do prędkiego biegu niełatwo go namówić: w ogólności bardzo jest krnąbrny i leniwy, szczególnie w porze letniej. Młodemu wielbłądowi w drugim lub trzecim roku życia wypalają Kirgizy otwór w przegrodzie nosowej. Do otworu tego wprowadzają wałeczek drewniany, a do niego przyczepiają

powróż, który im służy za cugle. Przed użyciem wielbłąda porusza go Kirgiz, pociągając cugle i słowem *czok* daje rozkaz do ukłęknięcia i położenia się na ziemi. Na leżącego nakłada ciężary lub sam wsiada i następnie targaniem powodu i powtórzonym słowem *czok* każe mu się podnieść. Przy tym zwyczajnie wielbłąd zaczyna ryczeć przeraźliwie, aż po długim namyśle podniesie się z ziemi powoli, z początku na kolana, później zupełnie wstaje, oglądając się na ciężar i przeraźliwie rycząc, puszcza się w drogę. Powolne te, leniwe i flegmatyczne istoty dziwnie są jednak czułe dla swych dzieci. Matka rozdzielona ze swoim dzieckiem tak się ciągle o niego niepokoi, takie raz po raz bolesne wydaje jęki, że wytrzymać prawie niepodobna. Nieraz to na mnie tak przykre robiło wrażenie i do tak niemilego nastrajało usposobienia, że w istocie byłem zupełnie jak nieszczęśliwy jaki kochanek, mający z rozpaczy życie sobie odebrać. Kirgiz jednak na te jęki bynajmniej nie zważa, zażywa spokojnie tabakę i popędza dalej stękającą wielbłądźcę. Przy zatrzymaniu się gdzie bądź, chociażby na chwilę, sam wielbłąd natychmiast klęka, kładnie się na ziemi i bardzo się cieszy, jeżeli zdejmują zeń ciężary. Zgłodniały, szuka sobie nędznego na stepie pożywienia; jeżeli nie jest głodnym lub nie ma na stepie pożywnych chwastów, leży spokojnie i odpoczywa. Oprócz użytku z siły wielbłąda, mają z nich Kirgizy skórę, wyrabiającą się najczęściej na tak zwany surowiec lub na worki do kamysu<sup>1</sup>, mleka i wody, zwane u nich *saba* i *tursuk*; mają wełnę, czyli tak zwany włos i puch wielbłądzi, którego co rok zbiera się około jednego puda ze 3-ch wielbłądów i sprzedaje się mniej więcej po 2 rub. za pud. Z tej wełny w gubernii orenburskiej, saratowskiej i innych, wyrabiają sukno grube, chętnie przez samych Kirgizów kupowane na tak zwane czekmeny. Włos gruby wielbłądzi służy do wypychania materaców, poduszek itd., a z puchu wyrabia się rodzaj szalów i inne materie. Mięso jest łykowate, twarde i niesmaczne; służy jednakże Kirgizom za pokarm, lecz pospolicie w tym tylko razie, gdy wielbłąd nie może już być

---

<sup>1</sup> Kamys, kumys – mleczny napój alkoholowy.

używany do pracy i musi być zabitym. Mleko wielbłądzie i ajran<sup>2</sup> z niego przygotowany jest lepszym od mięsa i używa się pospoliciej. Przedni wiek wielbłąda liczą tam około lat 25. Nie ma wątpliwości, że może żyć daleko dłużej; lecz przedwczesne użycie do pracy i nieumiarkowane obładowywanie ciężarami, złe utrzymanie i choroby, najczęściej skracają mu życie. Ceny na wielbłąda bywają tam mniej więcej od 15–30 rub. za sztukę, i taniej płacą za dwugarbne, a drożej za dromadery.

Mógłbym ci wiele jeszcze rzeczy napisać o wielbłądach, pomijając inne powody, chcąc być treściwszym: bo może się przytrafić, że listy te będą czytane przez kobiety, i rozwlekłość by je znudziła, czego bynajmniej nie życzę.

Konie kirgiskie, jeżeli nie odznaczają się pięknnością kształtów, za to cnotą mało ustępują najwyborniejszym nawet rassom. Są rączne, wytrwałe, często swawolne, lecz mniej od kałmyckich złośliwe, wzrostu małego i bardzo pod tym względem do mierzynów<sup>3</sup> nasyżych podobne. Najczęściej bywają gniade, lubo i wszystkie inne maści, nie wyłączając srokatej, łatwo tam widzieć można. Budowy są zwężłej, wejrzenia przyjemnego, rysy mają zaokrąglone, głowę średniej wielkości, często nawet małą, zwyczajnie prostą, rzadko garbatą, i w ogólności dobrze do szyi zastosowaną. Konie górne wargi i nos mają często jakby ukośnie ścięty, szyję dość krótką i prostą, krzyż ścięty, osadę ogona dobrze do ciała przystającą, nogi silne, nie cienkie, długo włosiem porośnięte, a pęciny zazwyczaj ukośne. Średnia cena konia wynosi około 10 rub. sr., chociaż bywają zdarzenia, że za konia szczególnych przymiotów płacą po 50–5 rubli i więcej. Konie kirgiskie chodzą po stepach tabunami. Zamożni właściciele posiadają ich po kilka tysięcy sztuk, lecz wielu biednych Kirgizów często nie ma ani jednego. Używają koni do jazdy konnej, w której Kirgizy bardzo się odznaczają, czasami do przenoszenia ciężarów, szczególnie latem, bo w innych porach roku chętniej

---

<sup>2</sup> Ajran – napój jogurtowy.

<sup>3</sup> Mierzyn – wytrzymały koń o małym wzroście.

posługują się wielbłędami. Skóry ze starych sprzedają na wyroby garbarskie, skóry źrebiąt wyprawione z sierścią służą na tak zwane ergaki. Mięso końskie, a szczególnie źrebięce uważa się za wielki przysmak; z mleka klaczy przyrządzają kumys, dziwnie mile łechcący podniebienia Kirgizów. Oprócz pospolitej rasy kirgiskich koni jest tam jeszcze rasa poprawna zwana argamaki; konie te nie tylko się wychowują w Chiwie, Bucharii i na wschodnim brzegu Kaspijskiego morza, szczególnie u Turkmenów, lecz są także i u wielu Kirgizów. Argamaki powstały z połączenia się rasy kirgiskiej ze wschodnią, a szczególnie z arabską; droższe są od zwyczajnych kirgiskich koni, odznaczają się wyższym od nich wzrostem i harmonijnością kształtów, przekazaną im od przodków pochodzenia wschodniego, bardzo rącze, wytrwałe i głód wytrzymujące długo.

Konie zwane kara-bair (ubogi wzbogacił się) powstają z połączenia koni kirgiskich z góralskimi kaukazkimi lub czerkieskimi i odznaczają się przymiotami obu tym rassom właściwymi.

Bydło rogate Kirgizów mało się różni od naszego, szczególnie hodowanego przez chłopków litewskich. Ta chyba, nie tyle w powierzchności, ile raczej w charakterze, zachodzi między nimi różnica, że krowy Kirgizów tak są znarowione, że nie dają inaczej mleka, jak tylko przy cielęciu. Dlatego też, chcąc doić krowę, przypuszcza się do niej cielę, które skoro wyssie kilka kropli mleka, zostaje odpędzane, a krowa doić się daje. Mleka krowy tameczne dają niewiele, co pochodzi z lichego ich utrzymywania, nieumiejętnego z nimi się obejścia, braku łagodności ze strony dojek, i bez wątpienia właściwości rasy. Z mleka tego przyrządzają ajran, ser kirgiski podobny z wejrzenia do kamienia, wcale niemiłego smaku, i na koniec masło, zbijane zwykle w workach skórzanych i przyrządzane najnieporządniej, tak, że go niepodobna prawie skosztować letnią porą przy strasznych upałach; dla braku lodowni i naczyń przechowują tu masło w żołądkach bydłęcych lub cielęcych, zakopywanych zwykle do ziemi i codziennie, w miarę możliwości, polewanych zimną wodą. Sądzę, że łatwo sobie wyobrazisz, jak dalece takie masło może smakować z bułką przy kawie lub herbacie. Zresztą

z krów swoich mają Kirgizy skóry i mięso. Średnia cena sztuki bydła rogatego bywa od 2 do 17 rub. sr.

Owiec Kirgizy chowają najwięcej. Rzadko można znaleźć tak biednego Kirgiza, który by ich zupełnie nie miał, a są tacy, co mają po kilka tysięcy. Owce ich, tak zwane tłustoogonowe, czyli *czunduki*, mają zamiast ogonów ogromny na pośladkach narost, napełniony tłuszczem, a zowiący się kurdiukiem. Narost ten jest dobroczynną spizarnią kirgiskiej owcy. Przez lato bowiem i jesień przy pożywym karmie napełnia się kurdiuk tłuszczem często do 40 funtów wynoszącym; przez zimę zaś, przy nędznej paszy, zmniejsza się coraz bardziej, zasilając swymi cząstkami krew owczą i broniąc ją od śmierci z głodu. Po bliższe wyjaśnienie w tej mierze odsyłam cię do jakiegokolwiek Fizjologii, np. uczonego i zacnego naszego profesora Adamowicza z Wilna, bo ja się wcale nie myślę tu wdawać w naukowe zaciekania. Owce Kirgizów są dosyć wielkie, wełnę mają grubą i szorstką, zdatną na najgrubsze tylko sukna, koloru najczęściej rudawego lub kasztanowatego, lubo są także białe, pstre i czarne. Uszy mają bardzo długie i obwisłe, a prawie wszystkie są bez rogów. Dają wyborne mięso, będące w najpospolitszym u Kirgizów użyciu. Mięso młodych owiec, zwanych tam *kurgaszk*, jest tak lubione, jak kurczęta lub wyborne kapłony w Warszawie. Wełna strzyżona rzadko się sprzedaje, lecz używa się na wołłoki, czyli *koszmy*, którymi Kirgizy pokrywają swoje kibitki. Nadto otrzymuje się z owiec znajomą ci już dżahagę, mleko, ajran, ser i masło, a skóry ich służą na kozuchy lub też do wyściełania na zimę ziemi w kibitkach. Oprócz tego owce lubią bardzo i niszczą tarantule, bronią więc Kirgizów od tych jadowitych pająków. Średnia cena owcy bywa od 2–4 rub. sr. za sztukę.

Kozy utrzymywane są po większej części przez biednych tylko Kirgizów. Dają one więcej mleka niż owce i przez czas daleko dłuższy żywią nim letnią porą całe biedne kirgiskie rodziny. Kozy te podobne bardzo do kałmyckich, wzrostu są średniego, czasami bez rogów, uszy mają długie i obwisłe, włos siwy, biały, lub mieszany, nogi najczęściej więcej niż u naszych kóz obrosłe. Mają z nich



Kirgizy oprócz mleka, znośnego mięsa i skóry włosy używane na powrozy i sznurki do umocowywania i związywania kibitek oraz około jednego funta puchu, którego pud jeden sprzedają po 3 ½ do 4 ½ rub. sr., a z którego wyrabiają się miękkie i ciepłe chustki, wyborne pończochy i rękawiczki. Ceny kóz bywają pospolicie od 1 ½ – 2 ½ rub. sr. za sztukę.

Psów u Kirgizów wiele wszędzie spotkać można; większa część ich podobna bardzo do naszych chartów, zdarzają się jednak i nasze zwyczajne kundle. Trzody chlewnej, z powodu zakazu religijnego, a ptactwa domowego dla trudności utrzymywania przy życiu koczującym Kirgizy wcale nie mają.

List ten, jak widzisz, bardzo się rozrosł; czytając go, możeś zapomniał, że to list, może ci się zdaje, że to jaki traktat historyczny, prawny, botaniczny, gospodarski itd., słowem, że to jest najrozmaitsza mieszanina z różnych rzeczy. Cóż dziwnego?... wszakże właśnie w liście można pisać wszystko, plątać, mięszać, powtarzać itd., przynajmniej takie ja często listy odbieram; sądzę więc, że i mnie nawzajem wolno dopuścić się podobnego grzechu.

PRZEDRUK ZA: E. Ostrowski, *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich*, t. 1, Grodno 1859, s. 210–221.

## Zwierzęta w cyfrach

Edward Ostrowski (1816–1859)

Głównym zatrudnieniem, bogactwem i jedynym prawie środkiem do życia Kirgizów jest (jak rzekłem) chów zwierząt domowych. Miarą zamożności naszej jest obszar ziemi, liczba dusz poddanych lub też obrachowany na pieniądź dochód roczny. W stepach Kirgizów liczy się wszystko na konie, bydło, wielbłądy, owce i kozy. Liczba zwierząt, jako wyobrażenie zamożności, przyjęta jest także za podstawę do pobierania opłat, które Kirgizy wnoszą do głównej kasy Rady rządzącej. Opłaty te stanowią oddzielne kapitały hordy, z których się zaspokajają różne wydatki zarządu. Wnosiły one w 1855 roku 89,322 rub. sr. i 95 kopiejek. Summa ta pobieraną tu była podług rozkładu zrobionego przed kilkunastu laty, przy którym miano na względzie ilość posiadanych zwierząt domowych przez każdego właściciela. Obliczenie to jednak, ile mi wiadomo, nie było ściśle matematyczne, lecz zrobione przez przybliżenie. Wówczas liczone w hordzie mniej więcej wielbłądów sztuk 58,903, koni 225,173, bydła rogatego 158,792, owiec 1092,476 i kóz 131,171, i na tej zasadzie rozdzielono opłatę między mieszkańców. Obecnie rząd, zaprowadzając ściślejszy porządek między Kirgizami, urządził dwa okręgi w południowej [części] stepów, gdzie i statystyczne wiadomości są już pewniejsze. W tych okręgach przyjęto za zasadę, że od wielbłąda i konia wnosi właściciel każdy dorocznie do kasy hordy po kop. 28 od sztuki, od bydła rogatego po kop. 14, a od owcy i kozy po kop. 4. Trudno jest z pewnością oznaczyć ludność Kirgizów hordy wewnętrznej, gdzie nawet przy pobieraniu opłat bardziej się zwraca uwaga na liczbę zwierząt niż na liczbę mieszkańców. Podług przybliżonego obliczenia w roku 1849 było tam kibitek 23,598. Przyjęto zaś tu mniej więcej za zasadę liczyć na jedną kibitkę dusz 5. Byłoby więc podług tego ludności dusz 118,990. Od tego jednak czasu znacznie się

pomnożyła ilość kibitek, nie ma więc wątpliwości, że ludność też urosła.

PRZEDRUK ZA: E. Ostrowski, *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich*, t.1, Grodno 1859, s. 188–190.

## Stepowe zwierzęta

Edward Ostrowski (1816–1859)

Ze zwierząt znajdujących się w stepach tutejszych, oprócz domowych wielbłądów, koni, bydła rogatego, owiec, kóz i psów, widzieć tu można czasami wilków i zajęcy. Często odwiedzają te strony ogromne stada antylopop. Mnóstwo jest małych zwierzątek zwanych susłami oraz ziemnych zajączków (dipus); wiele też stepowego ptactwa, a szczególnie stepowych orłów, jastrzębi i dropi; zresztą są wróble, jaskółki, wrony, kawki, dzikie kaczki, gęsi i mnóstwo innego ptactwa wodnego, jak kuliki, czaple itp., nie są tu też rzadkością. Kur, kaczek, gęsi i indyków Kirgizy wcale nie mają. Szczególnego kształtu wielkogłowe jaszczurki stepowe szeleszczą prawie na każdym kroku; często się spotykają i zwyczajne żmije. Nierzadko można widzieć tarantule, rzadziej skorpiony, a mają być także i falangi<sup>1</sup>. Mnóstwo różnego rodzaju much, muszek, bąków, gzów i komarów do nieopisania natrętnych buja w powietrzu, szczególnie w południowej stronie kraju lub w bliskości wody. Klimat w stepach kirgiskich nieznośny: latem bywają upały przechodzące 45 stopni podług Réaumura<sup>2</sup>; zimową porą mrozy dochodzą do 25 stopni, a niekiedy i więcej. Zmiany temperatury bywają wielkie, przejście od wiosny do lata bardzo prędkie, a jesień uważa się tu za przyjemniejszą porę roku. Zdarzające się często wśród zimy gołoledzie utrudniają zwierzętom domowym wydobycie paszy spod lodu, a częste wiatry i zawieje, zwane tu buranami, nieraz bywają przyczyną zguby całych trzód kirgiskich. Sanna droga bardzo rzadko tu bywa, i to nigdy prawie nie trwa długo.

Poznawszy chociaż w części ziemię Kirgizkajsaków, jej płody, własności i klimat, chciej teraz zwrócić oko i na samych jej mieszkańców. Przejeżdżając w różnych kierunkach stepy tej hordy,

<sup>1</sup> Falangi – ros. solfugi, solpugi, pajęczaki.

<sup>2</sup> Skala Réaumura – jedna ze skal termometrycznych; 1 stopień w skali Réaumura = 1,25 stopnia Celsjusza.

oprócz samej Stawki Chana, którą ci obszerniej później opiszę, znajdziesz tu tylko w północno-zachodniej stronie jedną posiadłość, bardziej podobną do naszych. Jest to właśnie targun stanowiący dawną letnią stawkę, czyli rezydencję zmarłego chana Dżangiera. W stawce tej dom samego chana porządnie zbudowany, kilka innych domów dla jego służby i odwiedzających, niezły ogród owocowy i rodzaj kanału, czyli też rzeczki, sztucznie uformowanej i zarybionej, w porządnym są stanie i stanowią prawdziwą osobliwość tej strony. Targun należy dziś do spadkobierców chana. Możesz tam oprócz innych rodzajów zwierząt domowych, w wielkiej ilości utrzymywanych, widzieć także masę koni zwanych argamakami, pochodzącymi z pomieszczenia koni kirgiskich z arabskimi.

PRZEDRUK ZA: E. Ostrowski, *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich*, t. 1, Grodno 1859, s. 183-185.

## Zwierzęta nad Wołgą

Edward Ostrowski (1816–1859)

Brzeg Wołgi był w tym miejscu gliniasto piaszczysty, czasami zupełnie niczym niepokryty, czasami porosły małymi krzakami lub biednymi żółkłem trawami; niekiedy nawet spotykałem kawałki niezłych łąk, nieco zieleńszych, i małe kawałki stepu, pokryte prosem. Od czasu do czasu, widzieliśmy w bliskości brzegu jedną lub dwie kibitki kałmyckie z niewielkimi przy nich trzodami; lecz prawdziwych chotonów nigdzieśmy nie spotkali. Na prawym brzegu Wołgi często można widzieć ogromne kotły spiżowe, służące do wytapiania tłuszczu z ryb, lecz tu i tych nigdzieśmy nie widzieli. Nad samym brzegiem rzeki spostrzegłem ogromne żaby zielone, wielkości znaczniejszej od dwóch razem wziętych dłoni; czasami zmykały do wody ogromne węże zwyczajne; nad naszymi głowami latały różne gatunki czapli, kulików i innego ptactwa wodnego; całymi chmurami zrywały się kawki i kruki. Często niedaleko od brzegu ukazywały się nam jastrzębie i ogromne stepowe orły, a nad wodą podskakiwały ogromne ryby. Konch, czyli muszli, których wczora znaczną ilość zebraliśmy na prawym brzegu Wołgi, wcaleśmy dziś nie widzieli; lecz natomiast w niektórych miejscach, niedaleko od brzegu rzeki, oglądaliśmy wiele pięknych krzaków lukrecji.

PRZEDRUK ZA: E. Ostrowski, *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich*, t. 1, Grodno 1859, s. 132–133.

## Zwierzęta na Kamczatce

Józef Kopec (1762–1833)

Komendant później, gdy mnie znalazł w takim stanie, pozwolił trzy razy w tydzień przechodzić się na brzeg oceanu, co mi wielką ulgę przyniosło, a później i większą znalazłem powolność chodzenia. Gospodarz mój nauczył mnie po rusku czytać; schodził mi czas na czytaniu, dopóki wzroku nie osłabiłem przez dymy od wulkanów, wapory morskie, które tak są gęste, iż zdaje się, że ręką można je dotykać. Przechadzając się ponad oceanem, przypatrywałem się dziwnym widokom natury; zawsze straż nieodstępna mojego boku ostrzegała mnie, żebym unikał bałwanów przychodzących, które mogą wciągnąć do morza. Było moją zabawą zbierać różne kamyki, bursztyny i konchy morskie: znachodziłem czasami konchy z perłami, ale bardzo drobnymi i płaskimi, które nawet do kraju z sobą przywozłem. Było też największą satysfakcją dla mnie zostawać na brzegach morza przed nadchodzącą burzą, bo tysięczne stworzenia z morza ukazywały się, jako to: wieloryby, morze<sup>1</sup> czyli lwy morskie, siwucze albo konie morskie, krowy, nerpy<sup>2</sup>, i psy tysięczne morskie. Krzyk niezmierny ptactwa, osobliwie jest rodzaj nurków, większe od gęsi naszych i krzyczą nieustannie najprzeróżliwiej, które oni zowią gagary. Suknie z ich skór robią bardzo piękne, kolor mają osobliwszy, i nigdy nie ginie ich piękność.

---

<sup>1</sup> Morzów czyli lwów morskich najwięcej starają się zdobywać, które mają zęby długości około półtora łokcia, grubości jak ręką objąć, kości białej i niczem się nie różnią od stoniowej. Zębami temi prowadzą kupcy handel i przewożą do Kjachty. Znajdują także ponad brzegami morza lodowatego kości białe osobliwszej wielkości zwierza (którego tam nazywają) mamut, ale dziś ten rodzaj wyginął lub przeszedł w inną część świata, którego to zwierza kości idą w handel do Kjachty i są tam szacowniejsze od morzów, część niejaka idzie w handel do Moskwy. Ogromny to musiał być zwierz, jak można wnosić z jego żeber, które są szerokie blisko na ćwierć łokcia; długość zaś proporcjonalna do szerokości (przyp. aut.).

<sup>2</sup> Nerpa – drapieżny ssak z rodziny fokowatych.

Kiedym się czasem wydalił brzegiem na pół ćwierci mili od kolonii i bawiłem się zbieraniem moich konch, wydarzyło się tak, że blisko mnie wielki upadł kamień; rozumiałem, że z obłoków. Był też obecny przy mnie majtek, rozważamy, co by to było? kiedy on wtem spogląda na wyniosły brzeg nad nami i postrzega niedźwiedzia spuszcającego na nas te kamienie. Usunęliśmy się z tego miejsca i odtąd już nie chciałem się oddalać od kolonii.

W jesieni morze jest najrozhukańsze: słychać ustawiczne bałwany i szum największy oceanu. Kiedy się bałwan o brzeg rozbija, natenczas cała ta niższa Kamczatka się wstrząsa. Dni bywają szare, a noce najciemniejsze. Skoro uderzą bałwany i powstanie szum morza, zaraz kilkanaście tysięcy psów, które przez lato żywią się rybą na brzegach morskich, zawiją wszystkie w tym czasie, w niejakej odległości podobnie niedźwiedzie odezwą się ze swym głosem. Wulkan brzmi nieustannie i wyrzuca ogień: co za okropny wtenczas spektakl i sytuacja człowieka! Psy dopiero późną jesień wracają do swych gospodarzy, którzy już dla nich przyspasabiają ryby suszone na zimę, bo latem psy nie są dla nich użyteczne. Niedźwiedzie żywią się rybami, dopóki nie dojrzeją jagody i cedry (orzechy tameczne). Niedźwiedzi Kamczadale bardzo niewiele biją prócz najwyborniejszych czasem do zakrycia sanek, bo lepsze futra mają w wielkiej obfitości.

PRZEDRUK ZA: *Dziennik podróży Józefa Kopcia*, przedmowa A. Mickiewicza, Paryż 1867, s. 42–44.



**Wilk nie do oswojenia**  
*Elementarz dla dzieci polskich*

Paryż 1851

Najpospolitszy u nas i w całej Europie niszczyciel zwierząt i bydłał użytecznych człowiekowi, jest Wilk, równie zuchwały rozbojnik jak zręczny złodziej baranów, źrebiąt, kóz, świń, a czasem i ptactwa domowego. Na pochycenie większej zdobyczy, np. konia albo wołu, wilki wyprawiają się w spółce; a podczas tęgich mrozów chodząc zgłodniałe licznymi gromadami, pożerają czasem i ludzi. W Anglii, która jest wyspą, zdołano je wygubić do szczętu, w ludniejszych krajach, gdzie mało lasów, trudno im mieszkać, ale w okolicach górzystych i leśnych lub rzadko zasiedlonych mnożą się obficie. Wilk, chociaż należy do rodzaju psiego, nie szczeka jednak, tylko wyje, i wiecznie zostaje w największej nieprzyjaźni z psami; nigdy nie można go oswoić zupełnie.

PRZEDRUK ZA: *Elementarz dla dzieci polskich*, Paryż 1851, s. 172.

## Latające ryby

Ignacy Domeyko (1802–1889)

W tym czasie nowe widowisko ciekawe i bawiące zajmowało mię: były to latające ryby<sup>1</sup>. W istocie, rzecz to bardzo ciekawa widzieć, jak z niezmiernego morza wylatują jakby jaskółki, krążą ponad jego powierzchnią i znowu się do niego chowają. Czarne skrzydełka tych rybek, białosrebrne piersi, ogon widłowaty, a główka bardziej wyciągnięta niż u ryb zwyczajnych czynią, że patrząc na te ryby w powietrzu, trudno jest sobie wmówić, że to ryby. Żeby je dobrze widzieć, idzie się na przód okrętu, bo ryby te zazwyczaj wyskakują z wody przestraszone okrętem i uciekają w stronę. Widziałem jednak zrywające się z daleka od statku i unoszące się ponad wodą przez pół minuty, nie zawsze w linii prostej, ale się po kilkakrotnie zawracające, jak gdyby to nie ze strachu, ale przez zabawę i z przyjemnością czyniły. Najczęściej widać je pojedynczo wynurzające się i zapadające. Widziałem jednak nieraz, jak przepłoszone okrętem zrywały się spod błękitnej fali na kształt stada siewek czy kuropatw unoszących się nisko ponad polami naszymi. Żeglarze mówią, że na tę oceanową zwierzynę poluje wielki żarłok, sławny z piękności kolorów swoich przy skonaniu, delfin, zwany el dorado. Mówiono mi, że zdarza się widzieć, jak stada tych ryb uciekają przed delfinami przez wiele mil w jednym kierunku, podlatując i zapadając do morza.

Jednego ranka tak się wysoko podniosła biedna ryba, że zbłądziwszy trafiła na okręt i padła bez ducha. Jej skrzydła w momencie śmierci zwinęły się i zwiędły, a są to podskrzelowe płetwy tej ryby, tak długie, że zwinęte dostają aż do ogona. Wieczorem tegoż dnia wskoczyła na pokład druga rybka, pochwycił ją na powietrzu pies okrętowy i przyniósł żywą, tak że ją z rozpiętymi skrzydłami ujęto

---

<sup>1</sup> Latające ryby – ptaszory, ryby z silnie rozwiniętymi płetwami piersiowymi, dzięki którym wykonują loty ślizgowe nad powierzchnią wody.

i trzymano, póki nie zdechła. To dało mi sposobność do przerysowania skrzydła w naturalnej wielkości, tak jak je widzimy rozpięte w czasie lotu. Skrzydło to, płetwa, składa się z delikatnych jakby prątków połączonych cienką błoną. Siedem takich prątków przedziela płetwę, nie licząc w to skrajnych i pomniejszych przy samej osadzie. Każdy prątek dzieli się na dwa cieńsze, z których każdy jeszcze na dwa cieńsze, a te ostatnie każdy jeszcze na dwa inne. Ten potrójny podział siedmiu środkowych kostek tworzy piękną niby sieć, która do skrzydełek motylów, a szczególnie owych babek nadwodnych jest podobna. Mówili mi ludzie okrętowi, że zawiesiwszy latarnię na linach w noc ciemną, udaje się czasem niemało tych rybek złowić na pokładzie, stworzenia te bowiem lecą na światło jak ptaszki obudzone w nocy.

PRZEDRUK ZA: I. Domeyko, *Moje Podróże (pamiętniki wygnańca)*, t. 2, przygotowała do druku, opatrzyła przedmową i przypisami E. H. Nieciowa, Wrocław–Warszawa–Kraków 1963, s. 35.

## Jaskółki

Jules Michelet (1798–1874)

Jaskółka zajęła sobie bez ceremonii nasze mieszkania; umieszcza się pod naszymi oknami, pod naszymi dachy, w naszych kominach. Nie obawia się nas wcale. Powiadają, że ufa swemu niezrównanemu skrzydłu; lecz nie: powierza nam także swe gniazdo, swe dzieci. Oto dlaczego stała się panią domu. Nie tylko dom nam pochwyliła, lecz serce.

W mieszkaniu wiejskim, gdzie teść mój wychowywał swe dzieci, latem odbywały się lekcje w oranżerii. Jaskółki miały tam swe gniazda i nie niepokoiły się wcale zgromadzeniem rodziny, swobodne w swoich ruchach, zajęte wysiadywaniem. Wychodząc oknem i wchodząc dachem, gdy szczebiotały między sobą za głośno, mawiał do nich, jak niegdyś święty Franciszek: „Siostry jaskółki, nie możecie być ciszej?”.

Kochają domowe ognisko. Gdzie matka lepiła gniazdo, lepi córka i wnuczka. Powracają w to samo miejsce co roku; ich generacje następują po sobie więcej prawidłowo jak nasze. Gdy familia wygaśnie, rozproszy się, dom przechodzi w inne ręce: jaskółka powraca zawsze, przechowuje swe prawo zajmowania. [...]

Jest to ptak powrotu. Jeżeli go tak nazywam, to nie tylko dla regularności corocznego powrotu, lecz nawet dla jego powierchowości, dla kierunku jego lotu, tak zmiennego, jednakże kołowego, który trafia zawsze na swój pierwotny kierunek.

Kręci się ona, wiruje bez ustanku, buja niezmordowanie około jednej przestrzeni i na tem samym miejscu, zataczając nieskończoną ilość wdzięcznych łuków, które zmieniają się, nie oddalając. Czy ona tak ściga swą zdobycz, komara, który tańczy i pływa w powietrzu? czy to dla ćwiczenia swej siły, swego niezmordowanego skrzydła, nie oddalając się od gniazda? Mniejsza o to, ten lot kołowy, ten wieczny ruch zwrotny zwraca nasze oczy i serce, wprawiając w zadumę, unosząc w świat myśli.

Widzimy dobrze jej lot, nigdy, prawie nigdy jej małej czarnej twarzy. Któż jesteś ty, co się zawsze ukrywasz mym oczom, co ukazujesz zaledwie ostrza swych skrzydeł, szybkie jak kosa Czasu? [...]

Jaskółka, wzięta w rękę i badana z bliska, jest ptakiem brzydkim i dziwnym, przynajmy; lecz to zawisło głównie na tem, że jest p t a k i e m, istotą przede wszystkim stworzoną do lotu. Przyroda poświęciła wszystko temu przeznaczeniu: urągała się z formy, troszcząc się o ruch tylko; i tak jej się dobrze udało, że ten ptak w locie jest piękniejszym od wszystkich.

Skrzydła jak kosa, oczy wydatne, bez szyi (co potraja siłę); nóg mało lub wcale: wszystko jest skrzydłem. Oto jej zarysy główne. Dodajmy dziób nader szeroki, zawsze otwarty, którym nieustannie chwyta w locie, zamykając i otwierając znowu. Tak więc je ona latając, pije, kąpie się w locie, w locie karmi swe młode.

PRZEDRUK ZA: J. Michelet, *Ptak*, przeł. W. Stępowski, Warszawa 1859, s. 159–163.

## Ptaki na Atlantyku

Ignacy Domeyko (1802–1889)

Razem też z pyłem przyleciały trzy ptaszki lądowe, z których jeden, jakiś piękny, biały, z czubkiem, bardzo był zmordowany: usiadł na linie, chciał odpocząć, ale się chwiał, trzepotał i zdawało się, że spadnie. Chciano go złowić, ale się ledwo do niego zbliżyli majtkowie, zerwał się i poleciał. Drugi, podobny do naszej jaskółki, czarny, z orzechową główką, białym podbrzuszkim i widłowatym ogonem, wpadł w ręce zręcznego majtka. Rzecz dziwna, jak te liche, słabe stworzenia, nadbrzeżne mieszkańce Afryki, mogły bez popasu, ani kropli wody słodkiej, trzysta kilkadziesiąt mil przelecieć w tym gorącym kurzu z pustyni Sahara.

PRZEDRUK ZA: I. Domeyko, *Moje Podróże (pamiętniki wygnańca)*, t. 2, przygotowała do druku, opatrzyła przedmową i przypisami E. H. Nieciowa, Wrocław–Warszawa–Kraków 1963, s. 33–34.

## Ziemia!

Jakub Gordon (1827–1895)

Sześć tygodni spędziłem na „Helwecji”, długie jak sześć wieków.

Pewnego poranku obaczono zabłąkane ptaszki, które świegocząc, czepiały się masztów. Były one posłankami zgody i pokoju dla wszystkich. Zapędzone wiatrem od brzegów lądu, zgubiwszy drogę, chroniąc się od śmierci, przyfrunęły do nas, zwiastując najpierwsze, że ziemia nie bardzo daleko. Choć jej nie widać było jeszcze, czuliśmy już jej zbawienne sąsiedztwo.

Kapitan się udobruchał i włożył prymkę do ust, majtkowie się uśmiechali i także wysysali tytoniową prymkę, podróżnicy promienieli zadowoleniem.

[...]

Niezadługo z wierzchołka najwyższego masztu zawołano: ziemia!

PRZEDRUK ZA: J. Gordon, *Przechadzki po Ameryce*, Berlin–Poznań 1866, s. 50–51.

## Wielka ropucha

Ignacy Domeyko (1802–1889)

26 stycznia o szóstej rano bar. 635,3 [mm], ter. 13,1°. Tego dnia odbyłem mozolną, ale jedną z najpiękniejszych moich wycieczek w Kordyliery. Pierwej powiem, co się mnie zdarzyło na noclegu. Spałem pod rozłożystym cyprysem, na wilgotnej nieco murawie. O północy czuję we śnie, a może na w pół zbudzony, że coś miękkiego ciąży mi na całej twarzy i ją w całości pokrywa; a leżałem na wznak, strudzony i ospały, tak że leniłem się otworzyć oczy i poruszyć się. Po jakimś czasie, kiedy to już mi dokuczać zaczęło, podniosłem rękę do skroni i uczułem, że było to coś żyjącego, jakiegoś zwierzę; chwyciłem; była to ogromna ropucha, mająca więcej dwóch decymetrów diametru<sup>1</sup>, która powoli usadowiła się była na mojej twarzy i spokojnie leżała, upodobawszy sobie ciepło i nietwardą pościel. Żwierzę nieszkodliwe, ale odrażającej postaci, nieco wilgotne w dotknięciu, ale ciche i niejadowite. Wyrzuciłem je w górę daleko i zasnąłem. Ropuchy tutejsze są trzy czy cztery razy większe od naszych, niektóre o mało stopę długości mają, białego podbrzusza, a szarego grzbietu, natykane jakoby wrzodami i brodawkami; o resztę szczegółów odsyłam do zoologii.

PRZEDRUK ZA: I. Domeyko, *Moje Podróże (pamiętniki wygnańca)*, t. 2, przygotowała do druku, opatrzyła przedmową i przypisami E. H. Nieciowa, Wrocław–Warszawa–Kraków 1963, s. 374.

---

<sup>1</sup> Diametr – średnica.



## Ptasie rozmowy

Ewa Felińska (1793–1859)

Przebyliśmy na koniec Mały Hryczyn, a wjechaliśmy na Wielki, tak przynajmniej utrzymuje nasz furman udający, że zna lepiej od nas miejscowość, bo ją kiedyś przebywał, a oprócz niego zapytać się nie było u kogo; nie spotkaliśmy na tej przestrzeni żadnej ludzkiej twarzy, tylko chmury kaczek i ptactwa wodnego rozmaitych nazw i kształtów, szybujących swobodnie w powietrzu, ale to nie rozmówni współpodróźni, niczego się od nich dowiedzieć nie można. Widno tylko, że im wesoło, swobodno, bogato, że im życie miłe. Oni tak silni masą, tak żywo i z zajęciem rozmaitymi głosami gwarzą o swoich interesach, można się domyślić, że są w swojej ojczyźnie, i że w tej ojczyźnie dobrze się dzieje, a człowiek przeciwnie: osamotniony czuje się obcym, a obskoczony ze wszystkich stron żywiołem niewłaściwym, przeczuwa niebezpieczeństwo, gotuje się do walki; ale to niebezpieczeństwo osłania tajemnica, a prze-myślność, ta broń człowieka, nie ma w ręku właściwych narzędzi i skazana na nieczynność.

PRZEDRUK ZA: E. Felińska, *Pamiętniki z życia*, seria 2, t. 1, Wilno 1858, s. 170–171.

## Czyż grzechotnik nie jest lepszy od ludzi?

Jakub Gordon (1827–1895)

Lubiłem błędzić w cieniu puszczy dziewiczej nad brzegami Ohio. Ach! jakże pełną tam oddychałem piersią. Gdy porzuciwszy chaty osadników, ujrzałem się pierwszy raz wśród owej dzikiej, a tak poważnej i uroczej przyrody rozpostartej naokoło mnie, czułem się być w szale jakiegoś niewymownego uszczęśliwienia z powodu mojej bezwzględnej swobody.

Nie zwracałem wtedy uwagi na żadną drożynę lub ścieżkę, lecz postępowałem, dokąd mi wzrok przewodniczył.

W domu, w mieście, w okopconych murach było mi niegdyś ciasno i duszno jak w mogile. Tutaj nic mię nie krępowało, ani przedmioty, ni ludzie z ich nędznymi prawami, samowładcami, przesądami, obłudą i złośliwością. Nie nasuwali mi się przed oczy Faryzeusze uchodzący za świętych, poważni na pozór, a nikczemni w duszy – nie widziałem też przed sobą zacnych nieszczęśliwców, których świat za życia kamieniuje, nie mogąc znieść ich wyższości ani też kupić ich poniżenia. Nie było przede mną żadnych prezydentów ani poważnionych republikan, monarchów ni poddanych, jezuitów ni cyników...

Byłem sam! i zdawało mi się, iż jestem wyłącznym dziecięciem Boga i że ustronie należy do mnie dla szczęścia mojego. Dusza ma roztopiała się w żywiołach, ulatała w nieskończoność, jak gdyby była wyzwoloną z doczesnej skorupy!...

Wydobyłem bussolę z kieszeni i skierowałem się ku rzece.

Cóż to za czarodziejski obraz biegu wód w samotniach nowego świata!

Modre zwierciadło przeżynało [*sic!*] po cichu najgęściejsze lasy. Drzemiące dęby i wierzyby o długich warkoczach, pochylone od starości, przeglądały się w nim. Mnóstwo czarnych wiewiórek i białych gronostaj wyprawiały gonitwy, skacząc z gałęzi na gałąź.

Słysząc było jakieś odgłosy, nie wiadomo skąd pochodzące. Olbrzymi kondor zataczał w powietrzu koła, coraz mniejsze, coraz niżej, dopóki nie znikł w gęstwinie, rzucając się na zdobycz. Skrzeczenie ogromnej żaby, żyjącej w wydrążeniu spruchniałych konarów, było podobne już to do odgłosu dzwonka owcy zabłąkanej, już do szczekaniu psa w oddaleniu.

Myślę, że jestem w bliskości chaty, i idę zaspokoić pragnienie. Próżna nadzieja – złudzenie – puszcza coraz gęstsza roztacza się przede mną... Włazę na wierzchołek najwyższego drzewa, i widzę tylko pod sobą cudowny kobierzec utkany z różnobarwnych liści; kolor czerwony, żółty, brunatny, rozsiany na zielonym tle w rozmaitych odcieniach...

Zerwał się wiatr i napełnił dziką melodią głębin lasu. Śpiewał chór utajonych w krzakach faunów – śpiewał, ucichał z wolna pośród trzciny i rozłożystych cedrów, nareszcie przeminął, jak wszystko na świecie przemija.

Ustały arfy powietrzne, a natomiast mgła kojarzy się cichaczem u pokładów skalnych nad wodą, przyczajają się i liże podnóże opoki. Z pośrodku tej białej mgły wyglądają czarne stropy skał, niby fantastyczne, nieruchome widma spoglądające na się w straszliwym milczeniu.

Na spodzie ponurego wąwozu kwitnie różany krzak maliny, a na rzece żeglują parami białe łabędzie, prowadząc wojnę z czarnymi.

Lecz cóż to za klekot, jakby donośny dźwięk muszli, a słyszę opodal? To nic! to grzechotnik potrząsa ogonem z twardej łuski. Poczciwy gad ostrzega mię, abym nie wkraczał do jego dziedziny i zostawił go w pokoju... Czyż nie jest on lepszym od wielu ludzi?...

PRZEDRUK ZA: J. Gordon, *Przechadzki po Ameryce*, Berlin-Poznań 1866, s. 205–208.

## Żmija

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

*Godzina 11 w nocy, Rzym.*

Otóż i koniec naszych miłych majówek! Ale trzebaż, że jak pierwsza do Fiumicino, tak i ta dziś ostatnia w Villi Adriana zakończyła się jakby znakiem złej wróżby. Tam cyganka, tu żmija. Z Tivoli, na resztę popołudnia, zajechaliśmy raz jeszcze do Villi Adriana. Panienki chciały zajrzeć do jakiejś pieczary, gęstym bluszczem zarosłej u wnijścia. Adam, podając rękę pannie Henriecie, cofnął się nagle i ją wstecz pociągnął. Ujrzał tam bowiem okropną, jak się wyraził, żmiję, całą białą, a w centki czarne, z błyszczącymi oczyma, która na szelest wchodzących wspięła się i syczeć zaczęła. Adam tak ją malowniczo opisał, że nieustraszony Strzelecki chciał koniecznie obaczyć ją z bliska. Nie pomogły przekładania Adama i samego p. Ankwicza. Ale gdy w końcu panna Marcellina powiedziała bardzo łagodnie: „Ja pana proszę”, udał się odprowadzić jak baranek. – Ukazanie się wszakże tej żmii przykre jakoś na wszystkich zrobiło wrażenie, choć je chcieliśmy potem załagodzić żartami. – Ja w powrocie do Rzymu zacząłem w myśli pożegnanie jego, które, zdaje się, że prędko dokończę, a więc przyszlę ci może w przyszlým liście. Ten pieczętuję dziś jeszcze, aby mi już w głowie nie mącił. Bądź zdrow!

PRZEDRUK ZA: A. E. Odyniec, *Listy z podróży. (Z Rzymu)*, t. 3, Warszawa 1885, s. 371.

## Jaszczurki stepowe

Edward Ostrowski (1816–1859)

Upał się coraz bardziej wzmaga, trawy wokoło wypalone, droga równa i szeroka, równie szeroka jak długa, bo można jechać po niej, gdzie się tylko podoba, i nikt się nie zagniewa, że jedziesz po polu. Jaszczurki stepowe na wszystkie strony szeleszczą między zeschniętymi i na pół skruszonymi trawami, czasami przeciągnie zdala suseł lub zajączek ziemny – zerwie się z ziemi jakaś ptaszyna spłoszona rzadką tam rzeczą, p o w o z e m, oto są właściciele stepu. Człowiek zawsze człowiekiem, zawsze egoista, lubiący najwięcej co swoje: jaszczurki stepowe to nie nasze, niech sobie uciekają, lecz ptaszki małe, nie widziałem dobrze, wróble czy strzynadle, gniewać mnie prawie zaczynały, tak je uważałem za swoje, tak mi przypominały wszystko widziane kiedyś w rodzinnej zagrodzie, tak miałem chęć je pochwycić, pieścić, karmić, całować, przymilać się do nich i mówić z nimi, a one uciekały ode mnie. Biedne, bały się człowieka; i nic dziwnego: jest że co straszniejszego, okrutniejszego i gorszego na świecie od złego człowieka? a tyłu ich jest na nieszczęście i w stepach, i poza stepami. Złość ludzka przesuwa się po trawie i po piasku, przerzyna rzeki i morza, wdziera się na skały i urwiska, jątrzy się i wzrasta pod strzechą ubogiej lepianki i piorunem nieraz wybucha spod świecących się dachów, marmurowych, złoconych pałaców. Złość ci zajrzy w oczy na wsi i zionie na cię swym jadem w miastach; co gorsza, tam z daleko większym niż w stepach okrucieństwem człowiek człowiekowi nielitościwie z ust prawie wydziera kawałek powszedniego, gorzko zapracowanego chleba, lub jeżeli go wydrzeć zupełnie nie może, to przynajmniej zatruje go jadem plotek, potwarzy, złośliwych domysłów lub poniżania i pogardy... Lecz cóż to ma za związek ze stepami?... Żadnego – jest to tylko wyskok złego humoru rozjątrzonego podróżą.

PRZEDRUK ZA: E. Ostrowski, *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich*, t. 1, Grodno 1859, s. 231–232.

## Głosy natury

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

Fale pod lekkim wiatrem rozbijały się z szumem u stóp naszych. Adam mówił o głosach natury, i utrzymywał, że w nich jest pierwszy kamerton i zasada wszelkiej harmonii, miary i rytmu – tak w muzyce, jak i w poezji. (Monotonny plusk fal jednych po drugich, i to w regularnych przestankach, zdawał mi się być wzorem alexandrynów francuzkich). Gdybyśmy mogli i umieli wsłuchiwać się dobrze w śpiew ptaków, dostrzeżlibyśmy i tam to samo prawo. W śpiewie ptaków podlatujących nad ziemię zaczyna się poezja; głosy czworonogów to proza. Śpiewają właściwie ptaszątka tylko leśne i polne, i to małe, szare, niewinne. Bełkocą tylko duże i czarne, jak cietrzew, głuszec, indyk itd. Drapieżne tylko kraczą. Nocne tylko buczą. Pstro-pióre i błotne tylko wrzeszczą, jak czajka, sroka, dudek, paw itd. Milczą tylko ryby i gady. A czemu to tak? Otóż właśnie wtem zapytaniu leży temat do dalszych medytacji i do analogii z poetami i z ludźmi.

PRZEDRUK ZA: A. E. Odyniec, *Listy z podróży. (Z Warszawy do Rzymu)*, t. 2, Warszawa 1875, s. 210–211.

## Zwierzę w człowieku

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

Fizjolog jakiś dowodzi (są to własne słowa Adama), że mózg dziecka, w pierwotnym kształtowaniu się swoim, podobny jest kolejną do mózgu ryby, ptaka, zwierzęcia, nim się wreszcie na mózg ludzki wykształci. Otóż i w kształceniu się moralnym i artystycznym człowiek przez podobne fazy przechodzi. W obu razach, jeżeli się na którym z tych pośrednich szczebli zatrzyma, rodzą się monstra, półgłówki, i poeci bazgracze. – W pierwszych latach pobytu w uniwersytecie był on (jak sam powiada), co do poezji, w stanie zwierzęcia; to jest pisał takie wiersze i miał takie wyobrażenie o sztuce, jak tego wymagali ówcześni recenzenci Warszawscy. W szkołach zaś w Nowogródku, czuje, że był w stanie ryby; kiedy na wzór drukowanego jakiegoś poety Świderskiego<sup>1</sup> zaczął był przekładać wierszem *Numę Pompiliusza* Floryana, i to z prozy polskiej Staszica.

PRZEDRUK ZA: A. E. Odyniec, *Listy z podróży. (Z Warszawy do Rzymu)*, t. 1, Warszawa 1884, s. 323.

---

<sup>1</sup> Jędrzej Świderski, mierny autor kilku obszernych poematów, jak np. *Józefada* (1818), w pięciu, lub *Syn Marnotrawny* (1824), w dwudziestu dwóch pieśniach.

## Człowiek i królowie zwierząt

Ignacy Domeyko (1802–1889)

[...] widziałem sławnego Martina w Cyrku Olimpijskim<sup>1</sup>, bawiącego się ze lwem, z tygrysem i z hieną, jak gdyby z trojgiem dzieci. Widząc, jak człowiek odwagą i wejrzeniem panuje nad lwem i tygrysem, z jaką pewnością każe lwowi [*sic!*] rozciągać się na ziemi, a potem się sam kładzie i opiera się na nim, a tygrys jak kot przytula głowę swoją do kolan pana swojego, a ogromną łapą dotyka jego piersi, pochowawszy starannie pazury, widząc człowieka międszy tymi dwoma królami zwierząt i jak góruje nawet pięknnością i doskonałością form, trudno uwierzyć, aby należał do królestwa zwierzęcego; poznaje się całą doskonałość stworzenia, które myśli, poznaje i ma nieśmiertelną duszę.

PRZEDRUK ZA: I. Domeyko, *Moje Podróże (pamiętniki wygnańca)*, t. 1, przygotowała do druku, opatrzyła przedmową i przypisami E. H. Nieciowa, Wrocław–Warszawa–Kraków 1962, s. 214.

---

<sup>1</sup> Cyrk Olimpijski – scena teatralno-cyrkowa w Paryżu.



## Arka na Niagarze

Jakub Gordon (1827–1895)

Trzydzieści lat temu dzienniki zwiastowały mieszkańcom Ameryki o mającym się odbyć szczególniejszym rodzaju widowiska na wodospadzie Niagary.

Obwieszczenie to powtarzane w gazetach, okrzyczane, otrąbione zostało po wsiach i miastach z wielką pompą i hałasem, wedle zwyczaju wprowadzonego do Ameryki.

Wiedzieć bowiem potrzeba, że tam każdy szarlatan chcący coś zarobić musi wystąpić na wielką stopę okazałości, aby go widać było – inaczej zginie. Rozlepia on tedy naprzód telegraficzne doniesienia o sobie na tysiącach afiszów, w miejscach, na które każdy przechodzień mimowolnie spojrzeć musi, w słowach, które każdego zaintrygować powinny, np. „O n przyjedzie jutro z rana!”... „już, już jest na kolei”... „za dwie godziny nadzwyczajne, nieznanne światu widowisko!” itd. Naturalnie, ciekawi dowiadują się, kto jest ów o n? jakie to widowisko? dziwią się w prostocie ducha, że dotąd nie słyszeli o sławnym sztukmistrzu przybywającym z Europy i spieszą na widowisko z ochotą, byle coś obaczyć.

Otóż zebrało się około wodospadu Niagary, na naznaczony dzień i godzinę, kilkadziesiąt tysięcy widzów, przybyłych ze stron najodleglejszych w oczekiwaniu na obiecane im przedstawienie.

Na dany znak ujrzano stary statek, który się już wysłużył był na jeziorze Erie, płynący poważnie po rzece z biegiem wody.

Na statku znajdowali się ludzie i zwierzęta, a mianowicie: dwa niedźwiedzie, jeden bawół, cztery psy, cztery koty, trzy gęsi i dwa borsuki.

Ludzie, zbliżywszy się do spadu, wsiedli do barki i dopłynęli do brzegu, zostawiwszy statek na widowisko zgromadzeniu.

Płynął on zwykłym trybem dalej, dopóki nie wpadł na prąd i wiry. Wówczas zaczął się kręcić i tańcować. Niedźwiedzie, przepłynawszy co ich czekało, wyskoczyły z niego przez burty i po

żwawej walce z kołującą się wodą zdołały z zadziwieniem publiczności wylądować – pozostała reszta zwierząt stoczyła się ze swą arką do przepaści, z wrzaskiem, wyciem, miaukiem nie do opisania.

Ryk ocalonych niedźwiedzi, zmieszany z grzmotem wodospadu, wtorował im na straszliwą nutę.

Zauważano, że statek z upadkiem spłaszczył się od razu, potem rozerwany został na sztuki, każda z nich zmięta na miazgę, i nagle wszystko znikło ze sceny.

Na tem skończyło się widowisko, czyli raczej doświadczenie mocy katarakty.

PRZEDRUK ZA: J. Gordon, *Przechadzki po Ameryce*, Berlin–Poznań 1866, s. 179–181.

## Czarny pies

Maria Gorecka (1835–1922)

Niekiedy cofał się aż do czasów swych dziecinnych, i często wspominał matkę, którą bardzo kochał. Rok zwłaszcza 1812 głębokie na nim uczynił wrażenie. Przejście najprzód wojsk Napoleona świetnych i błyszczących, wjazd młodego króla westfalskiego w całej okazałości potęgi i powodzenia, a potem powrót tych szczątków rozbitych, zgłodniałych, wynędzniałych, plądrujących po domach opustoszozonych, w umyśle dziecka wryły niezatarte ślady. Przypominał straszne wrażenie, jakie na nim zrobił jakiś wyższy oficer w błyszczącym od złota i haftów mundurze, który zgłodniały, dopadłszy łójówki, chciwie ją ogryzał. Klęski te ciężko się odbiły i na nowogrodzkim domku. Dziad już nie żył, a babka znalazła się z dziatwą narażona na ciągłe napady i rozboje. Parkan koło domu wojsko rozebrało na opał, tak że tylko brama jedna pośrodku sterczała. Straszne też były noce tej groźnej zimy. Wówczas zjawił się nagle, jakby na strażnika umyślnie zesłany, duży czarny pies, który niewiadomo skąd przywędrował i najgorliwiej domu pilnować zaczął. Przez całą noc leżąc na śniegu, czujną wartę odbywał, a nikt go do domu zwabić nie mógł. Jedna nasza babka miała łaskę u niego, i kiedy wyszła go pogłaskać, wchodził czasem za nią do pokoju i przyjął tam z jej ręki jakie pożywienie; ale zaledwie skończył, znowu na dziedziniec powracał i tam czujną wartę odbywał. Tak przeszła zima, a gdy piękne dni wiosenne nastały i wszystko się uspokoiło, pies zniknął równie tajemniczo, jak był się zjawił, zostawiając w pamięci dzieci wspomnienie jakby legendy.

Dom ten nowogrodzki miał inne swoje ciekawości. Dziadek nasz nadzwyczaj zwierzęta wszelkie lubił i był u siebie utworzył rodzaj menażeryi. Wiosną dzieci wydołać nie mogły dostarczeniu owadów i ziarna dla najrozmaitszych ptaków; był i wilk przyswojony, i lis, i kruk. Wilka natura, jak mówi przysłowie, pociągnęła do lasu. Lis długo się trzymał, w domu najporządniej się prowadząc,

ale w nocy najazdy ciągle robiąc na kurniki żydów nowogrodzkich; zmówili się w końcu synowie Izraela, i złapawszy złodzieja na gorącym uczynku, zamordowali. Psa owego na kilka lat przed śmiercią matki ktoś widział w Nowogrodzku i wielką sprawił jej przyjemność, przynosząc tę nowinę.

PRZEDRUK ZA: M. Gorecka, *Wspomnienia o Adamie Mickiewiczu opowiedziane najmłodszemu bratu*, Warszawa 1875, s. 45–46.

## Uratowany zajęc

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

Jak zaś te wszystkie wrażenia wpływając widać musiały na zmiękczenie mojego serca, to muszę ci, nie chwając się, opowiedzieć fakt mojej dobroci. Kochani moi sąsiedzi, pan Dawid i Mateusz Zawadzcy, przyszli do mnie ze swymi psami o świcie, aby raz jeszcze popolować ze mną. Ledwośmy weszli do kniei, psy zaraz ruszyły szaraka. Ranek był prześliczny i cichy, powietrze tchnęło balsamem, granie psów zagłuszało skowronki. Czułem powab i rozkosz życia. A wtem szarak z nastawionymi uszami wpadł na drogę, przy której stałem za krzakiem, i przysiadłszy słupka na chwilę, puścił się wprost na sztych ku mnie – a więc już ciż na śmierć niechybną. Już, już miałem wziąć na cel – gdy wtem nagle tak mi się go żal zrobiło, że nie ufając sam sobie, spuściłem odwiedziony już kurek, i dozwoliłem mu przebiec o pięć kroków ode mnie. Spozrzegł mię i czmychnął lasu. Chciałem wystrzelić na wiatr dla zabawy, ale i tego nawet nie zrobiłem, żeby nie przestraszać biedaka. Myśliwi śmieli się ze mnie; ale wszakże obiecali solennie nie polować już beze mnie w tej kniei.

PRZEDRUK ZA: A. E. Odyniec, *Listy z podróży. (Z Warszawy do Rzymu)*, t. 1, Warszawa 1884, s. 83–84.

## Mały niedźwiadek

Ewa Felińska (1793–1859)

Po odejście Zubkowej z Hołynki, moje życie zrobiło się zupełnie samotne; musiałam wrócić do dawnych resursów zajęcia czasu, a w naddatku mieliśmy wychowanka, któregośmy wychowywali wspólnymi siłami, i wspólnie bawiliśmy się jego figlami. Tym wychowanicem był mały niedźwiadek przyniesiony z lasu przez myślistwo Adama. Nie musiał mieć więcej nad dni kilka po urodzeniu, bo był mało co większy od jeża, i mlekiem trzeba go było karmić; ale w miarę, jak wyrastał, robił się bardzo zabawny, a że siła jego nie groziła jeszcze niebezpieczeństwem nikomu, więc wszystkich śmieszył i bawił.

Jednak, że rośł bardzo prędko, w kilka miesięcy zrobił się groźnym i zaczął straszyć ludzi, a nie można go było wyprawić z pokoju, gdzie przywykł, bo wypędzony wybijał okno i wlaził szybą. Mnie szczególnie często nastraszył, bo kiedy spałam, wybijał okno, wskakiwał na łóżko, i zaczynał, mrużąc, lizać mi czoło.

Można sobie wyobrazić, jakie było moje przebudzenie, kiedy przyszedłszy do przytomności, obaczyłam moją głowę w zupełnym rozporządzeniu niedźwiedzia. Tem więcej byłam przestraszona, że mię przestregano, aby nie dawać niedźwiedziowi lizać ręki, bo jak się rozsmakuje i krew poczuje, może się odezwać drapieżna natura. Umykać głowę było także niebezpiecznie, bo jak mu co odbierano miał zwyczaj przytrzymywać łapą i pazurami. Nie było więc innego sposobu wydobycia się cało, tylko trzeba było nastraszyć niespodzianie, jakoż, leżąc wprzód cicho, zrywałam się potem nagle, z krzykiem, a skoro byłam na nogach, a niedźwiedź zeskoczył na ziemię, chwyciłam krzesło, obracałam cztery nogi ku niedźwiedziowi, czym jednym można go było przestraszyć, i od nich uciekał gdzie oczy poniosły. Tym sposobem pozbywałam się niedźwiedzia.

Ale kiedy po różnych przedsięwziętych ostrożnościach niedźwiedź po kilka razy wdzierał się do mego pokoju i przestraszał

śpiącą, a prócz tego trwożył wiele innych ludzi, musiano faworyta wiaść na łańcuch. I tam jeszcze bawił swoją zmyślnością i conceptami. Jak obaczył w bliskości kury, stawał na tylnych łapach, a przednimi nabrawszy piasku, sypał go z góry. Wtenczas kury, sądząc, że im sypią ziarno, biegly gromadnie do niedźwiedzia, który uderzał łapą i chwycił zdobycz.

Raz chłopiec przeznaczony do pilnowania niedźwiedzia zrobił sobie z niego nielitościwą igraszkę: dostawszy miodu, położył go na rozpalonej cegle i zaniósł niedźwiedziowi. Niedźwiedzie bardzo są na miód łase, więc i ten rzucił się chciwie na tę łąkoć, ale sparzywszy język okropnie, wrzasnął z bólu, a potem rzucił się na chłopca, który mu zrobił tego figla, i schwycił go łapami. Chłopiec się tego nie spodziewał, bo żyli z sobą w najlepszej zgodzie, niedźwiedź go bardzo lubił, ale kiedy uczuł chłopiec, że niedźwiedź tak go ścisnął łapami, że mało kości nie połamał, pomiarkowawszy, że to nie żarty, upadł na ziemię i udał nieżywego. Wtenczas gniew niedźwiedzia w żal się zamienił, zaczął pomału obracać chłopca na wszystkie strony, przysłuchując się, czy się nie odezwie życie, ale że chłopiec dech w sobie zaczął i pozwolił robić z sobą niedźwiedziowi, co się podoba, niedźwiedź musiał stracić nadzieję, a po daremnych usiłowaniach rozbudzenia życia, zawlekl swoją ofiarę do jamy, w której miał legowisko, wygrzebał dół w trocinach, któremi ta była napełnioną, i tam złożył chłopca, a złożywszy, znów na niego nagrzebał trocin.

Zrobiwszy ten pogrzeb przyjacielowi, usiadł nad grobem, oparł głowę na jednej łapie, niby rozmyślając nad nieszczęściem, i oka z niego nie spuścił.

Kiedy chłopiec dość się nabawił tą komedią, zerwał się nagle, a strzepnąwszy z siebie piłowiny, stanął żywy przed niedźwiedziem. Jakaż to była radość niedźwiedzia! Lizał ręce swego dozorczy, i nie mógł się napięścić.

## Falszywy niedźwiedź, falszywy lew

Ewa Felińska (1793–1859)

Za każdym krokiem postawionym w tym odłamku lasu wyobraźnia się nastrajała. Zdało się, że przecie natrafiłam na jakąś część lasu dziewiczą, gdzie myśliwy nie zbłądził, gdzie siekiera nie zrobiła żadnej szczyrby, bo istotnie śladu jej nigdzie widać nie było; i tak się uniosłam w myślach wywołanych wyobraźnią, że ze drżeniem stawiałam nogę na tym świecie niepokalanym, gdzie nic nie starło piętna ręki Stwórcy.

Kiedy się tak poddaję wrażeniom rozmarzonej wyobraźni, posłyszałam w oddaleniu chrząstanie gałęzi. Zatrzymałam się, słucham – co by to być mogło? Słyszę chrzęst wyraźny, który nie ustaje, ale owszem, zdaje się, że ciągle się przybliża.

Zatrzymałam oddech w piersi – słucham – łomot nie ustaje – O, to nie żarty, pomyślałam sobie: człowiek tu pewno nie zaszedł – zając? – ależ zając nie trzyma się, jak słyszałam, gęstych i obszernych lasów. A zatem nic innego być nie może, chyba niedźwiedź. Rzuciwszy okiem dokoła, utwierdziłam się w tym przypuszczeniu. Pewnie niedźwiedź, pomyślałam sobie: tu tyle wywrótów, tyle łomu, a właśnie mówią, że podobne miejsca ten zwierz wybiera na swoje legowiska.

Utwardziwszy się w przekonaniu, że niedźwiedź idzie niezawodnie, łamiąc pod nogami suche gałęzie, bo łomot nie ustawał; zaczęłam myśleć, co robić w takim przypadku? jak się zabezpieczyć od natarcia niedźwiedzia, jeżeli przyjdzie do tego? Słyszałam od myśliwych, że dobrze wleźć na cienkie drzewo, któregooby niedźwiedź nie objął swymi łapami, ale ja od urodzenia na żadnym drzewie nie byłam, nie potrafiłabym się wdrapać, a przy mojej niezgrabności pewną byłam, że tego nie dokażę. Nie zostaje więc innego środka jak uciekać w przeciwną stronę: tylko że uciekając po trzeszczących łomach, mogę samym hałasem ściągnąć uwagę niedźwiedzia i wyzwąć go na gonitwę, czego wcale nic życzyłam sobie.



Ze wszystkich uwag, które mi szybko przeszły przez głowę, wypadło, że najbezpieczniej zostać na miejscu, tem bardziej, że słyszałam od wielu praktykantów, a przynajmniej od tych, co się udawali za takich, że niedźwiedź wspaniałomyślny, i że nie będąc rozdroczonym, nie napastuje nigdy tych, co się spokojnie zachowują względem niego. Jakoż nie mając nic lepszego do robienia, postanowiłam czekać spokojnie wypadku, nie odrzucając jednak środków ostrożności, jakie były w mocy mojej, przyczałam się za drzewo.

Tymczasem chrzęst suchych gałęzi coraz się przybliży. Mnie robi się gorąco i krew do głowy uderza, ale stoję spokojnie i czekam z okiem wlepionym w stronę, skąd szelest dochodzi. Spadłam z obłoków, postrzegłszy zamiast niedźwiedzia wiewiórkę przeskakującą z drzewa na drzewo i swymi skokami obłamującą suche gałęzie, które padały na ziemię, a ten łomot rozlegał się echem wśród ciszy lasu, i wydawał się czymś znakomitym.

Obaczywszy to przeistoczenie niedźwiedzia na wiewiórkę, zaśmiałam się sama z siebie, i z moich strachów, i z moich wyobrażeń. Zniknęła razem z niedźwiedziem sprzed oczu moich i owa puszcza przedwieczna, na której noga ludzka jeszcze nie zostawiła śladu, wszystko sprozaiczniało: przedstawił mi się tylko kawał lasu litewskiego otoczonego błotem i zawalonego łomami, który tym błotom winien był swą niedostępność. Nie powiem, abym była bardzo zmartwiona, że się niedźwiedź przemienił na wiewiórkę: na ten raz wołałam patrzeć na jej wesołe skoki, niż na poważne stąpanie niedźwiedzia, choćby mi wreszcie przez wspaniałomyślność nie wyrządził żadnej krzywdy.

Jeżeli do spotkania z niedźwiedziem miałam serce dość mężnie przygotowane, muszę wyznać, że w pewnym zdarzeniu daleko mniejszej wagi haniebnym okazałam się tchórzem.

Raz według zwyczaju poszłam na przechadzkę i zwróciłam drogę ku Klimowszczyźnie. Przeszłam część bliską dworu gaju sosnowego, dalej trzeba było przebyć kawał dobry pola, aby znów dostać się do lasu, w którym być chciałam. Otóż już jestem na polu,

uszłam kroków kilkaset, widzę w dali trzodę pasącą się pod lasem i zaczęłam rozpoznawać pozycję, czy mi nie trzeba będzie koło niej przechodzić, czego sobie nie życzyłam, nie dlatego abym się bała bydła, ale że nie lubiłam spotykać ludzi.

Kiedy robię moje uwagi, postrzegam nagle psa, który widno był przy trzodzie: ten, skoro mię zoczył, zaraz zaczął biec ku mnie bardzo skwapliwie, a że zawsze się boję napaści psów, nie widząc żadnej warowni, zaczęłam nazad uciekać do lasu. Było z pół wiorsty odległości między mną a psem, ale ta odległość szybko się zmniejszała mimo wysilenie w ucieczce, tak że pies nie był dalej sta kroków, kiedy dopadłam lasu, a ledwie zrobiłam w nim dwa czy trzy kroki, padłam na ziemię całkiem sił pozbawiona, nie z wysilenia, ale ze strachu. Drżałam cała, łzy mimowolne bez żadnego rozrzwienienia z oczu płynęły, i podnieść się w żaden sposób z ziemi nie mogłam, choć sił próbowałam do dalszej ucieczki, bo się bałam, aby pies nic dogonił i nie znęcał się nad leżącą. Na szczęście moje, skoro wbiegłam do lasu i pies stracił mię z oczu, zaniechał przedsięwzięcia i wrócił nazad do trzody; a ja leżałam z kwadrans na ziemi, nim byłam w stanie wrócić do domu, i jeszcze czułam nóg drżenie, podniósłszy się z ziemi.

Dziwne to robi skutki ten strach paniczny, kiedy sobie robi igraszkę z człowieka. Rozum gdzieś odbiega, a człowiek staje się dzieckiem i boi się jakiejś mary. Przypominam sobie zdarzenie, które mi rozpowiadał P. Maurycy Czarnocki.

Dwie krewne tego pana wyszły jednego wieczora na przechadzkę i nie uważały, że pies pokojowy pobiegł za nimi. Panie szły pomału, a pies widno, że miał ochotę iść spieszniej, bo je dobrze wyprzedził, i nie widział, jak panie zawróciły nazad do domu, bo zmrok zaczął padać. Pies, obejrzawszy się wreszcie, że panie wracają, a według psiego zwyczaju nie chcąc opuścić kompanii, zaczął żywo biec ku nim. Panie nawzajem postrzegłszy, że jakieś zwierzę je goni, przestraszone zaczęły uciekać ku domowi bez pamięci; czasem obejrzały się za siebie, ale widząc że zwierzę coraz bliżej, strach się pomnażał. Nareszcie jedna z uciekających, spójrzawszy

już z nie bardzo dalekiej mety na ścigającego, mówi po francuzku do towarzyski: *c'est un lion*, i strach się pomnożył. Obydwóm się zdało, że lew je dogania, i póty były w strachu najsilniejszym, póki pies nie wyprzedził i nie poznały w owym lwie psa domowego.

Druga znów, siedząc przy oknie otwartym z robotą, krzyknęła przeraźliwie, a zakrywszy sobie oczy z przestachu, przypadła do ziemi.

– Co ci takiego? Zapytała przestraszona jej stanem towarzyska.

– Cóż przeleciało koło okna, odpowiedziała przelękniona.

– Tylko tyle? mówi druga. Widziałam, to kawałek papieru poddmuchnięty wiatrem. Czegożeś się przestraszyła?

– Myślałam że to gęś.

– A gdyby gęś była rzeczywiście, cóż tak straszno?

Na to nie było odpowiedzi.

PRZEDRUK ZA: E. Felińska, *Pamiętniki z życia*, seria 1, t. 2, Wilno 1856, s. 20–26.

## Niedźwiedź albo biała kobyła

Aleksander Fredro (1793–1876)

Pobył nasz w Cisny był pełnym uciech. Wszystko dla nas było nowym, nowym dla słuchu i wzroku. Trąby z kory juhasów odzywały się czasami po górach tu i ówdzie. Ton ich melodyjny, nieco jednostajnie przeciągły, powtarzany, a raczej rozciągany echem po skałach i lasach, ma w sobie coś tak swobodnego a tęsknego razem, tak stosownego do tej poważnie milczącej natury gór, że wrażenie, które od pierwszego razu na mnie uczynił, najmniej się nie starło. Odgłos tej trąby jest zawsze dla mnie prawdziwą rozkoszą, a teraz może i większą niż wówczas, bo za każdym tonem leci krocie wspomnień. Łapaliśmy pstrągi i kiełbiki, przechodziliśmy rzeczki, skacząc z kamienia na kamień, a jeżeli się czasem noga ześliznęła, było to powodem do śmiechu bez końca. Zwiedzaliśmy szałasę po odległych górach, gdzie nas częstowano bundzem i bryndzą. Byliśmy przekonani, że w każdym parowie musi być przynajmniej jeden niedźwiedź. W tym mniemaniu utwierdzał nas poniekąd pan Zajączkowski. Bał on się niedźwiedzi nie powoli. Powiadał nam, że przyszedłszy raz zamyślony nad jedną kładkę i podniósłszy oczy, ujrzał z drugiej strony rzeki idącego do tej samej kładki, zapewne w zamiarze przejść przez nią – ogromnego niedźwiedzia. Jak był ogromny niedźwiedź, nie trzeba mówić... rozumie się, że jak wół, jak kopica siana, i jaka jeszcze kopica!... rozumie się także, że się pan Zajączkowski przestraszył i że krzyknął, jak żaden jeszcze Zajączkowski nie krzyczał. Niedźwiedź zdziwiony, bo zapewne o czym innym myślał, wznosił się na zadnich łapach, a przednimi klasnąwszy parę razy, zszedł na bok i zostawił wolne przejście, z której to jednak grzeczności pan Zajączkowski nie uznał za potrzebne korzystać i łącząc odwagę z roztropnością, wrócił spieszenie do domu. – Od tego czasu – mówił – bez szabli przy boku nie wyjdę z dziedzińca.

Mój ojciec był ciągle zajęty fabryką. Jak wszędzie, tak i w tamtych okolicach kochany i szanowany, miał wkrótce wiele gości.

Między innymi Michał hrabia Konarski z Wetliny. Miał konie ze strzyżonymi grzywami, mówił co trzecie słowo: „Jak mi Bóg miły” i tabakę z rożka zażywał. [...] Osuchowski z Żerniczki, stary myśliwy, ten z Cisny nie wyjeżdżał prawie. Czasem wieczór grywał z moim ojcem mariasza, ale jak było więcej gości, opowiadał wypadki, których sam doznał albo których był świadkiem, wojując z niedźwiedziami. Powiadał, jak raz, wzięwszy w zapale kuca srokatę za kundysa, szczuł nim po strzale rannego niedźwiedzia. Kuc w nogi, a niedźwiedź do niego... dalej tańcować wkoło buka... póki nie nadszedł strzelec i dobrze wymierzonym strzałem nie położył końca tym mimowolnym płąsom. Powiadał, jak widząc swego sąsiada pod niedźwiedzim, wołał przez rzekę: „Panie podczaszy! Oddaj się Waćpan Bogu!” – i jak palnął, w sam łeb ... (niedźwiedzia, rozumie się). Powiadał, jak raz na polowaniu, gdzie więcej było amatorów niż myśliwych, rozstawił wszystkich drożyskiem z łąki aż na pagórek, gdzie objechano niedźwiedzia.

– Odezwał się – mówił – tropowiec, dopuszczono kundysy, doszły niebawem niedźwiedzia, który idąc w hurku, wzmagął się ku działom. Ja stałem na uszyjku, z drugiej strony łąki. Wtem słyszę strzał w górze, a wkrótce potem moje goście zadychane wypadają gęsiego na łąkę krzycząc: „Niedźwiedź! Niedźwiedź!”. Ostatni bez czapki i bez strzelby, jak trup blady komisarz cyrkularny, a za nim... aż chrusty trzeszczały... aż ziemia dudniła... Co? – Biała kobyła. – Cóż się stało? – Biała myśliwska kobyła, uwiązana w gąszczu, spłoszona strzałem, a jeszcze więcej kapelą wiodącą niedźwiedzia, urwała się i puściła ku domowi na pół drożyskiem. Nie czekał jej kreiskomiser, krzyknął: „Gwałt!” i dalej w nogi. Niżej stojący amator podobnie wrzasnął i dernął – tak i cała linia wysunęła się następnie na łąkę, ścigana białą kobyłą.

PRZEDRUK ZA: A. Fredro, *Trzy po trzy*, oprac. K. Czajkowska, w: tenże, *Pisma wszystkie. Proza*, t. XIII, część 1, oprac. S. Pięgoń, wstępem poprzedził K. Wyka, Warszawa 1968, s. 187–189.

## Odgryziony palec

Aleksander Fredro (1793–1876)

Nieboszczyk Wojski Orzechowski<sup>1</sup>, ojciec naszego Piotra<sup>2</sup>, poróżnił się był z chorążym N.... Wyzwali się do pierwszego spotkania, dlatego zawsze przy szabli jeździł, i na polowanie. Razu więc jednego strzelił do niedźwiedzia i mocno ranił w piersi. Niedźwiedź swoim zwyczajem wznosił się na zadnich łapach i szedł prosto na przeciwnika. Orzechowski do szabli. Machnął parę razy, ale wkrótce szabla dostała się w zęby rozjuszonego zwierza, szczęściem atoli, że ostrzem ku niemu. Nie stracił głowy Orzechowski i chwyciwszy lewą ręką koniec szabli, odpierał jakby ostrym munsztukiem niedźwiedzia, który pchać się na niego nie przestawał, ale skaleczony w piersi i na pochyłości niżej, nie mógł łapą zachwycić. Długo ta, nie do wiary prawie, a jednak najprawdziwsza trwała walka, aż przecie Orzechowski postrzegł zbliżającego się strzelca. Krzyknął, aby mu strzelbę rzucił pod nogi, sam zaś powoli tak się obrócił, że stanął znacznie niżej od niedźwiedzia, a gdy poczuł mocny nacisk, puścił nagle szablę. Niedźwiedź wyrzucił kozła, a nim wstał, Orzechowski chwycił strzelbę i trupem go położył. Świadkiem niezaprzeczoną tej walki był palec odgryziony u lewej ręki.

PRZEDRUK ZA: A. Fredro, *Trzy po trzy*, oprac. K. Czajkowska, w: tenże, *Pisma wszystkie. Proza*, t. XIII, część 1, oprac. S. Pigoń, wstępem poprzedził K. Wyka, Warszawa 1968, s. 191–192.

---

1 Zdaje mi się, że ten Orzechowski był wojskim przemyskim. Człowiek silnej duszy i silnego ramienia. Zginął w Krakowie w bramie miejskiej podczas konfederacji barskiej. (Przyp. aut.).

2 Piotr Orzechowski, konsyliarz foralny w Galicji do 809, potem sędzia trybunału w Warszawie, umarł tam koło 820, był stałym i szczerym przyjacielem jego ojca. (Przyp. aut.).

## Kangury

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

Do Julijana Korsaka.

Neapol, 22-go Maja 1830 r.

Postanowiłem był nie pisać aż do powrotu Adama, który dziś miał właśnie nastąpić. Tymczasem zamiast spotkania go w porcie otrzymałem tam tylko wiadomość, że się statek zatrzymał w Messynie i za trzy dni dopiero przybędzie. Nie pisałbym więc i dzisiaj, gdyby nie miłe zdarzenie, od którego warto list zacząć.

Zasmucony, wprost z portu puściłem się bez celu na góry *Vomero* i *St. Elmo*, piętrzące się nad miastem od strony Pausilippu, gdzie się właśnie znajdują najpiękniejsze ogrody i wille. Królową ich jest tak zwana *Villa Floridiana*, od imienia kochanki a potem drugiej żony króla Ferdynanda I, która tytuł *Xsiężny Floridii* nosiła. Wiedziałem, że tam wchodzić bez pozwolenia nie można, ale widząc przemkniętą boczną furtkę u bramy, dałem je sam sobie – i wszedłem.

Ogród godny królowej i nazwy swojej od bogini kwiatów. Mnogość ich i różnorodność zadziwia, a powietrze tak przesycone wonią, że możnaby powtórzyć z Byronem:

*„Here the light wings of zephyr, oppress'd with perfume,  
Wax faint o'er the garden of Gul in her bloom.”*  
(Lekkie skrzydła zefiru, obciążone wonią  
Słabną tutaj w przelocie nad kwicistą błonią).

A cóż mówić o klombach z róż? o altanach i gajach palmowych? o ulicach wśród mirtów i laurów? o trawnikach jak strzyżony axamit? a nade wszystko o przecudnym widoku na morze, który za każdym stąpieniem pod górę coraz szerszy horyzont ogarniał? Czułem się jak w ogrodzie Armidy; a nie powiem, żeby i świadomość zakazu nie dodawała uroku wrażeniom. Nagle, przy wyjściu z cieniściego szpaleru, słyszę jakiś krzyk niezwyčajny, ostry, dziki,

przeraźliwy; niepodobny do żadnego znanego mi głosu, a powtarzający się jak echem wzdłuż wąskiej, długiej, zielonej równiny, na którą właśnie wyszedłem. Spojrzę, aż tu i widok niemniej nowy od głosu. Stado jakichś nieznanych mi zwierząt, z pozoru coś na kształt zająców, ale bez porównania większych, na ogromnych nogach tylnych, a z króciutkimi przednimi, z szeroką torbą na pierśsiach, podobnie jak u pelikanów, pakuje do niej szybko swoje małe dzieci, i ucieka przede mną z krzykiem, skacząc na tych ogromnych tylnych łapach swoich i na niemniej ogromnych, długich, grubych ogonach. Dowiedziałem się później, że to były kangury; ale w tej chwili byłem pod wpływem szczególniejszego wrażenia, jakbym gdzieś w jakimś kraju nieznanym, jakieś dziwne potwory zobaczył. – Ale myślisz, że na tym koniec? To jeszcze prelude tylko do owego podobieństwa z krainą czarów, która nie może przecież obejść się bez wróżki. Bo oto z altany naprzeciw, na krzyk pewno owych straszyleł, wychodzi, a raczej wybiega – ach! wcale nie straszna sama – ale tym dla mnie straszniejsza, że piękna, a zagniewana widocznie. W staniku czarnym, sznurowanym czerwono; w kapelusiku pasterskim z rozwianymi wstążkami – staje w miejscu, i mierząc mię pałającymi oczyma, dumnie i groźnie odzywa się z daleka: „*Chi a permesso d'intrarvi?*” („Kto pozwolił wejść tutaj?”). Zdjąłem pokornie kapelusz i zacząłem od przeproszenia, tłumacząc się, jak mogłem, tytułem cudzoziemca i nieświadomością zakazu. Pokora moja widać rozbroiła surowość, gdyż zapytała już nieco łagodniej: „*Siete certo un Inglese?*” (Jesteś pan pewnie Anglik?) – „*No, signora! sono Polacco*” – odpowiedziałem jak mogłem najgrzeczniej. – „*Polacco!*” powtórzyła z takim jakimś akcentem podziwu i uprzejmości, że otucha wstąpiła we mnie, i śmieiej już, ile mi język pozwalał, zacząłem się ekuzować ze sposobu wejścia, a widząc, że słucha cierpliwie, odważyłem się przystąpić bliżej. Nie obraziła się i nie odeszła; owszem, coraz łagodniej i z lekkim uśmiechem, raczyła mi oświadczyć, że to jest „rzecz szczególna” (*cosa strana*), iż w ten sposób widzi pierwszego Polaka, których była ciekawa widzieć.



Pojmiesz łatwo, że się zaciekawiłem nawzajem: dlaczego? i wyformułowaśy najgrzeczniejsze pytanie, dowiedziałem się z odpowiedzi, że stryj czy wuj (*il zio*) tej wróżki, jako oficer w wojsku króla Murata, odbywał kampanię 1812 roku, i kolegując z wielu Polakami, doświadczył od nich wiele uprzejmości i zawsze o nich czule i serdecznie wspominał. Ma się rozumieć, że nie zaniedbałem powiedzieć, iż ma teraz właśnie sposobność odwdzięczenia za swego stryja, jeżeli jednemu z Polaków raczy przebaczyć mimowolną zuchwałość wejścia i pozwoili do końca obejrzeć ogród.

PRZEDRUK ZA: A. E. Odyniec, *Listy z podróży. (Z Neapolu do Genewy)*, t. 4, Warszawa 1878, s. 36–39.

## Koniki polne

Maria Gorecka (1835–1922)

Korzystając z pięknych dni letnich, liczna nasza gromada, nieraz powiększona przyjeżdżającymi kolegami Władzia, ruszała do bliższego lasu pobiegać lub łowić motyle, których zbiór mieliśmy ułożyć. Ty, mój Józiu, rzadko chodziłeś z nami; drobne twoje nożki wydołać jeszcze nie mogły dalekim spacerom, i nade wszystko lubiłeś na trawniku przed domem chwytać koniki polne, które obejrzawszy, matce lub ojcu pokazawszy, starannie na powrót odnosiłeś, puszczałeś na trawę, nigdy im najmniejszej nie zrządziwszy szkody. Tam więc dni spędzałeś, lub przy fontannie zapatrzony na płynącą wodę, albo kiedy księżyc świecił, całymi godzinami mając oczki wlepione w jasną jego tarczę. Kontemplacje te bardzo ojca bawiły i poszanowanie dla skrzydełek koników polnych mocno pochwalał w swoim faworycie.

PRZEDRUK ZA: M. Gorecka, *Wspomnienia o Adamie Mickiewiczu opowiedziane najmłodszemu bratu*, Warszawa 1875, s. 58.

## Robaczek świętojański

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

Po obiedzie czy po wieczery, choć już było blisko północy, puściliśmy się na spacer po xiężycu nad morzem i wzdłuż ogródków drzewnych i pachnących. W jednym z nich latający świętojański robaczek (których tu mnóstwo) uderzył się o mnie w przelocie, i widać przestraszony zwinął skrzydełka i siadł mi na piersiach. Adam zazdrościł mi tego, panna Anastazja żartowała, robaczek dalej sobie, jak boża krówka, w swoją drogę poleciał, ale mnie został pomysł, który zwierzowałem, i ponieważ Adam już zasnął, ty słuchaj pierwszy tego wiersza do niego.

PRZEDRUK ZA: A. E. Odyniec, *Listy z podróży. (Z Neapolu do Genewy)*, t. 4, Warszawa 1878, s. 100.

## Inwazja mrówek

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

*Civita Castellana*, miasteczko, liczy przeszło 3000 mieszkańców. Położenie prześliczne: na górze, otoczonej z trzech stron głębokim, malowniczym wąwozem, najpiękniejszymi drzewami porośłym, a w skutek ich cienia i chłodu, jak axamitną zielonością zasłanym. Zwabieni tym, wprost po obiedzie, poszliśmy tam z Adamem na spacer, i upatrzyszwy na koniec stosowne miejsce, przylegliśmy z rozkoszą, jak Tytyr *sub tegmine fagi*, na murawie, pod drzewem oliwnem. A jest to rozkosz nie lada we Włoszech, gdzie drzewa rosną zwykle na roli, a pług czy rydel aż do pnia dotyka. Gawędka szła w najlepsze – gdy wtem nagle czuję jakiś ruch lekki po ciele, jakby przebieg obcego żyjątko – i nim mogłem sięgnąć ręką w to miejsce, rój podobnychże ruchów rozsypuje się po mnie, jak żyjący piasek. Widocznie jak obłąznicy przy szturmie, zrobiwszy czy znalazłszy gdzieś wyłom, wpadają do środka fortecy – ale kto? co? sam nie wiem. Aż tu i Adam raptem zrywa się na nogi – i przy reszcie światła zachodu widzimy, jak całe nasze dolne odzienie aż połyskuje ruchomie od mrówek. Nie umiem ci opisać tego wstrętu czy zgrozy, jakim przejął mię widok tej plagi Egipskiej. Popiel zapewne czuł coś podobnego, gdy już myszy nań wbiegać zaczęły. A wtem też nasi zdobywcy zaczynają dawać nam uczuć: *vae victis*, to jest, po prostu, kąsać czy kłóć żądawkami. Samsonowym więc ruchem oburącz otrząsłszy się z wrogów zewnętrznych, żeby ich i ze środka wypłoszyć, musieliśmy w cwał prawie wracać do oberży, i tam rozebrać się do nitki, wytrząsając przez okno każdą sztukę odzienia, aby wróg nocnej nam w izbie kampanii nie urządził. Wykonywaliśmy to wszakże wesoło, śmiejąc się i konceptując; ale tak to nas zmordowało, że już nie mam dziś weny opowiadać ci treści rozmowy, która wszakże warta jest tego. Mówiliśmy o Garczyńskim. Ale to już na jutro, jeśli nie zapomnę. Dobranoc!

PRZEDRUK ZA: A. E. Odyniec, *Listy z podróży. (Z Neapolu do Genewy)*, t. 4, Warszawa 1878, s. 100.

## Łańcuch życia

Maria Gorecka (1835–1922)

Mieszkanie nasze wychodzące na główną ulicę miasteczka – bardzo blisko zresztą od morza, które z wyższego piętra mogliśmy widzieć – było bardzo niewygodne, tak jak całe urządzenie gospodarskie, z którym mama niemało miała trudności. Mięsa raz tylko było można dostać na tydzień, po jarzynę posyłać się musiało do drugiego, dość odległego miasteczka, a drobiu za żadne pieniądze sprzedawać nie chcieli krajowcy. Ojciec na srogiej tym sposobem diecie trzymany dowodził, że czasem, widząc kurczęta grzebiące się po dziedzińcach, chciało mu się które ukraść i kryminalnym sposobem zdobyć sobie pieczone. Istotnie o mało że czasem nie cierpiało się głodu w tym gościnnym kraju. Ja i Władzio postanowiliśmy w tym ciężkim razie przyjść z pomocą i pracą naszą dom żywić, łowiąc codziennie kraby, rodzaj małych raków morskich. Ale choć i suknie, i obuwie padły ofiarą naszych ciągłych wędrówek po skałach, które tylko przy odpływie morza zwiedzać było można, szukając kryjówek krabów, co rzadko suchą nogą udało się zrobić – mało bardzo w tych nieszczęsnych krabach było do jedzenia, i prędko się sprzykrzyły. Ale nam dzieciom te niedostatki mało czuć się dawały, a swoboda wakacyj, przechadzki nad brzegiem morza, kąpiel i ciągłe szukanie muszli i traw morskich były dla nas niewyczerpanym źródłem przyjemności. Ojciec nieraz brał nas z sobą i pokazywał żyjotka i trawy morskie, którymi sam się bardzo interesował, wykazując subtelne te przejścia między skałą a skorupiakiem, trawą morską a rakiem, które zdają się tak jasno oznaczonymi ogniwami nieprzerwanego łańcucha, wiodącego od najniższego, najbardziej uśpionego jeszcze, aż do najdoskonalszego i najpełniejszym życiem żyjącego tworzu. Niektóre trawy morskie tak doskonale kleszcze raków naśladują, że pomylić się nieraz można, jak gdyby natura zawczasu próbowała przygotowywać kształty

mające się nadać stworzeniu, które postawić miała na wyższym szczeblu organizacji.

PRZEDRUK ZA: M. Gorecka, *Wspomnienia o Adamie Mickiewiczu opowiedziane najmłodszemu bratu*, Warszawa 1875, s. 29–30.

## Po co Bóg stworzył komary?

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

Pisałem ci już przedtem, że stoimy w mieszkaniu prywatnem, gdzie za cztery *paole* (nasze złote) na dobę mamy dwa duże umeblowane pokoje, ze czterema dużymi oknami, w które słońce zaraz z południa i aż do zachodu zagląda. W Italii nie zawsze to przyjemność; ale słońce w tej porze roku jest to jakby spójrzenie umiarkowanej czułości, które ożywia tylko, a nie pali, i jest tu dla mnie tym właśnie, czym w ponurem i ciemnym mieszkaniu w Wenecji były oczki obu siostrzyczek. Biada tylko, że jak my w tym blasku słonecznym, lubują się w nim także i komary (które tu i w listopadzie nie giną), i to w dzień przed oknami formalnie ma k t ł u k ą, to w nocy jęczą po ścianach, jak nasi żałośliwi poeci, albo co gorsza, kąsają mi-molotem, jak gazeciarscy recenzenci warszawscy. A chociaż jeden, drugi i dziesiąty, c z a t o w a n y, jak mówi Krasicki, p o g ł o s i e, s k o ń c z y ż y c i e n a n o s i e, nie odstrasza to jego kolegów, którzy albo tego w ciemności nie widzą, albo nie baczą na to, jak żołnierze przy szturmie, i lecą w ślad jeden za drugim, tak, że zostaje nam tylko do wyboru: albo dusić się pod chustką czy prześcieradłem, albo oganiać się wciąż od nich, i nie spać.

Otóż onegdaj wieczorem, powracając z teatru, na który Adam pójść nie chciał, zastałem go w pozycji takiej. Stał z fajką między obu łózkami (łóżka tu stoją na środku pokoju, głowami tylko przyparte do ściany) i schylając się aż do ziemi, jak czarownik przy jakimś obrzędzie, puszczał w górę ogromne kłęby dymu wzdłuż ściany. Czynił zaś to dla odpędzenia na noc komarów, rozmyślając przy tym, jak mówił, na co Pan Bóg mógł stworzyć komary? Najpodobniej, że na to samo, co pokrzywę wśród roślin, co ciernie przy róży, albo co kaprysy w płci pięknej. Ale na co właściwie to wszystko? Zgadywaliśmy różnie, ale my nic mądrego nie wymyślili. Mnie zaś tymczasem przyszedł na myśl Żegota. – „Co? *à propos* komarów? On, co nigdy nikogo nie kąsa?” – zawołałsz może z oburzeniem. Tak

*à propos* komarów; ale tylko z powodu ich śpiewu, nie żądła. Przymniął mi się bowiem ów nasz nocny balet i polonez w Bolciennikach, cośmy go we trio z tobą, w rogatych poduszkach na głowach, i w bieli jak kapłani Izydy, tańcowali wkrąg łóżka poważnego pana Karola, przy wdzięcznym śpiewie Żegoty o komarze i musze [...].

PRZEDRUK ZA: A. E. Odyniec, *Listy z podróży. (Z Warszawy do Rzymu)*, t. 2, Warszawa 1875, s. 332–333.



## Komary

Edward Ostrowski (1816–1859)

Słońce zachodzi, opuszczam więc Sareptę, bo chcę koniecznie dziś jeszcze być w guberni astrachańskiej. Nic łatwiejszego: do tatianińskiej stacji wiorst 4 tylko, a ona już leży w pamiętnej dla mnie astrachańskiej ziemi. Lecz niestety, mimowoli tu przy wspomnieniu tatianińskiej stacji muszę przekręcić znaczenie słów znanej ci piosenki i powiedzieć „A wyjechać od niej trudno, a pozostać przy niej nudno” – W kilkanaście minut jestem już na stacji. Piękny zaraz wąż, tuż Wołga, drzewa, nawet, krzaki, wszystko niestepowe. Tu mam przepędzić noc całą, porobić potrzebne notatki, a nazajutrz dalej w drogę.

Na odgłos pocztowego naszego dzwonka pilny zawiadowca stacji wychodzi na ganek i już wydaje rozporządzenia do prędkiej przemiany koni. Ja mu oświadczam, że chcę tu nocować, a on mi na to: „proszę, lecz nie wiem, czy Pan wytrzymaś?” Dlaczego? „Alboż Pan nie widzi?” Patrząc i w samej rzeczy postrzegam, że ja i on jesteśmy otoczeni taką chmurą jadowitych komarów, że ani dym cygara, ani największa czynność rąk obu nie może zasłonić przed tysięcznymi ich ukłuciami. W ciągu kilka minut byłem cały osypany bólacemi i swędzącemi pęcherzami. Nieznośne tu są komary, a jakie przykre ich ukąszenia! Wyraźnie w biedzie traci się rozum. Dziś mi przyszło na myśl, że dla uniknięcia udęczeń od komarów możnaby wrócić na noc do Sarepty, lecz wówczas myślałem tylko, jakby dalej jechać. Powiedziano mi, że na tej stacji nikt letnią porą nie nocuje z powodu mnóstwa tych dokuczliwych owadów. Dwie następne stacje również wiele od nich cierpią. Przejechać noc całą po stepach, mających być przedmiotem mojego opisu i badań, to już się nie zgadza, z celem podróży, bo cóżbym widział i jakbym później opisywał, jeżdżąc po nocy i drzemiąc w tarantasie? Powiadam więc stanowczo: d o b r z e! więc tu zostaję, lecz czyż to w każdym d o b r z e, nie ma nic już złego? Dziewica nagłona

namowami ojca, gniewem matki lub przymusem opiekuna do oddania ręki staremu jakiemu, bardzo zacnemu i godnemu kalece, mówi nareszcie „d o b r z e!” lecz w tym d o b r z e łatwo jest dojrzeć na sto dziewięćdziesiąt dziewięć części złego. Dla rodziców tylko lub dla opiekuna jest to „dobrze”. Robią więc wyprawę, stary pan młody, gość coraz częstszy, coraz słodszy, a uprzejmiej się sypią cukry i łakocie, szale i brylanty, pikniki i siuprzyzy. Lecz gdy przyjdzie stanowcza chwila, kiedy knowany złością ludzką związek, z obrazą samego Boga, błogosławi już ręka kapłana, przerażona, błada dziewica i wówczas powiada „d o b r z e”, lecz w tym „d o b r z e” jest wyraźnie tyle złego, że licznik ułamka staje się większym od mianownika. Kiedy później znowu, ten quasi oblubieniec, zbrojny prawami męża, zeszkaradzone rozpustą, sprosne usta swoje zbliża po raz pierwszy do anielskiego, dziewiczego łona i chce wyssać z ust jej ten prawdziwy nektar boski, który Bóg sam w nagrodę cnoty, dla dziewiczego jeszcze młodzieńczego serca, przeznaczył człowiekowi, dozwalając z upojeniem kosztować go raz tylko jeden w życiu, dla dania mu pojęcia o anielskim nie ziemi szczęściu; dziewica i wówczas powtarza „d o b r z e”, lecz w tym jest już tak wiele złego, że go zwyczajną liczebną miarą opisać niepodobna. Kiedy na koniec poczwara ta, po raz pierwszy ... dosyć już o tym mówić.

Bóg wie dlaczego zawsze zbaczam z drogi, aż mi pot zimny oblał pałające czoło, aż dreszcze przeszły po ciele! Okropnie też wiele złego, bezecnego, potwornego przedstawiła mi w tej chwili moja wyobraźnia, lecz zamilczę o tym. Są pewne wypadki w życiu ludzkim, o których człowiek moralny przed najbliższym nawet zamilczeć powinien. Milczę więc o tym, lecz skąd ja wpadłem na te bezecne sceny... A... to komary... dziwne zбочzenie myśli! One mnie to zabłąkały na te manowce, po których i ciebie przez chwil kilka, z zapaloną pochodnią w sercu, za rękę prowadzić miałem, a żem nareszcie doszedł do zasłony, której odchylić obu się nam zapewne nie chciało. Oba, w wielu rzeczach, zgadzaliśmy się zawsze ze sobą. Ohyda nie była nigdy znośnym dla nas obrazem! Przepraszam cię za ten ustęp i wracam do opowiadań.

Otóż z takim uczuciem, jak ta zmuszona dziewczica, wyrzekłem do br ze, zostaję na stacji pocztowej, bo gdzie się było podziąć? Sam zawiadowca stacji i cała jej ludność sypiają tu pod połogami. Są to pewnego rodzaju zasłony, w rodzaju dawnych firanek czy kotar nad łózkami, pod którymi niegdyś ojcowie nasi skryci od much, słońca i niedyskretnie ciekawego wzroku domowników używali miłego wczasu obok czcigodnych swoich małżonek. Całe statki napełnione tymi połogami, wyrobionymi ze szczególnej materii płóciennej, dziurkowatej, chodzą po Wołdze i po nadbrzegami Kaspijskiego morza, stanowią niezbędny artykuł handlu i jedyną ochronę od tych owadów, których liczba i natarczywość zwiększa się jeszcze bardziej za zbliżeniem się na południe Kaspijskiego i Arabskiego morza. W nocy zajadają prawie na śmierć komary, w dzień bąki, gzy i muchy uprzykrzają się do nieopisania, dodać do tego czterdzieści kilka stopni ciepła, podług cieplomierza Réaumur<sup>1</sup>, brak wody dobrej i żywności, a będziesz miał mały obrazek doznawanych tu rozkoszy. Już na koniec jestem w pokoju przeznaczonym dla podróżnych, palę fajkę, piję herbatę i zaczynam pisać tyle, ile komary dozwalają. Znużony na koniec długą z nimi wojną, cały pokąsany, sądzę, że się już do nich przyzwyczaił i z nimi obył, sądzę, że zasnę, o gdzie tam! Całą noc oka nawet nie zmrużyłem; a na dobitkę nazajutrz o wschodzie słońca, w tarantassie, znalazłem prawdziwą stację pocztową, do której zajechały na nocleg miliony tutejszych komarów. Fajki, cygara, ręce, chustki i płaszcze, wszystko to było w ruchu dla pozbycia się tych nieproszonych gości. Była to prawdziwa wojna. Po półgodzinnej energicznej walce zostaliśmy na koniec panami pola bitwy; lecz jak zwykle na wojnie bez straty się nie obeszło. Komarów wiele poległo, ale i my zostaliśmy poranieni.

PRZEDRUK ZA: E. Ostrowski: *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich*, t. 1, Grodno 1859, s. 56–61.

---

<sup>1</sup> Skala Réaumur – jedna ze skal termometrycznych; 1 stopień w skali Réaumur = 1,25 stopnia Celsjusza.

## Szarańcza

Edward Ostrowski (1816–1859)

Drogę od Czarnego Jaru, znałem bardzo dobrze, gdyż jechałem nią, dążąc jeszcze ku nadbrzeżom Kaspijskiego morza: pola tylko i stepy, które dziś były jeszcze biedniejsze, bo je skwar letni zupełnie wyniszczył. Niedalego od Czarnego Jaru spotkałem chmury szarańczy, które na przestrzeni wiorst 40 bez przerwy nade mną leciały; rzadka ta u nas z łaski Boga plaga zbyt często niestety dotyka tameczne strony; niewielkie jednak mogła na ówczas sprawić zniszczenie, gdyż na stepie tylko skielety traw zeschniętych i spalonych padłyby ofiarą znanej jej żarłoczności. Mnóstwo też z lecącej szarańczy przysiadowało tu i ówdzie na chwilę, lecz zawiedzione w swych nadziejach zrywało się zaraz do dalszego lotu, a prędko się tam miało skończyć jej panowanie: lecąc dalej ku południowi, znajdzie jeszcze biedniejsze stepy i u Kaspijskiego morza pewne grób nieomylny.

PRZEDRUK ZA: E. Ostrowski: *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich*, t. 2, Grodno 1859, s. 155.

## Skorpiony i tarantule

Edward Ostrowski (1816–1859)

Pierwszą noc w Stawce Chana przepędziłem prawie w gorączce lub przynajmniej w gorączkowej jakiejś niespokojności, gdyż było duszno, gorąco i na deszcz się zbierało, a ja przy deszczu zawsze jestem cierpiący. Utrudzonemu długą podróżą niewiele czasu było potrzeba do zupełnego uspienia – lecz sen ten był jakiś niespokojny: to jaszczurki stepowe szeleściły mi w uszach, jakby posuwając się po wypalonych stepach, to węże się przemykały, to skorpiony mnie kąsały, to tarantule po mnie biegały; jednak pomimo tego wszystkiego spałem bez przerwy, choć jak widać, że spało tylko ciało moje, a dusza ciągle czuwała.

PRZEDRUK ZA: E. Ostrowski: *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich*, t. 2, Grodno 1859, s. 1–2.

**Zwierzęta dotrzymują  
towarzystwa i dają rozrywkę**



## Zęby Brylanta

Ewa Felińska (1793–1859)

Antosia miała od dzieciństwa umysł czynny, zwrócony do życia praktycznego. Lubiła kwiatki, ptaszki, roboty ręczne, lubiła stroje, ale razem i porządek. Już wówczas przebijała się w niej myśl gospodarna, i wytrwałość w zatrudnieniach. W owym czasie miała na własność tylko mały ogródek pod oknem, kwiaty w pokoju, klatkę z ptaszkami, w dodatku kurę z kurczętami, która co dzień przechodziła pod okno z drobną rodziną odbierać jadło i napój z rąk swojej pani, ale tego wszystkiego doglądała porządnie i troskliwie, nie zapominając się w przyjętych obowiązkach. Nie tak jak zwykły robić inne osoby jej wieku, co niby ukochwawszy jakie stworzenie, pieścić je czas niejaki, zarzucają wygodami i staraniem, a jutro przez niepamięć zamarzają głodem.

Ja dościsnęłam końca lat trzynastu, która to epoka wraziła się w pamięć moją ważnym dla mnie wypadkiem.

Za dwa dni miała być wilia Bożego Narodzenia. Ten dzień zawsze był w Hołyncie obchodzony uroczyście, więc każdy sposobił się do tej uroczystości według swoich potrzeb i stanowiska. Dla mnie święto, które nadchodziło, miało znaczenie w tym roku ważniejsze niż w latach ubiegłych. Na drugi dzień świąt kończyłam lat trzynastcie, kończyło się zatem dzieciństwo, bo któż ośmieli się wziąć za dziecko panienkę, co liczy rok czternasty? Ten wiek ma już między ludźmi pewne przywileje, o których dobrze pamiętałam, a pamiętając, układałam sobie projekta na następną wilię, myśląc jak się ubiorę, jak włosy utrefię, jak głowę opaszę sznelką<sup>1</sup> błękitną, robiąc zgrabne kokardki i puszczając końce za uchem. Zdało mi się, że to będzie ładnie a bez pretensji, a jednak mniej powszednio niż co dzień.

Kiedy się zatapiam w tych błogich marzeniach, zbliżył się do mnie wyżeł pokojowy Brylant, mój wielki faworyt, i zaczął robić

---

<sup>1</sup> Sznelka – sznurek jedwabny.



różne umizgi, aby mię wyzwać do karesów. Że serce moje nigdy nic było dla niego obojętne, pogłaskałam, on zaczął lizać moją rękę, głaskać się wzajemnie. Ja, odpowiadając na te czułe pieszczoty, objęłam go za szyję, przytuliłam twarz moją do jego głowy, głaszcząc drugą ręką, i zostawaliśmy przez minut kilka w najczulszej harmonii. Wtem, nie wiem co mu się stało, raptownie zawarczał i w mgnieniu oka ukąsił mię za twarz dwa razy, a ja się krwią zalałam.

Ci, co byli w pokoju, przelęknieni przybiegli do mnie: nie było można krwi utamować, twarz natychmiast spuchła, a co najgorszej, nie można było wiedzieć czy oko całe, czy skaleczone, bo jedno ukąszenie było pod samym okiem, a koło ust drugie, i oko tak zapuchło i tak krwią zaszło, że widzieć, co się wewnątrz dzieje, sposobu nie było.

Można łatwo odgadnąć, że myśli moje naówczas wcale nie były wesołe. Tylko co marzyłam, jak za dni kilka zostanę słuszną panną, a tu w perspektywie staje kalectwo, z dodatkiem przeczucia długiej przyszłości, bo zawsze przeczuwałam długą przyszłość.

W niepewności, obawie i najsmutniejszych myślach przepędziłam noc całą. Nazajutrz, kiedy potrafiiono zajrzeć pod zbrzękłą powiekę i zapewniono, że oko całe, byłam uradowana tak, że zapomniałam o tymczasowym kalectwie.

Dotąd nie można zgadnąć, co spowodowało psa dobrze znajomego i pieszczonego do tak szkaradnej zdrady. Do dnia dzisiejszego została mi pewna obawa i nieufność do psów pokojowych, nierada ich mam przy sobie, a w cudzym domu, choćby się który najwięcej łasił i okazywał dobrą wolę, ja go unikam.

Nadeszły imieniny stryjenki, ale choć było dużo gości, nie wychodziłam z mego pokoju. Miejsce niebieskiej sznelki zastąpiło obwiązanie twarzy. Na dobitkę Adam, który przyjechał z Mińska na imieniny matki, a razem na święta, najnielitościwiej dokuczał, bez względu na moje kalectwo i niepomyślną przygodę, właściwym sobie konceptem.

## Szczygły w klatce

Ewa Felińska (1793–1859)

[...] fantazja była jedynym doradczą, i ona tylko nami rządziła. Nie wyznaczyłyśmy sobie żadnego zatrudnienia, tylko albośmy się krzątały koto kwiatków, przesadzając, to podlewając, albo uczyłyśmy szczygłów ciągnąć wodę dla siebie do picia naparstkiem ze słoików. Antosia bowiem miała w swoim pokoju dużą klatkę, napełnioną szczygłami; otóż odmawiano wody tym biednym ptaszętom, póki się nie nauczyły ciągnąć ją wiaderkiem zawieszonym na nitce. Ta edukacja potrzebowała zwykle kilka dni czasu, i bardzośmy były dumne, jeżeli po kilku dniach pilnej nauki uczeń zbierał zgrabnie nitkę pod łapkę i pił z przyczepionego do niej naparstka, który puszczone znów padał do słoika napełnionego wodą niby do studni, i na zapotrzebowanie znów się na wierzch dobywał napełniony wodą.

PRZEDRUK ZA: E.Felińska, Pamiętniki z życia, seria 1, t.2, Wilno 1856, s.9.

## Papuga

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

Nie wiem, czy ty czytałeś komedyjkę studencką pana Tomasza, pt. *Pierozki gryczane* – bo nie było cię jeszcze w Wilnie, gdyśmy ją kiedyś grali w dzień imienin autora. Otóż sprzedający w niej owe pierozki Niemiec opowiada zebranym w koło niego studentom pierwszy swój wyjazd do szkoły. Wierszy nie pamiętam, ale treść taka: Ojciec płacze – on nic; matka płacze – on nic; siostry płaczą – on nic; i już siada na kałamaszkę. Aż wtem pasące się na dziedzińcu cielę, jak nie beknie żałośnie: „*Bar-to-lo-mee!*” (to imię jego) – pękł hart odwagi czy głupoty malca, i musiał powrócić do izby, aby się przy matce wyplakać. Otóż dziś omal i ze mną nie stało się jak z Bartłomiejkiem, gdybym mógł przy kim jak on się utulić. Ten i ta mówi o rozstaniu – ja nic; ten i ta patrzy się smutnie – ja nic; aż nareszcie, przed samym już wyjściem z obiadu, poszedłem pożegnać papugę. Masz zaś wiedzieć, że od pierwszych dni poznania chciałem i zacząłem ją uczyć kilku frazesów po polsku, które bardzo wyraźnie po niemiecku wymawia. *Tempus et laborem perdidit*, jak tam ktoś kiedyś ze szpakiem; ale za to sama jej pani, dopomagając mi w tej pedagogice, nauczyła się ich doskonale i wymawia prześlicznie; papuga zaś, którą karmiłem przy tym owocami i cukrem, tak dalece oswoiła się ze mną, że mię za każdym widzeniem z wyraźnym ukontentowaniem witała. Tym razem, jakby przeczuwając rozstanie, na apostrofę moję: „*Leb'wohl Papagei!*” tak się zaczęła wdzięczyć, przechylając głowę, i tak recytować z kolei wszystkie swoje najczulsze frazesa: iż myśl, że je po raz ostatni już słyszę, tak mię jakoś niespodzianie schwyciła, że aż musiałem wyjść śpiesznie do drugiego pokoju, aby z tego wrażenia ochłonać.

PRZEDRUK ZA: A. E. Odyniec, *Listy z podróży. (Z Warszawy do Rzymu)*, t. 1, Warszawa 1884, s. 230–231.

## Królik z czerwonymi oczami

Maria Gorecka (1835–1922)

W owych latach urodził się nasz brat Aleksander, któregośmy stracić mieli w kwiecie wieku, i jego kołyska rozweseliła nas, gromadząc wkoło nowego braciszka. – Na lato wywiózł nas ojciec do St.-Germain. Przeprowadzając nas do kolei, wielki przyjaciel dzieci H. S. przyniósł nam na wiejskie gospodarstwo ślicznego białego królika z czerwonymi oczami. Ledwie weszliśmy do najętego nam domku, pierwszym naszym staraniem było wynieść do ogródka nowego gościa zamkniętego w koszyku. Nie domyślaliśmy się, że z tego koszyka wyjdzie dla nas nieszczęście jak z puszek Pandory. Królik bowiem w nocy wymknął się z zamknięcia, i używając swobody, uraczył się trawą zielonego klombu z gazonu, który stanowił główną ozdobę maleńkiego ogródka, czym oburzona gospodyni 60 franków szkody naliczyła za tę drogocenną trawę. Ojciec musiał zapłacić, ale oburzony taką złą wiarą, zaraz się wyniósł do innego mieszkania.

PRZEDRUK ZA: M. Gorecka, *Wspomnienia o Adamie Mickiewiczu opowiedziane najmłodszemu bratu*, Warszawa 1875, s. 22–23.

## Kurze historie

Maria Gorecka (1835–1922)

Naprzeciwno drwalnia stanowiła jakby drugi pawilonik, a w ogrodzie założył się kurnik i z wielką naszą radością maleńkie gospodarstwo składające się z kur i z gołębi, dla których gołębnik się też wystawił domowej fabryki. Ptactwo to tak nas zajmowało i tyle zawsze miałam ojcju do opowiadania o naszych kurach, z których każdej osobno studiowałam przymioty i życie codzienne, że mi raz ojciec powiedział, żebym spisała te moje postrzeżenia; co też zrobiłam równie poważnym stylem i z takim przejęciem się, jak Liwiusz kreśląc dzieje Rzeczypospolitej Rzymskiej. Historyczny ten dokument przypisałam dawnej przyjaciółce ojca, a od nas nadzwyczaj też kochanej i szanowanej pani Clustine, której nieraz świeże jaja naszych kur lub kwiaty ogrodu z przyjemnością zanosiliśmy.

PRZEDRUK ZA: M. Gorecka, *Wspomnienia o Adamie Mickiewiczu opowiedziane najmłodszemu bratu*, Warszawa 1875, s. 24.

## Wiewiórka w Collège de France

Maria Gorecka (1835–1922)

Raz jednak ledwo z łaski mojej mądrej osóбки jedna jego prelekcja dziwnym epizodem urozmaiconą nie została. Zobaczyłam gdzieś wiewiórkę i koniecznie napierać się zaczęłam, żeby taką dostać, a ojciec naturalnie zaraz obiecał postarać się o to dla Misi, która nie omieszkiała co dzień przypominać mu obietnicy. Szedł jednego poranku do Collège de France, kiedy na moście zobaczył siedzącego Sabaudczyka z wiewiórką. Ucieszony, że przecie dogodzi gorącym moim życzeniom, zapomniał, że na prelekcję idzie, kupił ładne zwierzątko, a że zimno było, wsunął ją w zanadrze i zapiąwszy dobrze surdut, aby nie uciekła, poszedł dalej. Ledwie uszedł kilkanaście kroków, prelekcja przyszła mu na myśl, a za to wiewiórka zupełnie wyszła z pamięci. Wchodzi zatem ojciec na katedrę, i mówić zaczyna. Przez czas jakiś wszystko szło dobrze, aż wiewiórka znudzona długim spokojem, albo może zbyt już czując gorąco w sali dobrze ogrzanej i pod ciepłym surdudem, kręcić się żywo zaczęła, szukając wyjścia z ciemnej kryjówki. Rzecz ciągnąc dalej o literaturze słowiańskiej, czuł professor na piersiach wszystkie skoki i poruszenia wiewiórki. Ale nagle pogorszyło się i tak już nieprzyjemne położenie: wiewiórka trafiła w otwór od rękawa i żywo zsuwać się przezeń poczęła; ojciec drugą ręką co prędzej rękaw u dołu uchwycił, skręcił i trzymał mocno, lękając się co chwila, aby zniecka mieszkanka lasów, wylatując z rękawa profesora jak niesłychane zjawisko, wśród zadziwionej publiczności jednym skokiem się nie znalazła. Przy takim pasowaniu się z niewygodnym gościem, dalej prelekcję prowadzić i kończyć musiał, dziwnym tym kłopotem okupując moją fantazję. Tak drogo opłaconą wiewiórką niedługo jednak cieszyłam się, okazała bowiem przy całej zwinności i gracji nadzwyczaj dziką i złośliwą naturę. Parę razy przegryzłszy druty klatki, w nocy wypadła i szkody narobiła, raz ojcu całą poduszkę pod głową wygryzła, a gdy w końcu zamiast podawanego

jej orzecha rękę mocno mi ukąsiła, wydalono ją z domu i nadal na pieskach musiałam poprzestawać.

PRZEDRUK ZA: M. Gorecka, *Wspomnienia o Adamie Mickiewiczu opowiedziane najmłodszemu bratu*, Warszawa 1875, s. 17–19.

## Wspominane zwierzęta

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

Ale ze czcią prawdziwą podziwiałem w nim pamięć kochającego serca, która tak wszystkich i wszystko ogarnia, co się łączy z obrazem jego stron rodzinnych, nic zgoła nie odnosząc do siebie. Nie tylko bowiem ludzie, ale nawet zwierzęta miały udział w jego wspomnieniach. Pytał mię, co się stało z szalonymi końmi pana Kowalskiego, na których kiedyś, polecając się Panu Bogu, odbywaliśmy przecież konno romantyczną wycieczkę do Romań? Co z gadatliwą papugą jej samej? Co z ich ogromnym brytanem, stróżem i ulubieńcem ich dziatwy? Co z tłustym a złym mopsem panien marszałkówn Siwickich, który tak nie cierpiał Adama, że go ciągle spod krzesła chciał kąsać za nogi, ambarasując tym niepomału swe panie, które się zarówno lękały obrazić faworyta, jak gościa. Mówiąc stąd o psach innych, że go zwykle lubiły, opowiedział mi wzruszające zdarzenie z Krukiem, wielkim, czarnym psem jego rodziców, z którym w dzieciństwie żył w wielkiej przyjaźni. Raz dano mu na podwieczorek porcją chleba z masłem. Cząstkę chciał dać Krukowi, ale Kruk porwał ją całkiem. Malec rozplakał się głośno; czym widać poruszony czworonogi przyjaciel chleba, który miał już w paszczęce, złożył na jego kolanach – i podzielili się nim po połowie. – W wiele lat potem w Kownie, gdy raz wedle zwyczaju spacerował sam w nocy w dolinie, zjawił się nagle, nie wiedzieć skąd, pies jakiś, i zaczął się łaścić do niego; ale tak był podobny do Kruka, że go to przeraziło nie żartem. Przyszła mu na myśl scena z Fausta Göthego, w której diabeł, w postaci czarnego pudła, przylątał się na przechadzce do Fausta, nim się w domu na koniec w Mefistofelesa przemienił. A wrażenie to tak było mocne, że ledwo szybkim bokiem doszedłszy do miasta, i nie oglądając się poza siebie, ochłonął powoli z tej myśli, że bies, nie pies prosty biegł za nim. A i drugi raz także miał spotkanie ze strachem w dolinie. Było już około północy, gdy nagle brzęk łańcuchów wyrwał go



z zamyślenia. Wzniósł oczy i tuż przed sobą, przy słabem świetle księżyca, ujrzał postać ogromną w bieli. Brzęk łańcuchów znów się ponowił; widmo ruszyło się ku niemu. Nie z odwagi więc, jak sam wyznawał, ale z gorączkowego popędu, on też prosto rzucił się na nie, i spotkał się oko w oko z białym koniem młynarza, który, spętany pętem żelaznym, harcował sobie spokojnie, a zwrócony przodem ku niemu, wydał mu się białym olbrzymem.

PRZEDRUK ZA: A. E. Odyniec, *Listy z podróży. (Z Warszawy do Rzymu)*, t. 1, Warszawa 1884, s. 120–121.

## Koty Oleszkiewicza

Stanisław Morawski (1802–1853)

Niezbędne stworzenia, bez których nikt z nas, co znał Oleszkiewicza, i wyobrazić go sobie w realnym i domowym życiu nie może, były: Fiokła i koty.

Fiokła, Czuchonka! Fiokła, brzydka jak grzech śmiertelny, siedmdziesięcioletnia staruszka, z pięćdziesięciu trzema brodawkami i rodzimemi znakami na nosie, szyi i twarzy. Nieoszacowana Fiokła, od lat wielu kucharz, kamerdyner, praczka, szwaczka, słowem wszystko Oleszkiewicza. Fiokła, malutka, sucha jak trzaska, czysta, schludna, najpocziwsza na świecie babina, pełna dobroci, współczucia, miłosierdzia nad każdą niedolą ludzką czy zwierzęcą. Zastanowić się nad tem wszystkim głową serce jej nigdy nie dało czasu. Ileż to razy z litości gorzkimi zalała się łzami, dowiedziawszy się ode mnie, że mi włosy na przykład puchnąć zaczęły, że pierścień mój na palcu okropnie narywa, że czapkę moją żandarmy do więzienia wtrąciły, albo że podeszwy od kaloszków moich tej nocy okradziono do nitki. [...]

Jakie sympatyczne pociągi łączyły Oleszkiewicza z kotami, a kotów z Oleszkiewiczem, tego nikt z nas nigdy nie dociekł. To pewna, że Oleszkiewicz bez kotów żyć nie mógł. To było jego jedyne dziwactwo.

Już zaraz na samym wstępie, kiedy mnie Zenowicz do niego pierwszy raz prowadził, na wielkich paradnych schodach uderzony byłem tym silnie etero-narkotycznym i powszechnie znajomym zaduchem, który dowodził, że tu jest Chanaan, ta prawdziwa ziemia obiecana kotów! Wszystkie jego pokoje tak przejęte były tym silnym odorem, że nieraz damy, co się do niego dla portretów swoich zjeżdżały, wpadały w zupełne mdłości. Jemu to nigdy nic nie szkodziło, ani się nawet tego domyślał. Kiedy umierając, polecił, ażeby książki jego przyjaciele na pamiątkę po nim rozebrali pomiędzy siebie, a ja aż w sześć miesięcy po jego zgonie do stolicy wróciłem, oddano

mi książki dla mnie przeznaczone – ale wtedy nawet, dla silnego kociego śwędu, w rękę trzymać ich nie było można.

Zwykle na oczach i w pokojach było u niego od ośmiu do dwunastu kotów różnego wieku, maści i kształtów. Liczba przyzwoita i znośna. Te zamyślane siedziały, te po kątach i krzesłach spały, tamte się cacką jakąś bawiły, inne kocim zwyczajem drapały przednimi nogami kozły jego warsztatu, na których się stawia blejtramy; a tak je, o ile dostać mogły, ze wszystkich stron wydrapały, że już u spodu były wszystkie cienkie jak trzcina. Każdy z tych kotów miał swoje imię. Ten – Jaś, ten – Michaś, ten – Ignaś, ta – Zosia, Marynia, Rózia. Każdy z nich, za jakimby przez pokój szedł interesem, musiał pierwaj zawsze otrzeć się około nóg jego i drgnąć podjętym do góry ogonem.

Ale to było nic w porównaniu z tym, co było schowane przed okiem profanów, co było u Fiokły! Wstydził się sam przed nami swojej słabości, nikomu nigdy całego kotów swoich nie śmiała pokazać pułku. Raz jednak, nie zastawszy go w domu, skorumpowałem różnymi grzecznościami Fiokłę, że mi do swoich apartamentów drzwi otworzyła. Ażem się zadziwił. Mało, jeśli pięćdziesiąt innych kotów tam jeszcze gościło oprócz tych, co były w pokojach.

Oczywista, że się ciągle między te zwierzęta, w tak wielkim towarzystwie i w izbie ciągle trzymane, wkradać musiały rozmaite zarazy. Największa ich część była chora, wychudła, kaszłała, kichała i różne tym podobne, a mniej estetyczne co moment jawiała symptomaty. Wszystko to zostawało w mieszkaniu Fiokły i gorzej jeszcze zarazało powietrze. W przecięciu najmniej dwanaście kotów ciągle było chorych. Tym sam Oleszkiewicz sprowadzone z apteki administrował lekarstwa. Namazane i natarte własną ręką jego maściami i miksturami, sadzane były latem i więzione we szwedzkich piecach. Ale najśmieszniejszy widok czyniły koty z wanien świeżo wyjęte, zmokłe, oblaźłe, wychudłe, żałośnie miauczące, czchające i coś jeszcze głośno robiące tak, że nie można było wytrzymać od śmiechu, z którego Oleszkiewicz wcale nie był kontent, bo

sam ledwie że nie płakał, patrząc na ich niedolę. Tegom na sobie doświadczył, kiedy raz, zrozpaczony rozprzestrzenioną w jego menażerii nieuleczalną piersiowych suchot zarazą, w moich aż wiadomościach szukał współczucia i rady na to wielkie swoje nieszczęście.

Baron Weidlich, ogromnie, kuliście tłusty i potrzebujący mocy, a wesołego humoru człowiek, nie mając względu na te znakomitego męża słabości, kiedy raz w lecie, nie znalazłszy go w domu, zastał w jego pokoju kilka kop kotów, używających przy otwartych oknach świeżego powietrza, ogromnym, co go miał w ręku, kijem tak je pomimo próśb i łez Fiołki jął tłuc, upędzać i ganiać, że większa połowa nieboraków, z takim obejściem się nie zwykłych, przez okna na ulicę sadyć zaczęła. Tam się wylęło znowu największe podziwienie przechodniów, których się zaraz wielka masa naprzeciw okien Oleszkiewicza jak na cud jaki zebrała, pojąć nie mogąc, skąd tyle razem stamtąd bierze się kotów. Oleszkiewicz zawsze o tym Weidlicha postępkę z niejaką goryczą i ubolewaniem wspominał.

Koty i kocięta, czy w wielkich ogólnych, czy w cząstkowych epidemiach, albo i w sporadycznych chorobach u niego zmarłe, starannie owinięte w bibułę, a potem w siny papier od cukru i szpagatem obwiązane, chowano na poddaszu domu, gdzie ciągle mieszkał i gdzie jakby umyślnym i szczęśliwym dla tego egipskiego obrzędu trafem ogromne masy piasku na sufity nawiezione były. Można sobie wyobrazić, ile to przy nieustannej śmiertelności przez kilkadziesiąt lat zebrało się mumij na tym poddaszu. Z jakim to zadziwieniem kiedyś antykwariusz, albo naturalista jaki, znalazłszy tam te szczątki, skrobać się będzie w łysinę i robić domysły o przyczynach, które na to miejsce tyle kocich zwłok ściągnęły.

Czy swawola, czy litość zaprowadziły modę podrzucania Oleszkiewiczowi kociąt tak, jak gdzie indziej podrzucają dzieci. Przyjmował je i wychowywał. Ale kiedy i sam już wiedział, że się tego zanadto nabrało, rozdawał je znajomym, oddawał babom,

stróżom domu na tej ulicy, stróżom policyjnym, budnikami zwanym. A jak ci przyjąć tego ciężaru nie chcieli, albo jak się z ich miny z góry domyślił, że wychowańcy jego nieraz i głodem morzeni będą, naznaczał za nie miesięczne pensje i te sumiennie i akuratnie zawsze wypłacał.

PRZEDRUK ZA: S. Morawski, *W Peterburku 1827–1838*, wyd. A. Czartkowski, H. Mościcki, Poznań [1927], s. 134–138.

## Koty Oleszkiewicza 2

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

Ale nie skończyłbym dzisiaj, gdybym ci chciał opisywać różne inne podobne anegdoty, które o nim od Adama słyszałem. Nie mogę wszakże pominąć jeszcze jednej, w której Adam sam był aktorem; że zaś [t]a łączy się ściśle z niemniej szczególną miłością Oleszkiewicza do zwierząt, muszę jeszcze i na tym punkcie kilka słów o nim powiedzieć. Wszystko, co żyje, jako obdarzone życiem przez Boga, ma już dlań pewien charakter świętości; stąd nie tylko żadnego nigdy mięsa nie jada, przypisując właśnie jedzeniu jego wszystkie zwierzęce popędy i namiętności w ludziach, i z nich, jako kara krwiożerstwa, wynikające między nimi wojny; ale i najdokuczliwsze nawet żyjątka znajdują w nim opiekuna i obrońcę. Tak np. zabijanie lub trucie much Oleszkiewicz uważa za grzech, z egoizmu tylko naszego wynikający; sam zaś broni się od nich następującym sposobem. Co dzień rano namacza w piwie kilkanaście arkuszy grubej bibuły i rozwiesza ją w kącie na poręczach krzesel. Jakoż muchy, napiwszy się piwa, siedzą potem w pół senne dzień cały na suficie albo po ścianach, nie naprzykrzając się nikomu ani pstrząc nawet rozwieszonych obrazów. Ale jakkolwiek Oleszkiewicz wszystkie bez wyjątku żyjące istoty równą troskliwością ogarnia, najpierwszym wszakże przedmiotem upodobania jego są – koty. Dom jego napelniony jest nimi; chodzą i łążą wszędzie, gdzie im się podoba, a żywność ich dzienna kosztuje go bez porównania więcej niż jego własna. Prócz tego jest osobny pokój, zwany „infirmarią”, gdzie pod osobnym dozorem starej Fiołły rodzą się i hodują młode, a pielęgnują się chore. Skoro jednak młode dorosną, Oleszkiewicz rozdaje je każdemu, kto zechce, dając przy tym, jak powiada, w posagu, po samcu 5, a po samicy 10 rubli assygnacyjnych, na dzieci; za co nawzajem biorący obowiązują się pod sumieniem żywić je i utrzymywać starannie, i muszą mu dać swój adres, aby od czasu do czasu mógł się przekonać naocznie, czy zobowiązania biorą

swój skutek. – Jednego tedy razu Adam, wśród największego upału, spotkał go na jednej z oddalonych ulic, chodzącego od domu do domu z kartką w rękę i czytającego numer nad bramami. Zapytany, co tu robi, odpowiedział, że szuka numeru wskazanego mu na tej ulicy, lecz którego znaleźć nie może; kiedy zaś opowiedział dalej, że adres ten dał mu jeden z tych, co wzięli u niego kociątko i posag po nim: Adam, śmiejąc się, zaczął mu dowodzić, że ten, co je wziął, dał mu umyślnie numer fałszywy, a utopiwszy kota, posag tylko sobie zatrzymał. Posądzenie to tak obruszyło Oleszkiewicza, że przypisując tylko sobie samemu omyłkę w zapisaniu numeru, bez pożegnania nawet rozstał się z Adamem i za obaczeniem się znowu nie pierwszej przestał go gderać o brak miłości bliźniego, aż ten, dla świętego pokoju, posądzenie swoje odwołał.

PRZEDRUK ZA: A. E. Odyniec, *Listy z podróży. (Z Warszawy do Rzymu)*, t. 1, Warszawa 1884, s. 52–54.

## Koty arcybiskupa

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

[...] zrobiliśmy nową i bardzo interesującą znajomość z jedną wielką znakomitością tutejszą, choć ta już dzisiaj sama do zabytków przeszłości należy. Jest nią Monsignor *Capece Latro*, Arcybiskup Tarentyński, Prymas Królestwa Obojga Sycylii, były minister spraw wewnętrznych, za byłych królów: Józefa Bonapartego i Murata, teraz zaś 86-cio-letni starzec, i jako w niełasce u dworu, prowadzący życie prywatne. Znając go, panie Klustin mówiły mu o Adamie, a że jest wielkim przyjacielem Polaków, więc go pragnął widzieć u siebie. Adam przystał na to tym chętniej, że już od państwa Ankwiczów wiele słyszeliśmy o nim jako o bardzo rozumnym i wielce niegdyś potężnym politycznym człowieku, który na losy swojej ojczyzny wielki, a zawsze tylko zbawienny wpływ wywierał; teraz zaś, jako na w pół zdzieciniały staruszek, odznacza się zwłaszcza excentrycznym a namiętym przywiązaniem do kotów, jak czcigodny nasz Oleszkiewicz.

Pojechaliśmy więc do niego z paniami i panem Klustinem. Przyjął nas, siedząc w krześle, na kształt tronowego, i trzymając na kolanach ogromnego, żółtobiałego i rzeczywiście dziwnej piękności angorskiego kota, *Signora Mirandola*, jak go wnet sam nam zarekomendował. Przed krzesłem i po obu jego stronach były trzy wielkie taborety, podobnie jak samo krzesło purpurowym axamitem wybite i złotymi po rogach kutasami ozdobione. Średni był próżny; na bocznych zaś leżały zwite w kłęb dwa inne, niemniej duże i piękne koty, tegoż samego gatunku; a nad kanapą, w przepysznych złoconych ramach, portret czwartego, doskonale malowany, wyobrażający zgasłą niedawno *Signorę Mirandolinę*, małżonkę właśnie owego faworyta, którego trzymał na ręku, a matkę tych dwóch śpiących po bokach. Wszystko to opowiedział nam sam obszernie, zaraz po pierwszych komplementach powitania Adama, i nieraz w ciągu tej narracji apostrofując żałośnie biednego „wdowca-sierotę”, którego



przy tym gładził bezprzestannie, i schylając się niekiedy twarz ku niemu, przytulał<sup>1</sup>. Potem wszakże z wielką jasnością i rozumem rozmawiał długo z Adamem o wielu rzeczach poważnych, a zwłaszcza o wpływie Napoleona na Włochy, po którym, jak się wyraził, spodziewał się zupełnego kiedyś odrodzenia ich dawnej potęgi i chwały. „Ale Opatrzność widać rozrządziła inaczej”, dodał, wznosząc oczy i ręce do góry. Kiedy zaś Adam nawzajem rozwijał przed nim ulubioną swą tezę:

„Że chociaż dziś skruszone olbrzymy zachodnie,  
Jeszcze na ziemię krew ich działać może płodnie”

staruszek tak widocznie był kontent, że wyciągając ku niemu przy pożegnaniu obie ręce, o ile kot na to pozwalał, wszystkich nas na pojutrze, to jest na pierwszy dzień Zielonych Świątek, na obiad do siebie zaprosił.

PRZEDRUK ZA: A. E. Odyniec, *Listy z podróży. (Z Neapolu do Genewy)*, t. 4, Warszawa 1878, s. 64–67.

---

<sup>1</sup> Śmiało można by ręczyć, że obraz Maćka w *Panu Tadeuszu* gładzącego białe króliki jest reminiscencją tej sceny (dopisek autora).

## U kotów na obiedzie

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

Po nabożeństwie w kościele Ś. Klary stawiliśmy się o drugiej na obiad u Arcybiskupa, i zrobiliśmy tamże bardzo miłą znajomość z xięciem *Satriano-Filangieri*, który, oprócz dwóch kanoników domowych, był, jak sędzę, umyślnie dla Adama zaproszonym gościem, i to wskutek rozmowy o Napoleonie, za którą nasz czcigodny gospodarz, przy pierwszej zaraz wizycie, tak widocznie pokochał Adama. Wnoszę to z pierwszych słów jego, które przemówił do xięcia, zapoznając go nawzajem z Adamem. „*Ecco il celebre poeta polacco*, który umie czuć i oceniać geniusz i wpływ wielkiego człowieka”. – Xiążę był też nadzwyczaj uprzejmy dla niego, i przez cały czas u obiadu zdawał się nim wyłącznie zajęty. Było nas osób 9; ale stół był nakryty na 12, i żadne z miejsc nie wakowało. Zgadnijże, jeśliś mądry, kto te trzy miejsca zajmował? – Przechodząc przez salę jadalną, gdzie stół był już gotów, gdyśmy przyszli, zdziwiliśmy się najprzód, widząc trzy jakieś osobliwszego kształtu krzeselka, wysokie i wąskie, stojące tuż obok fotelu, przeznaczonego wyraźnie dla gospodarza, również czerwonym axamitem obite, i zajmujące z nim razem całą stronę stołu. Adam pierwszy zrobił uwagę, że przecież Arcybiskup nie może mieć dzieci; zresztą dzieci nawet nie mogłyby się w nich zmieścić. Domyśliliśmy się więc, że chyba dla kotów; ale trudno było temu uwierzyć. Dopiero gdy kamerdyner wszedł i zawołał głośno: „*Siete serviti, Signori!*”, wszelka wątpliwość ustała. *Signor Mirandolo*, trzymany, jak zwykle, na kolanach, i godne jego syny, zwite w kłęb na taboretach, wszystkie razem podniosły głowy. Dwa ostatnie, wygiąwszy się w kabłąk, jakby się wyciągały po spaniu, zeszyły poważnie ze swego posłania, i szły krok w krok za Arcybiskupem, który zdawszy *Mirandola* na ręce kamerdynera, podał rękę do stołu samej pani Klustin i wskazał jej pierwsze miejsce po kocie z prawej, a pannie Anastazji, po dwóch kotach z lewej strony siebie. Goście jeszcze nie byli usiedli, gdy już lokaje koty

posadzili w krzeselkach. Każdy miał swój talerzyk z *minestrą*<sup>1</sup>, którą bardzo zgrabnie chleptały, siedząc słupkiem na tylnych nogach i wyprostowane jak dzieci. Wszystkie też inne potrawy podawano im w kolej, pokrajane drobniutko, i zdaje się, że jeden z lokajów miał wyłącznie ten obowiązek. Był to widok niezmiernie śmieszny, chociaż nikt nań nie zdawał się zwracać uwagi, szanując excentryczne upodobanie staruszka. On sam wszakże musiał to czuć *in petto*, bo w pół żartem przepraszał damy za obecność „swych dziattek” (*de miei fanciulli*), jak je nazywał, chwając przy tym i wykazując ich grzeczność. Dalsza też rozmowa u stołu była najprzód o kotach, to jest sam szanowny gospodarz wysławiał szlachetność ich rodu, opierając się mianowicie na tym, że nigdy w żadnym języku nazwisko kota nie było używane w obelżywym znaczeniu, jak np. pies, osieł, niedźwiedź itd.

PRZEDRUK ZA: A. E. Odyniec, *Listy z podróży. (Z Neapolu do Genewy)*, t. 4, Warszawa 1878, s. 77–79.

---

<sup>1</sup> Minestra – zupa.

## Rozmowy z psem

Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841)

11, 12 sierpnia 1835, na wycieczce w Fontainebleau

Na dziś wiele znużony powróciłem wcześniej do stacji, zbyt zmordowany i nic bez spoczynku. Alkierzyk malutki, łóżko niegodziwe. Co gorzej, jakiś jegomość zaczął długą, głośną rozmowę przez ścianę, rozumiałem zrazu, że z żoną lub przyjacielem, lecz gdy na wymówki czynione za jakieś błędy niesłychane bez odpowiedzi, postrzegłem, że to z psem kazanie się przeprowadza, obiecywanie poprawy, potem całowanie i wtenczas darowano winę. Francuz musi koniecznie gadać, a gdy nie ma z kim, to przynajmniej z psem lub sam z sobą, ale gadać musi.

PRZEDRUK ZA: J. U. Niemcewicz: *Dzienniki 1835–1836*, do druku przygotowała i przypisami opatrzyła I. Rusinowa, Warszawa 2005, s. 154.

## **Buldog Bauzer**

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

Przypomniał Olcię i Kamcię, córeczki państwa Kowalskich w Kownie, które mu zawsze mówiły, że dwóch tylko kochają, to jest jego i Bauzera (buldoga). Stąd poszła rozmowa o dzieciach. Ty wiesz, jak ja je lubię – ale zawsze tylko dziewczynki. Adam podziela mój gust co do dziewczynek, choć w ogólności zgadza się z tym jakimś panem, który mówił, że dzieci najmiłsze są wtedy, kiedy płaczą, to jest gdy je wynoszą z pokoju.

PRZEDRUK ZA: A. E. Odyniec, *Listy z podróży. (Z Warszawy do Rzymu)*, t. 2, Warszawa 1875, s. 69.

## Telasko

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

Ta zaś dama, przy której ja właśnie siedziałem, jest to pani hrabina Moszyńska, wdowa po jakimś dygnitarzu dworu saskiego, z czasów W. X. Warszawskiego. Córka jej z pierwszego małżeństwa, panna Teresa Łopuska, cud doskonałości, jak mówią, pod względem rozumu i serca, tak umiała pozyskać przyjaźń dwóch rówieśnych sobie xiężniczek (córek xięcia Maxa), że gdy te wyszły za mąż za dwóch braci W. Xiążąt Toskańskich, ściągnęły ją na dwór swój do Florencji jako przyjaciółkę. Z nią razem przybyła i matka. Ale gdy córka jej wkrótce wyszła za mąż za barona de Bock, Inflantczyka, i wraz z nim zamieszkała w Szwajcarii, pani M. nie chcąc, jak mówiła stawać się zależną, od zięcia, osiadła sama w Rzymie, i stała się nie tylko zależną, ale prawie niewolnicą – czyją? oto psa faworyta, obrzydliwego kudłatego szpica, który mię najokropniej przestraszył. Zaledwo bowiem usiadłem koło niej, czuję, że mię coś dotyka do nogi. Spojrzę – i omal nie krzyknąłem z przestachu, myśląc że sowa siedzi mi na nodze. A był to łeb tego potwora, który się spod nóg swojej pani wysunął i pysk oparł na nodze mojej. Panienki się roześmiały, ja się zawstydzilem, a reparując się jako tako, napomknąłem z lekka o sowie, którą, jako godło mądrości, sadzą zwykle u stóp Minerwy. Pani hrabina przyjęła to wdzięcznie – chociaż komplement nie mógł być fałszywy. *Telasko* wprawdzie (tak się zowie ten potwór), ma być mędrceem psiego rodzaju, ale co mądrość jego pani – to pozał się Boże! Pomieściłby ją chyba obok pobożności owej dewotki, o której biskup Krasicki w swojej bajce powiada:

„Uchowaj Panie Boże takiej pobożności!”

A przecież rozumu jej nie brak. Ocytana, bystra, dowcipna, posiada wszystkie warunki miłej towarzyskiej rozmowy; ale że się *Telasko* bez niej w domu nudzi, więc się ona, przez wzgląd na niego, towarzystwa ludzkiego wyrzekła, i bywa tylko u państwa

Ankwiczów, bo mieszka w tymże samym domu na górze, i Telasko jest zawsze z nią razem. I trzebaż, że ta właśnie jego obecność pozbawiła nas przyjemności słyszenia śpiewu xiężny lzy. Xiążę Radziwiłł w imieniu towarzystwa już miał prosić ją o to, gdy panna Henrietta z przestachem uprzedziła go, aby tego nie czynił; Telasko bowiem tak nie cierpi i nie znosi muzyki, że niezawodnie zacząłby szczekać i wycić pod kanapą. Toteż i pani jego, znakomita jakoby muzyczka, całkiem dla niego zaniechała swego talentu. Sądz więc z tego o jej mądrości – a może i o dziwactwach serca ludzkiego.

PRZEDRUK ZA: A.E.Odyniec, *Listy z podróży*. (Z Rzymu), t.3, Warszawa 1885, s.36–37.

## Psia krew

Weterynaryja popularna, J. N. Kurowski, 1840

### § 232 O puszczeniu krwi

Psom puszcza się krew z żyły podskórnej, leżącej na wewnętrznej stronie goleni. Tym celem, za pomocą lancetu, trzymanego w ręce prawej, pomiędzy palcem wielkim a wskazicielem, przekłuwa się podłużnie wspomniona żyła, około dwu cale nad stawem skokowym. Ma się rozumieć, iż poprzednio z miejsca tego, należy włosy najniżej przystrzyc.

Dla tym większego nabrzmienia żyły potrzeba na półtora cala nad wspomnianym miejscem, z którego krew się ma puścić, żyłę przycisnąć wielkim palcem i wskazicielem lewej ręki, lub też w tym miejscu nogę obandażować.

Po upuszczeniu dostatecznej ilości krwi, a mianowicie, psu średniej wielkości najmniej jedną kwaterkę; większemu nieco więcej, a mniejszemu stosunkowo mniej, odsuwają się palce lewej ręki, lub też się bandaż odejmuje. Aby zaś krwiotok nie nastąpił, rana żyły podobnie jak to powiedzieliśmy co do koni, zapina się śpilką; rozumie się stosunkowo mniejszą i cieńszą, i włósiem lub niciami zawija. Po upływie 24 godzin takowa się wyjmuje.

Dla większej ostrożności, po uskutecznionej operacji, zakłada się psu na mordę kaganiec i zostawia przez kilka godzin, aby szpilki nie zdołał zębami wyciągnąć.

Zawłoki i apertury dają się psom podobnym sposobem, jak to zostało opisanem, przy koniach; ma się rozumieć stosunkowo mniejsze.

PRZEDRUK ZA: *Weterynaryja popularna. Nauka poznawania i leczenia chorób zwierząt domowych wyłożona w sposób każdemu przystępny podług chlubnie znanych lekarzy weterynarii, Haubnera, Hertwiga, Kreutzera, Wagenfelda, Rohlwesa, Veitha, i wielu innych, przez J. N. Kurowskiego*



wspólnie z lekarzem weterynarii, w kraju naszym od wielu lat praktykującym. Z dziesięcią tablicami rycin w Warszawie, nakładem Aug. Emmanuela Glücksberga, księgarza przy ulicy Miodowej, n. 497. pod filarami, 1840, s. 467–468.

## Gołębie na placu świętego Marka

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

[...] Pałac Dożów, który obok kościoła Ś-go Marka, wspaniały, pusty, ciemny i milczący, zdaje się być cmentarnym pomnikiem dawnej wielkości i chwały Rzeczypospolitej Weneckiej, której zwycięskie sztandary rozwijały się tu kiedyś nad tym placem, ze szczytu trzech olbrzymich masztów, zatkniętych w trzech olbrzymich brązowych podstawach, mających wyobrażać trzy niegdyś hołdowne Wenecji królestwa: Morei, Kandii i Cypru, a na których dziś tylko siadające ptaki Cyprydy, to jest gołębie, nie są nawet dla niej (to jest dla Wenecji), symbolem pokoju, a tylko żalosnym gruchaniem wtórują cichym westchnieniom ich synów.

Ale nie myślcie, proszę, że wzmianka o gołębiach jest tu tylko naciągniętą poetyczną figurą. Gołębie są integralną częstką i jedną ze specjalnych osobliwości placu Ś-go Marka. Pierwszego dnia po przyjeździe byliśmy tu około godziny drugiej, gdy nagle, z wybiciem jej na sławnej i wspaniałej wieży zegarowej, usłyszeliśmy tak dziwny jakiś szum, świst, grzmot, łoskot, coś tak nadzwyczajnego, a tak raptem napełniającego powietrze, że drgnęliśmy jak na wystrzał armatni, a to tym bardziej, że w tejże chwili jakaś także szczególna ciemność, jak cień słonecznego zaćmienia, rozciągnęła się w górze ponad nami i padła na błyszczący ciosowy bruk placu. Patrzym, aż tu nad całym placem jakby namiot skrzydeł gołębic; nie setki ich, nie tysiące, lecz krocie, lecą zewsząd jak huragan, jak chmura, i jedne nad drugimi, w słup od dołu do góry, jak komary kiedy mak tłuką, tłoczą się w jeden kąt placu. Jezus Maryja! co to się ma znaczyć? Przypomniał mi się *Twardowski* pana Tomasza, po którego ze wszech stron w jego balladzie: „kruki, kruki, kruki lecą”. Chwała Bogu, że tu gołębie nie kruki; bo choćby nawet porwały, to już chyba do nieba. Aleśmy się dowiedzieli na koniec, że to jest zwykły codzienny spektakl na tym miejscu. Wenecjanie od niepa miętnych czasów mieli szczególną sympatią i respekt dla gołębi.

Przejęli to podobno ze Wschodu, a mianowicie z Persji, z którą byli w handlowych stosunkach. Niegdyś był osobny urzędnik do żywienia ich kosztem rządu; teraz opiekę Rzeczypospolitej zastąpiła hojność prywatna. Bogacz jakiś przed laty trzydziestu, nie wiem czy ciepłą, czy stygnącą ręką, ale zapisał dla nich tak znaczną sumę, że procent bankowy od niej wystarcza na zakupienie co dzień, przez rok cały, tyle grochu, pszenicy i gryki, że żaden z tych tysięcy skrzydlatych gości nie musi stąd powracać tak głodny, jak ja nieraz z pańskich wieczorów w Warszawie; bo choć który nie dopadnie do ziemi, to może sobie żerować na grzbietach niższej warstwy towarzyszy, tak, jak na nim żerują wyżsi. Zboże albowiem z okna najwyższego piętra, jakoby pasmem kaskady, sypie się z góry na ten słup skrzydlaty, i przez pióra ich jak przez sito, ruchem ich skrzydeł przewiane, spada dopiero na ziemię. Zresztą, choćby tu który nie dojadł, może znaleźć wynagrodzenie pod oknami i drzwiami domów, na ulicach, gdzie i gospodarze, i służdy w pewnych godzinach dnia wysypują okruchy lub ziarna, przeznaczone na traktament gołębi, które nasycone dopiero, stadami odbywają *siestę* na dachach, kopyłach, wieżach i krzyżach kościelnych, albo jak u nas jaskółki, pod sklepieniem pałacowych krużganków, gnieźdzą się sobie i bujają swobodnie, jak gdyby były wszędzie w gołębniku swoim.

PRZEDRUK ZA: A. E. Odyniec, *Listy z podróży. (Z Warszawy do Rzymu)*, t. 2, Warszawa 1875, s. 156–158.

## Białe myszki

Gabriela z Guntherów Puzynina (1815–1869)

W kazamatach żyli oni samotnie, to jest po jednemu, bez książek, źle karmieni, z ciągłą tęsknotą za swoimi, z odgłosem dzwonów za jedyne echo od świata, z kawałkiem nieba u kraty wysokiej za jedyne widok, z gołębiami, a nawet krukami za całe towarzystwo, z którymi dzielili też nędzną więzienną strawę. W Warszawie wolno im było siedzieć po dwóch; dozwolono książek, których im dostarczali miastowi obywatele; nie broniono lepszej strawy za swoje pieniądze: ale bez ruchu, bez powietrza nie wyszło im to na dobro, przechorowali wszyscy. Każdy z nich prawie przywiózł jakąś pamiątkę, nawet żywą. Pan Römer całą familijkę białych myszek, które przyłaskawił był w więzieniu i nie miał serca jej porzucić.

PRZEDRUK ZA: G. z Guntherów Puzynina, *W Wilnie i dworach litewskich. Pamiętnik z lat 1815–1843*, wyd. A. Czartkowski i H. Mościcki, Wilno [1928], s. 121.

## Konie i psy na spacerze

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

Jak niegdyś Sztuartowie, Wazowie, Sobiescy, których tu groby po kościołach widuję, osiadali na dewocji w Romie, aby na gruzach tronu tej „królowej świata”, medytując o znikomościach jego, łatwiej mogli o stracie własnych koron zapomnieć: tak dziś matka i krewni byłego Cesarza Rzym też sobie za przytułek obrali. W liczbie tych ostatnich jest były król Westfalski, Hieronim, i była królowa Holenderska, Hortensja Beauharnais, córka Józefiny, a żona Ludwika Bonapartego, wraz z dwoma swoimi synami: Napoleonem-Ludwikiem i Ludwikiem-Napoleonem. O synach tych powiem najpierwej, bo i sam co dzień prawie ich widzę, i aż mi uszy wędzną, tak co dzień słyszę o nich rozmaite sądy i zdania. Sławni są bowiem w Rzymie – ale z czego? Oto z cygańskiego jakiegoś upodobania w koniach i popisywania się nim na ulicach. O każdej porze dnia można ich widzieć na *Corso*<sup>1</sup>, to razem, to pojedynczo; to konno, to w rozmaitych powozach i powozikach, to na dwóch, to na czterech kołach; to z dżokejami, to bez nich; to z furmanami na koźle lub z tyłu, to powożących samych siebie; słowem, jak gdyby jakichś deputatów z cyrku, dających próbę spektaklu, na który chcą publiczność zachęcić. Jedni się z tego gorszą, drudzy śmieją, ale z tej właśnie przyczyny wszyscy co dzień gadają o nich.

Współzawodnikiem ich do tego rodzaju sławy jest jakiś bogacz Anglik, siwy już i poważny z pozoru, ale widać oryginał i dziwak, chcący się excentrycznością odznaczyć. Mieszka w jednym z najpierwszych hotelów na tak zwanym Placu Hiszpańskim (*Piazza di Spagna*), i co dzień o godzinie czwartej daje tam z siebie widowisko *gratis*, nie tylko ulicznikom rzymskim, ale i wielu ludziom porządnym, którzy się na nie zbierają. Ledwo albowiem czwarta godzina uderzy, otwiera się brama hotelu, i wyjeżdża z niej najprzód

---

<sup>1</sup> Corso – centralna ulica Rzymu.

czterech galowo ubranych *dżokejów*, w ponsowych axamitnych kurtkach, na pięknych angielskich koniach, i szykuje się po dwóch przed bramą. Wtedy dopiero zaczyna z niej wychodzić istna trzoda psów gończych, pstrokatych, posforowanych, po dwie sfory w rzędzie, a jest ich w ogóle sfor osiem. Na koniec, w ślad za nimi, ukazuje się z bramy sam ów Nemrod, na przepysznym arabskim koniu. I że- byż jechał przynajmniej na polowanie! ale gdzie tam! Jedzie, ażeby przeprowadzić psów swoich na spacer, który jest im do zdrowia potrzebny. Jeden z dżokejów poprzedza ten orszak; dwóch, z hara- pami w ręku, strzeże go po bokach; czwarty jedzie z tyłu za panem. I trwa ten spacer około dwóch godzin, tak, że zawsze około szóstej mnóstwo ludzi stoi znowu na placu, aby się powrotowi tego grona przypatrzeć. Pomimo wielkiej mojej ciekawości nie mogłem dotąd dowiedzieć się z pewnością, kto jest ten: czy *gentleman*, czy *esquire*<sup>2</sup>, czy *milord*, i co on tu właściwie z tymi swymi psami porabia? Ale jest on, jak powiedziałem, pod względem excentrycznej śmieszności, drugim tomem młodych Bonapartych; o których zresztą powiadają, że wiodą rej pomiędzy liberalną młodzieżą rzymską i mają wziętość u ludu z powodu swojej hojności, a może i tej nawet oryginalności, która do włoskiej wyobraźni przemawia.

PRZEDRUK ZA: A. E. Odyniec, *Listy z podróży. (Z Rzymu)*, t. 3, War- szawa 1885, s. 45–47.

---

<sup>2</sup> Esquire (ang.) – Szanowny Pan.

## Polowanie na lwy

Ignacy Domeyko (1802–1889)

Na nizinie przy rzece chałupa krowiarza, strażnika trzód, z poczeriałego sitowia i gliny ulepiona, przy niej pod słomianą strzechą, na czterech nieociosanych kołach opartą, siedziała gromada dzieci i psów; tuż mały warzywny ogródek, a na płocie wisiało dziesięć dużych głów lwich wysuszonych i tak dobrze zakonserwowanych i jakby żywych, z wytrzeszczonymi zębami, że tylko im oczu brakowało. Kupiłem z nich jedną, największą, na podarunek dla Mickiewicza<sup>1</sup>.

Było to mieszkanie wekiera (vaqueros), to jest krowiarza, dogładcza trzód pańskich, pasących się w tych górach. Vaquero nie był w domu, wyjechał był z katabasem (to jest namiestnikiem) w góry dla obcinania kopyt koniom i mułom. Jest to czas, w którym wakiery zapędzają trzodę w wyższe strefy Kordyliarów, prawie pod samą granicę topniejących lodów, gdzie pomimo letniej posuszy utrzymuje się jeszcze trawa, po większej części trawa gruba, soczysta. Tam między skałami odrastają i twardnieją kopyta i nie potrzebują podków. Niech też nie sądzi który z naszych gospodarzy, że tu pasterze czy po prostu nasze pastuchy idą za trzodą i pilnują bydła. Ogromna na kilka mil Kordyliera jest jakoby wielka zagroda czy chlew, bez wrót, bez płotów; bydło i konie na wolności pasą się i nocują pod gołym niebem, nie potrzebują słomy na pościel ni żłobów, ni drabiny; same szukają dla siebie żywności po parowach, pną się na wyżyny, do których by nie zdążył najodważniejszy góral, a z nadejściem zimy, choć nie mają kalendarza, same powoli schodzą na doliny, opasłe, z cielętami, źrebiętami. Na dziesięć tysięcy sztuk bydła i koni należących do tego majątku nie masz może więcej jak kilku wakiarów. Tylko kiedy czas przychodzi

---

<sup>1</sup> Głowa lwa nigdy nie dotarła do Mickiewicza, a korespondencja między poetą i mineralogiem świadczy o tym, że musiały utknąć gdzieś między kontynentami.

do spędzania trzód w opłoty, do oddzielania sztuk na karm, na sprzedaż i na użytek domowy, do znaczenia młodego pokolenia, przychowu, zjeżdża kilkadziesiąt do sta inquilinos (czynszowników) na dobrych koniach, z arkanami i wyprawiają tak nazwane rodeo, o którym na później.

Vaquero, gospodarz tej chaty, miał sławę myśliwego na lwy; lubił polowanie, a do tego właściciel majątku płacił mu za każdego zabitego lwa dziesięć piastrow, bo te zwierzęta są gorzej niż u nas wilki. Gromada psów, tak nazywanych leoneros, leżała z dziećmi i kobietami pod strzechą, gdzie też była kuchnia i parę garnków kipiało na żarze. Nie sądźcie, żeby to były psy ogromne albo zażarte jak buldogi angielskie, albo tak zwinne, lekkie jak nasze charty, dobrze tuczone i dogładane, choć tymi tylko psami vaquero upolował owe dziesięć głów zawieszane na płocie, a dwadzieścia czy trzydzieści lwów łowi i zabija.

Nie bierze on z sobą na polowanie i nie ma w domu ani strzelby, ani rewolweru, nie traci grosza na proch. Psy niewielkie, chude, białe, podobne do naszych zwyczajnych podworotników<sup>2</sup>; szczekają na przychodnia i łaszą się, nie gryzą się między sobą. Vaquero, kiedy wyjeżdża na łowy, bierze ze sobą tylko arkan (lazo), torbę z prażoną mąką pszenną na żywność dla siebie; nakarmi raz dobrze psy i jedzie powoli, stępo w góry, gdzie z doświadczenia wie, że się skradają nocami lwy do bydła. Ma wzrok orli na wielką odległość i lepszy jeszcze na wytropienie lwa, za którym – jak na innym miejscu powiedziałem – idą opodal w ślad lisy jakoby słabsze marudery za silnym rabusiem. Dziesięć, niekiedy tuzin psów idzie za nim powoli lepszą ścieżką, bo dróg tu nie masz; nie odbiegają na prawo, na lewo, posłuszne rozkazom wakiera, nie tracą niepotrzebnie sił na łowienie lisów lub spłoszonych ptasząt. Gdy który odbieży, zawoła nań myśliwy, pogrozi.

Skoro obaczy ślad lwa, zaraz odgadnie, jak dawno przeszło tędy zwierzę i jak daleko być musi. Idzie w trop, nie śpieszy się

---

<sup>2</sup> Podworotnik (ukr.) – pies podwórzowy.



i za nim potulne psy, strzyżą uszami, ruszają ogonem, ale patrzą na pana, skowyczą, już rade, że mają nieprzyjaciela. Zdarza się, że od świtu do wieczora idzie w ślad, w ślad za lwem vaquero, aż go zoczy. Lew z natury swojej idzie też powoli, idzie parowami i rozpadlinami między skały, okrążając miejsce, gdzie się zbiera na spoczynek bydło lub na osobności pasie się nieostrożna krowa czy mulica; zaczają się, podłazi, aż mając już na oku zdobycz, rzuca się błyskawicą i szarpie.

Dlatego jadąc nawet stępo<sup>3</sup>, a od czasu do czasu małym truchtem, pewien jest myśliwy, że nadybie szkodnika. Skoro go spostrzeże, nie spuści z oczu, ale zatrzymuje, jak może, przy sobie psy, aż podjedzie o dobrą staję od lwa i jeszcze stara się hamować ich popędliwość, nie tak jak nierozważnie uczynił ów wódz pod Bałakławą, co o pół mili puścił w galop swoich dziarskich dragunów na nieprzyjaciela i zmordowanych przed czasem zostawił na placu tyłu gentleman[ów].

Lew pospolicie nie ucieka, pnie się w górę; vaquero z psami stara się go wyprzedzić i zwrócić do parowu; lew strzela oczami na dobiegającą psiarnię, przypiera się do skały, żeby zabezpieczyć sobie kark i plecy, a z otwartymi chrapami i paszczą, a wyciągniętymi pazurami czeka, staje do boju. Tu poczyna się zajadła walka.

Żeby odciągnąć od skały i wyprowadzić w pole żarłoczne zwierzę, podbiega do niego i odskakuje, szczekając i skowycząc, najmłodsze ze zgrai; doświadczeńsze, co już były w obrotach, odszczekują z daleka, zdają się podszczuwać niecierpliwych, a za nimi nieporuszony jak kamień vaquero. Niejedno młode psisko w tym spotkaniu ginie skrwawione od lwich pazurów. Za nimi zręczniejsze, silniejsze bliżej podłazą, drażnią do złości, do szaleństwa doprowadzają ośmielonego pierwszym tryumfem lwa, który już się poczyna dąsać, ryczeć przeraźliwie i rzuca się na te, które mu najbardziej dokuczały. Wtenczas reszta korpusu zabiega mu z tyłu, odepchnięty od skały ucieka i tu już jego zguba, a tryumf wakiera.

---

<sup>3</sup> Stępo, stępa – najwolniejszy chód konia.

Pędzi za zwierzem cała zgraja psów pokrwawionych i za nią myśliwy z dobytym arkanem. Zatrzymuje się raz i drugi jeszcze lew i staje do boju, ale nie ma czasu wybierać bojowej pozycji. Biada mu, jeżeli się zapędzi za którym z ogarów, bo w tym momencie najsilniejsze i najłżejsze psisko wskakuje mu na kark i zapuszcza kły pod uszy. Za nim wskakuje inne i osadzają zwierzę. W tej jeszcze chwili pada niejeden pies trupem, aż siły lwie ustają, i wtenczas kolej na vaquera; czeka on tylko, aż broniąc się od psów wyciągnie na moment szyję już dobrze poraniony i osłabiony lew, i zarzuca nań swój arkan. Przyduszone tym arkanem zwierzę bardziej słabiej; wyciąga tylko łapy i pazury, ażeby pochwycić którego z nieprzyjaciół. Na próżno; uchwyciwszy arkanem za szyję lwa, vaquero ścina ostrogami swego konia i uchodzi, włącząc za sobą pokonanego bohatera, aż mu już oddechu nie staje. Wtenczas złazi z konia vaquero i nóż swój ogromny, dobrze zaostrzony zapuszcza mu w gardło.

PRZEDRUK ZA: I. Domeyko, *Moje Podróże (pamiętniki wygnańca)*, t. 2, przygotowała do druku, opatrzyła przedmową i przypisami E. H. Nieciowa, Wrocław-Warszawa-Kraków 1963, s. 368-370.

## Leonero

Ignacy Domeyko (1802–1889)

Pan Gallardo, pierwiej niż wyszedł na dyrektora górnictwa i inżyniera dróg, był za młodszych lat leonero, to jest myśliwym na lwy, i to mu dało powód do długiego wywodu o lwach, o polowaniu na lwy, a widać było, że nie wymyślał zwyczajem naszych myśliwych i warto było zapisać, co mówił, gdyż później miałem od drugich potwierdzenie tychże samych szczegółów.

Leonero mieszka w górach, samotnie, tylko z psami, których zaprawia do swego rzemiosła. Nie zna strzelby, tylko ma dobrego konia, dwie ostrogi, worek z prażoną mąką na żywność u siodła i ostry, śpiczasty nóż za pasem. Jego psy, zazwyczaj chude, białe, nie większe od psów pijawek, podobne do zwyczajnych naszych podwrotników, tylko łapy mają twarde, nie napadają na ludzi. Leonero jedzie po górach z wolna, za nim pięcioro, a niekiedy więcej psów; zagląda w parowy, patrzy w ziemię, czy nie spostrzeże tropu lwiego, strzela oczami po skałach, śledzi lot kondorów, czy nie zlatują w jakie miejsce, gdzie by leżał świeżo poszarpany od lwa tułów wołowy, a psy idą też powoli, nie marnują na próżno swoich sił i odwagi. Zna on dobrze przesmyki, zna dobrze lwią naturę; nie jedzie na oślep, a jego wzrok, jak w powszechności wszystkich góralów, jest ostry, donośny na wielką odległość. Gdy dojrzy ślad, już nie masz dla niego urwisk ni przepaści; jedzie w ślad, wstrzymuje psy groźnym, dzikim wejrzeniem, a skoro raz zoczy zwierza, już go nie spuszcza z oczu, jedzie za nim milę, dwie, trzy, cały dzień, przyspiesza nieco kroku; lew ogląda się, nieskory do ucieczki z wolna uchodzi, a w końcu zatrzymuje się, jak gdyby dla zagrożenia, dla pokazania, że się nie boi. Puszczą natenczas psiarnię leonero i w galop za nią. Otaczają lwa psy, szczekają, ale nie śmielą przybliżyć się; gdy który z nich postąpi naprzód, a lew go osiągnie łapą, już po psie; drażnią go tylko z przodu i odskakują, a tymczasem silniejsze i te, co już były w obrotach, zachodzą z tyłu. Walka niekiedy

trwa długo; leonero opodal, z arkanem w ręku, podjudza psy, aż w końcu rozjuszony lew rzuca się na psa, który mu najbardziej dokucza, i w tym momencie te, które czatowały z tyłu, rzucają się, wskakują mu na kark i wpijają się w skórę. Bywa, że się otrząśnie jeszcze skrwawiony lew i rozedrze w mgnieniu oka najsilniejszego ogara, dąsa się jeszcze z przygniecionymi pod sobą psami, pławi się we krwi, ryczy, szaleje; wtem podbiega leonero, zarzuca mu na szyję arkan, przydusza i dogorywa na skale rozciągnięte zwierzę. Leonero odcina natychmiast głowę, bo za każdą świeżą głowę lwa hacendado<sup>1</sup> płaci gratyfikacji dziesięć piastrów, odcina pazury i zdziera skórę na sprzedaż.

Zdarza się też, że stary, wytrawny lew pokaleczy wszystkie psy, wiele trupem położy i rzuca się na leonero, który go ująwszy swoim lazo (arkanem) ciągnie za sobą, koląc ostrogami konia i uchodząc jak może koń wyskoczyć. Wtedy, jeżeli dzikiemu zwierzęciu siły starczą, dogoni jeszcze, wskoczy z tyłu na konia, leonero do noża – i toczy się walka niebezpieczna dla myśliwego; jeżeli nie dogoni, to wieść niesie, że z rozpaczny zapuszcza pazury w ziemię, upiera się i sam zadusza.

Lew jednak tutejszy, puma, nie jest – jakem już powiadał – jak afrykański, nie ma grzywy, a z pyska, z kształtu, wielkości i koloru bardzo podobny do lwicy afrykańskiej, choć nieco mniejszy. Nie porywa się na ludzi, nawet głodny, i mówią, że tchórzliwy, ale się go wielce boją zwierzęta i ma swoje kaprysy, którym – jak powiadał Gallardo – nie życzyć dowierzać. Na dowód przytoczył mi następującej] zdarzenie.

Jeden górnik, barretero z Illapel, spotkał lwa w Kordylierach i zląkł się; począł uchodzić. Poznał lew, że trafił na tchórze, i szedł powoli za nim. Zatrzymał się górnik i lew się zatrzymał; popatrzyli na siebie, zmierzyli się okiem. Znowu szedł dalej barretero silny i dobył noża, lew za nim. Daleko jeszcze było do domu, a lew coraz się bardziej przybliżał i zdawał się oswajać z surowym wzrokiem

---

<sup>1</sup> Hacendado (hiszp.) – właściciel majątku.

górnika, który też powoli oswajał się z dzikością zwierzęcia. A mój minero był sławny ze swojej siły, nie było olbrzyma, który by mu dotrzymał. Nie zostawało mu, jak przyjąć pojedynek, póki mu jeszcze sił stawało. Podchodzi lew, rzuca się, a górnik, przyjąwszy go lewym ramieniem obwiniętym w swoje grube pończo (płaszcz, opończa), zapuszcza nóż pod gardło. Poszli w zapasy, a bój tak był krwawy, zacięty, długi, że upadając na siłach, puścili jeden drugiego i czołgając, kulejąc rozeszli się zjuszni. O zmroku dowlókkł się górnik do chaty pobliskiego krowiarza (vaquero) i w parę dni umarł. Po śladzie krwi doszli ludzie na miejsce boju, a nieco dalej znaleźli lwa zdechłego, poprutego nożem górniczym.

Jadący z nami compadre (kum) pana Gallardo, człowiek też podżyły i poważny, powiadał nam swoje przygody.

„Spotkałem razu jednego lwa w wąwozie, między skałami; nie wiem, co mi się stało, byłem jak umarły, nie władałem ręką ni nogą, a lew patrzył mi w oczy. Chciałem krzyknąć, nie mogłem. Pot zimny wystąpił na czoło, nogi stygły, dreszcz przechodził po grzbiecie, język przysechł do podniebienia, stałem jak kamień. Westchnąłem do Boga, poleciłem się Najświętszej Pannie i czekałem śmierci. Aż wtem poczęło bić serce jak młotem i zdobyłem się na siły, żeby dobyć głosu, a z natężenia tak krzyknąłem, że o mało nie pękło gardło, skały dokoła krzyknęły jeszcze przeraźliwiej. Lew uciekł, a ja ledwo siły miałem wrócić do domu i mocno zachorowałem”.

Powiem też i ja, co mi się przytrafiło. Korzystając z wakacji pojechałem z czterema uczniami w Kordyliery, położone o trzydzieści mil mniej więcej od Coquimbo, i dotarłem aż do ich grzbietu, drogą wiodącą do San Juan. Andy chilijskie mają tu do 5 tys. m wysokości n.p.m. Nie masz w nich lasów ni wielkich zarośli; co żyje z rośliny, kryje się po głębokich parowach najeżonych kaktusami pospolicie i usłanych lichą krzewiną. [...]

Owoż o świcie, kiedy arriero ze służącym poszli ze swoimi lazo do spędzenia z paszy i uwiązania koni, zdziwili się, widząc, że konie i muły rzucały się przelęknione, parschały z podniesionymi uszami i uciekały. Zoczyli prędko, że poza górą, między kaktusami,

skradała się do nich potężna lwica. Zrazu nie pojmowali, czemu to zwierzę nie bieгло, nie pędziło za końmi, jak zwykle, jakby się obawiało, a tylko podkładało się i spostrzegłszy ludzi poczynąło uchodzić. Poznali zaraz i przekonali się, że lwica kuleje. Puścili się za nią, dognali, ujęli ją we dwa lazo, tak że natychmiast przyduszona, ze złamaną tylną nogą, nie mogła rzucić się na żadnego z nich. Mogliby ją na miejscu zamordować, ale przez grzeczność dla nas umyślili przyprowadzić na swoich arkanach to zwierzę do nas i wyprawić nam przyjemną krotochwilę. Jakoż przyciągnęli lwicę na miejsce, gdzie jeszcze leżeliśmy, niezupełnie ocuceni z porannego snu. Widok był w istocie interesujący. Była to lwica stara, ogromnej wielkości, mało co mniejsza od afrykańskiej, którą byłem często oglądał w Ogrodzie Botanicznym paryskim. Przez pół godziny pasowała się ze śmiercią, a było w istocie coś uroczonego w jej skonaniu; muły i konie ciągle rzucały się jak szalone, a dwaj służący przyciskali swoimi arkanami gardło lwicy; w końcu rozwarło dzikie zwierzę swoje wielkie, piękne oczy ku nam, a ich źrenice poczęły mienić się w przepyszne kolory tęczkowe, najprzód czerwone, potem szare, błękitne, a w końcu pociągnęły się jakimś tłem żółtawym, paliowym, łzawym i zamgliły się.

PRZEDRUK ZA: I. Domeyko, *Moje Podróże (pamiętniki wygnańca)*, t. 2, przygotowała do druku, opatrzyła przedmową i przypisami E. H. Nieciowa, Wrocław-Warszawa-Kraków 1963, s. 273-276.

## Polowanie na susły

Ewa Felińska (1793–1859)

Książę miał upodobania stosowne do wieku swego: lubił konie, przejażdżki, zajmowało go bardzo wygubianie suseł wokoło Nieświeża, i tym się zajmował osobiście z wielką gorliwością.

Książę Karol kazał sprowadzić w dawnych czasach dwie pary suseł z Ołyki, i kazał je puścić do zwierzyńca utrzymywanego w Albie koło Nieświeża. Że nie było suseł na Litwie, sprowadzone były dla osobliwości, ale ta osobliwość w następnych latach tak się rozmnożyła, że stała się klęską okolicy. Najpiękniejsze obszary pod samym miastem leżały odłogiem, bo rolnik siał nie dla siebie: skoro zboże miało się ku dojrzwaniu, suseł, wyłaząc po słomie, ścinał kłos u samego wierzchołka i chował go do swojej nory dla pożywienia, a że ilość tych zwierzątek zrobiła się bardzo wielka, na zasianym polu, gdy przychodziło do zbioru, zostawała tylko słoma bez kłosów. To tak zniechęciło właścicieli ziemi, że woleli całkiem zaniechać uprawy, gdzie susły gospodarowały.

Był tylko jeden sposób przeciw tym szkodnikom, zbyt małym i licznym, aby mogły być przedmiotem polowania, tym bardziej, że mieszkając w ziemi jak myszy, miały bezpieczne warownie, do których w niebezpieczeństwie się chronili. Oto trzeba było napełniać ich nory wodą, póki mieszkańcy tych nor z całym swym gniazdem nie zostali zalani i na wierzch nie spłynęli. Takiemu to polowaniu na susły książę oddawał się z gorliwością. Wprawdzie praca księcia mały skutek wywierała w porównaniu z wielką ilością tych stworzeń, ale była zabawa i zajęcie. W późniejszych latach z rozkazu rządu spędzano ludzi z obcych powiatów do wylewania suseł, jakoż część pól miejskich została od nich oswobodzona.

Często myślałam nad tym, dla czego u nas, na Wołyniu, gdzie suseł dosyć, i nikt nie poluje na nie, one nie są tak groźne i niebezpieczne, jakimi się pokazały na Litwie. Wprawdzie uważałam nie raz kłosa pościnane, ale ta mała ilość była mało znaczącą w miarę zbioru.

Rozmawiając raz z pewnym gospodarzem uważnym i roztropnym w tym przedmiocie, on zrobił postrzeżenie, które mi się wydało trafnym. Mówił, że susły nigdy się nie gnieźdzą na roli uprawnej, to jest poruszanej pługiem czy też sochą, ale szukają obłogów: jakoż, najwięcej można ich widzieć ponad drogami, po miedzach lub kawałkach pola porzuconych odłogiem.

Odtąd zaczęłam sprawdzać to postrzeżenie i przekonałam się, że prawdziwe; z czego wnoszę, że gdyby nieświeżcy mieszczanie, zamiast puszczania pól swoich obłogiem, przeciwnie zasiewali je wszystkie, prędzej by wygubili susły niż wylewaniem wodą: tylko trzeba by się starać, aby kawałków niezasiewanych wcale nie porzucać między polami pozasiewanymi.

PRZEDRUK ZA: E. Felińska, *Pamiętniki z życia*, seria 1, t. 2, Wilno 1856, s. 98–101.



## Wyścigi koni

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

Zaczyna się akt drugi codziennej zabawy: wyścigi koni (*Corso dei cavalli*), samemu tylko Rzymowi właściwe, i różniące się całkiem od wyścigów zwyczajnych, jakie się w innych krajach odbywają. Tam się jeźdźcy na koniach ubiegają do mety; tu same tylko konie, w zastępstwie Żydów, jak się rzekło wyżej, bawią chciwą widowską publiczność. Gdy za drugim wystrzałem z moździerza oddział konnych żandarmów trzykroć w największym pędzie przeleci ulicę i przekona się, że wszystkie zawady uprzątnione zostały: powrót jego na plac *del Popolo* jest hasłem do puszczania koni (*mossa dei cavalli*).

Na samym środku rzeczonoego placu wznosi się drewniany amfiteatr, o egipski obelisk oparty i czerwonym suknem okryty; miejsce najdroższe ze wszystkich. Przed nim w rząd ustawiają naprędce przeoryny<sup>1</sup>, wtykając je ostremi końcami do gotowych już w ziemi otworów. *Barbareski* (tak się zwą masztalerze z turecka ubrani) prowadzą po dwóch i czterech rżące i wspinające się konie, które z najlepszych stad wzięte, nie starsze nad lat trzy i całkiem niejeżdżone być powinny. Cała sierść popisana kredą, każdego swoim numerem; nad czołem ogromna kita z piór, u każdego w innym kolorze; mają nadto poprzywiązywane do boków kawałki cienkiej blachy lub złocistego papieru, którychby szelest straszyl je i naglił do biegu. Oprócz tego masztalerze, stojąc obok nich w przeorynach, biją je, kołają, smagają i krzyczą przeraźliwie, aby je jak można rozżarzyć. Za trzecim strzałem z moździerza dźwięk trąb daje hasło puszczania. Sznur wyciągnięty w poprzek ulicy – upada, i konie, raz jeszcze biczem zacięte, puszczają się jak szalone, ażeby uniknąć hałasu. Próżna wszakże nadzieja nieszczęśliwych zwierząt! trafiają z deszczu pod rynnę. Wszystko, co żyje na ulicy, krzyczy, gwizdże,

---

<sup>1</sup> Przeoryna – przedział w stajni dla konia.

klaszcze i macha rękami, używając wszelkich sposobów, aby ich przestraszyć i zapalać powiększyć; tak, że niekiedy, wbrew celowi, ogłupiałe i ogłuszone tym hałasem konie zatrzymują się nagle w pół drogi, mniej szybkemu, lecz obojętniejszemu ustępując pierwszeństwa. Z drugiego końca *Corso*, przed placem Weneckim, rozwieszane są płótna w szerokość całej ulicy; koń, co się pierwszy o nie uderzy, ogłasza się zwycięzcą i przynosi swemu właścicielowi nagrodę od 20 do 25 skudów, powiększającą się co dzień, i tak zwane *pallio*, to jest kawał szkarłatnego sukna, trofeum i drogą pamiątkę zwycięstwa. Przysądza je Senator, siedzący na wysokiej galerii, w towarzystwie kilku asesorów. Jeśliby kilka koni razem dobiegło do mety, żaden z nich nie bierze nagrody; pieniądze rozdają się na szpitale, a *pallio* zawieszają się w kościele Ś. Antoniego Opata, patrona zwierząt, gdzie je corocznie na processji, w dzień jego święta, obnoszą. Jak skoro konie przebiegły, tłum rozchodzić się zaczyna, śpiesząc spocząć po domach lub bawić się jeszcze w teatrach; gdyż nikomu już na ulicy znajdować się w masce nie wolno.

PRZEDRUK ZA: A. E. Odyniec, *Listy z podróży. (Z Rzymu)*, t. 3, Warszawa 1885, s. 228–230.

## Wyścigi u Kirgizów

Edward Ostrowski (1816–1859)

Obowiązki mojego urzędowania dłużej już nad parę miesięcy w podróży mi pozostawać nie dozwalały, potrzeba więc było koniecznie opuścić stepy, gdyż wiele jeszcze rzeczy do widzenia po drodze zostawało; wyjazd mój jednak nie mógł nastąpić przed odbyciem się tamecznych wyścigów konnych, bo nie wypadało mi nie korzystać ze zřęczności porównania ich z wyścigami naszej zachodniej Europy.

Wyścigi u Kirgizów, jako rodzaj narodowej zabawy, znane są od najdawniejszych czasów: uroczyste święta, wesela lub uczty magnatów kirgiskich nigdy się prawie bez nich nie obchodziły, dawniej jednak były one bardziej przedmiotem zabawy i rozrywki, a nie miały na celu, jak u nas, istotnego pożytku, służyły więcęj do popisu ze zřęcznością jezdcom podnoszącym w biegu rzuconą jaką monetę itp. niż dla pokazania rączyści i wytrwałości ich koni. Wyprawiający ucztę Kirgiz odznaczającego się nagradzał koniem, kilku baranami lub też pięknym kirgiskim kaftanem (czekmenem).

Wszystko to jednak nie wystarzało do obudzenia współubiegania się w ogóle i do ulepszenia w czymkolwiek hodowli koni: w roku dopiero 1849 zaprowadzone tu zostały prawdziwe już wyścigi konne pod opieką samego rządu: wyznaczono 5 nagród, od 5-ciu aż do 80 rubli srebrem, i to głównie przyczyniło się do podniesienia współzawodnictwa łakomych zwykle na pieniądz Kirgizów. Odtąd trzy razy do roku odbywają się wyścigi przy samej Stawce Chana, jedno podczas wiosennego jarmarku, drugie w czasie jesienno, a trzecie w dniach uroczystości zwanej Ramazam-Bajram. Przed każdymi wyścigami wielu Kirgizów przygotowuje do nich swe konie, przez tak zwane u nas trenowanie, które trwa nie długo, bo najwięcej 6 tygodni, a czasami skraca się do 4, 3, 2 i nawet do jednego. W tym czasie nie wypuszczają już konia na pastwisko, lecz dają mu siano i owies, zmniejszając stopniowo ilość siana,

a powiększając owsa, czasami zaś karmią samym tylko owsem bez siana i ilość jego stopniowo przed wyścigami zmniejszają; w każdym razie starają się podawać trenowanym koniom kilka razy na dzień pewną ilość świeżego mleka klaczy. W czasie trenowania codziennie pędzą konie na linkach lub też jeżdżą po kilka razy, z początku wolniej i krócej, a później coraz prędzej i dłużej do 10 lub 14 werst od razu<sup>1</sup>; przy tym z początku jeżdżą na koniach niczym nieprzykrytych lub też osłoniętych lekką płócienną derą, a później używają stopniowo dery coraz cięższej i coraz cieplejszej; nigdy ich jednak nie czyszczą, tylko powalanych od błota odmywają niekiedy wodą i wycierają wołokiem. W dzień wyścigów nie dają koniowi od samego rana żadnego zgoła posiłku, jeżdżą na nim powolnym krokiem lub prowadzą w rękę na miejsce wyścigów o takiej porze, aby koń miał przynajmniej parę godzin czasu do wypoczynku; tam nań wkładają lekkie jakie siodło i trzęzlę<sup>2</sup>, włosy mu na nadgrzywku, czyli na tak zwanej czuprynie, zwiążują sznurkiem w sterczący, do góry podniesiony pęczek (jak mówią, dla łatwiejszego rozcinania powietrza w biegu) i wsadzają młodego chłopaka, mającego mniej więcej od 10 do 12 lat, rzadko zaś starszego; chłopaków tych nie ważą wcale przed wyścigami, lecz każdy właściciel stara się o to, aby jego chłopiec był o ile można lżejszy, a sadzą ich na konie prawie zupełnie nagich, gdyż tylko w koszuli, bardzo krótkich płóciennych spodeńkach i z głową obwiązaną lekką chusteczką. Śmiesznie ci się zapewne wydają te stepowe kirgiskie żokeje, lecz spójrz na nich z bliska, jak każdy siedzi na koniu, zdaje się ćwiekami do niego przybity, wrośnięty; spójrz mu w oczy pełne stepowego ognia, zobacz, z jaką zręcznością, wprawą i energią umie użyć swojego bieguna, a zapewniam cię, że niczym przy nich będą wyuczone i wyważone wasze Jakobsony, Williamsy, Smity i Ify.

Dosyć będzie dla ciebie tych wstępnych przed wyścigami wiadomości, potrzeba już ci przedstawić same wyścigi, lecz jam pedant,

---

<sup>1</sup> Tzn. na raz.

<sup>2</sup> Trzęzła - uzda.

bo Professor, nie mogę nic opuścić z tego, com z góry powiedzieć zamierzył; wyobrażam więc sobie, że mówię to na lekcjach i nie zwracam uwagi, iż połowa znudzonych moich słuchaczy opuściła nudne szkoły naszej sale i miłego gdzieś używa w czasie przy fajeczkach i papierosach, albo może spaceruje po Uniwersyteckim ogrodzie, strzelając oczami na przechodzące tu i ówdzie Julcie i Anusie – nie zważam, ciągnę dalej tym samym tonem, bo godzina lekcji jeszcze się nie skończyła.

W roku 1855 święto Ramazan-Bajramu<sup>3</sup>, jako ruchome, przypadało przed samym jesiennym jarmarkiem, wyścigi więc ramazańskie odbyły by się chyba razem z jarmarcznymi; musiano je przenieść na inną uroczystość, to jest na święta *Kurban-Bajram*, przypadające 12/24 sierpnia; przed tym dniem i ja z wycieczek moich wróciłem do Stawki Chana, a wszystko, co się tam działo, chcę ci teraz opisać.

W dniu 11/23 sierpnia pod wieczor Kirgizy z różnych oddalonych stron stepów tłumnie się zbierać poczęli do Stawki Chana, lecz jeszcze nie na wyścigi, tylko na całonocne nabożeństwo w meczecie; o zmroku ponury muezin ogłosił wiernym z okien minaretu początek święta *Kurbanu*, a otworzone podwoje świątyni zaledwie cisnących się przepuścić były wstanie. Na całonocnym tym nabożeństwie wcale być nie mogłem, bo Meczet tak był przepełniony wiernymi, że dla mnie niewiernego i miejsca by tam się nie znalazło; przy tym, w tych czasach rozbiegły się po stepach wieści, że się tam błakają jacyś podpalacze, którzy i Stawkę Chana podpalić mają; wszystkie więc poczyniono ostrożności, a nawet na minarecie stał przez noc całą kozak uralski, który dla ostrzeżenia nas o mogącym grozić nieszczęściu miał polecenie dać ognia z broni. Rzeczy miałem tak upakowane, aby w przypadku nieszczęścia wynieść je jak najłatwiej było można. Przy podobnych pogroźkach bezpieczniej było nie udawać się do meczetu, lecz pozostać w domu. [...]

---

<sup>3</sup> Ramadan Bajram – święto dziękczynienia obchodzone w islamie na zakończenie ramadanu.

Na równym stepie za Stawką Chana, w stronie północno-wschodniej, w odległości wiorst kilku, znajduje się rodzaj obszernego, mniej od innych miejsc rozdeptanego wygonu; jest właśnie plac wyścigów, wymierzony przez zostających przy Prezesie Zarządu Topografów i tworzący czterowiorstowego obwodu dwunastokąt, w którego kątach powbijane są kołki, a w czasie wyścigów, przy każdym z tych kołków, postawiony bywa kozak uralski, będący zarazem i wyraźniejszym znakiem dla wyścigających się od małego kołka i dozorujący Kirgizów wszędzie i zawsze potrzebujących dozoru. Ogrodzenie placu wyścigów zbyt wiele by kosztowało w bezleśnych stepach, bez niego zaś, na tak obszernej przestrzeni, łatwo się współlubiegający dopuszczają mogą nadużyć, skracając sobie drogę lub co gorsza zatrzymując się, żeby dać koniowi wytchnąć i odzyskać siły do następnego biegu; wiedzieć ci bowiem potrzeba, że przestrzeń tę czterowiorstową obiec oni powinni pięć razy z kolei, bez najmniejszego nawet wytchnienia; bywają zdarzenia, że stojący gdzieś przy drodze interessowany jaki Kirgiz, widząc swojego konia ustającego w biegu, zrywa zeń z dziwną zęrcznością małego dżokeja, a koń wówczas już bez jeźdźca dalej do mety dobiega. Dla tym większego zapewnienia porządku, oprócz 12 kozaków, ustawionych na samej linii, wysłany był jeszcze oddział kozaków dwóch komend z dwoma oficerami. Piąta godzina po południu przeznaczona była do rozpoczęcia wyścigów, a na parę godzin przedtem posłano urzędnika dla ułożenia listy osób mających się wyścigać i dla opisanie ich koni; opis taki zawiera zwykle pochodzenie rodowe samego właściciela i wzmiankę o płci i latach konia.

Zaraz po czwartej godzinie po południu udaliśmy się ze Stawki Chana na miejsce wyścigów; wszyscy jechali konno, tylko ja i Achun miejscowy w stepowych drogach, a każdy z nas miał z sobą po dwóch towarzyszy. Droga do Hyppodromu wypełniona była Kirgizami jadącymi to pojedynczo na koniach lub wielbłądach, po dwóch nawet lub trzech na jednym bez żadnego siedzenia, to małymi oddziałami, mającymi na czele jakiegoś Sułtana; z dala na konie postrzegliśmy gromadę ze dwiestu przynajmniej złożoną, był

to najważniejszy oddział Kirgizów. W samym środku, na pięknym *argamaku*, jechał sam Książę Czyngiz ubrany w mundurze pułku Lejb-Gwardii Huzarów, po obu stronach jego dwóch najstarszych w Hordzie Sułtanów, a dalej za nim cały liczny orszak. Przybyliśmy też wkrótce do Hyppodromu. Na placu było już mnóstwo Kirgizów, kozaków i innych mieszkańców samej Stawki, lecz ani jednej nigdzie kobiety. Deżurny oficer i deżurny urzędnik Kirgiz (w stopniu kapitana), *Dost-Mahometów*, przedstawili Prezesowi opisanie koni; które się w dniu tym wyścinać miały, a było ich tą razą 19 (bywa czasami około 50), wieku najwięcej od lat 5 do 9, lecz jeden był i 18-letni, 3-y tylko kłacze, reszta wszystko konie; ustawiono ich w jednej linii; powierzchowność miały dosyć niepokazną od samego zapewna trenawania i kilkogodzinnego głodu, we wszystkich tak jak w siedzących na nich półnagich dżokejach przebiła się wyraźna niecierpliwość i chęć rozpoczęcia popisów. O godzinie 5-tej i minucie 32 z rozkazu Prezesa, na dany znak przez *Dost-Mahometowa*, konie, stojące już pod linią, rzuciły się z miejsca z zadziwiającą szybkością. W pierwszych tylko chwilach widzieliśmy ruch koni i zachęty energiczne dżokejów, zaraz bowiem gęste obłoki pyłu zakryły nam ich, lecz na krótko, gdyż w minut 6 i  $\frac{1}{4}$  ujrzeliśmy znowu z drugiej już strony dobiegających do nas jeźdźców, ale prawie połowę koni, widząc ich niemoc, wycofano na pierwszym kręgu; dobiegający do nas wcale się nie zatrzymywali, pędzili dalej z całą szybkością dla objechania jeszcze cztery razy tej samej przestrzeni. Przy każdym później dobieganiu do nas coraz bardziej wzrastał zapał i interesowanie się ogółu lub też pojedynczych Kirgizów, widzących to na przedzie, to znowu z tyłu przed innymi swoich stepowych biegunów; po przebieżeniu na koniec ostatniego kręgu pierwszy z wyścigających się koni dobiegł do mety przy końcu 33 minuty, za nim tuż inne 4 konie, a prawie zaraz jeszcze kilka, które chociaż nie wygrywały nagród, zawsze jednak należały do lepszych kurserów, skoro mogły we 33 minutach przebiec bez przerwy 20 wiorst drogi (czasami na wyścigach przebiegano tę długość w minut 27). Dobiegające do mety konie

z powodu rozpędzenia się nie mogły przy nas się zatrzymać, lecz stopniowo, wolniejszym już biegiem, kłusem i krokiem postępowywały dalej, a później już do nas wracały dla otrzymania przyznanej nagrody; były one nadzwyczaj zmęczone, całe w pocie, ciężko odychające, z rozszerzonymi nozdrzami, z mocno wypartymi i krwią zabiegłymi oczyma, a straszliwie poruszając bokami, nabawiały mnie prawie obawy, sądziłem, że padną zaraz na miejscu; lecz przeciwnie, długo jeszcze wolnym przejeżdżane krokiem, a następnie przeprowadzane w rękę lub ocierane wołokiem, przyszły na koniec do normalnego stanu, jednak zwyczajem u Kirgizów przyjętym nie pierwej jak w 6 godzin podano im pokarm.

Właścicielom pięciu wygrywających koni zaraz na miejscu wypłacono nagrody, publiczność zaś cała jak fale po morzu rozpywać się zaczęła w różne strony stepów, bo każdy już dążył do swojej kibitki, nie wracając bynajmniej do Stawki Chana, jeżeli ona nie była mu po drodze. Powracając, wśród okropnego kurzu, obejrzałem pomnik postawiony dla chana Dżankiera, lecz tylko z daleka, bo znarowione i nieprzywykłe do uprzęży kirgiskie konie na chwilę nawet zatrzymać się nie chciały, widząc inne dążące prosto ku Stawce.

Gdyśmy do niej wjeżdżali, mnóstwo ze wszystkich okien przeciwno zwyczajowi wyglądało Kirgizek, zaciekawionych widokiem, nie wiem, czy wyścigowych koni, czy raczej wracających mężczyzn; to ostatnie domniemanie zdaje mi się pewniejsze, bo i ku moim drogom ogniste leciały spójrzenia, a było właśnie ze mną dwóch nieszpetynych chłopaków.

PRZEDRUK ZA: E. Ostrowski, *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich*, t. 2, Grodno 1859, s. 94–99, 118–124.





**Zwierzęta karmią,  
ubierają i transportują**



## Konie w śniegu

Ewa Felińska (1793–1859)

Za Krzyszyłowiczami las coraz się zgęszcza, kraj przybiera postać coraz głębszego Polesia. Otóż Ostrów, Jasieniec, kraj trochę znany, bośmy jeździli raz przez ciekawość zwiedzić fabrykę sukienną założoną przez p. Obuchowicza, tylko dwie małe milki od Hołynki, ale tu już koniec znajomego mi świata. – Jedziemy dalej – śnieg robi się coraz rzadszy, wody coraz więcej, niższe miejsca nią się wypełniają, tworząc małe jeziorka, postęp wiosny odbywa się widocznie, tylko naboju na drodze trochę się opiera i walczy z promieniami słońca wiosennego, trzymamy się tego naboju i za jego pomocą przemykamy się coraz dalej i dalej.

Ale otóż i droga niknie, małe jezioro stanęło na drodze, zdaje się być głębokie, a nie wiadomo, co kryje w swej głębi. Furmanowi się zdaje rozsądniej objechać jezioro wkoło, gdzie śnieg panuje nad wodą, jakoż skierował konie na bok, i torujemy sobie drogę śniegiem. Już ujechaliśmy znaczny kawał drogi, a zawsze mamy jezioro na prawo. Wtem konie lejcowe, stąpiwszy wprzód na jakieś podniesienie, później raptem w głąb zapadają, ale furman zaciął batogiem i wyskoczyły, a w ich trop poszły dyszlowe, ale tym nie tak łatwo wyskoczyć. Jednak czego nie dokáže silna wola furmana z tymi biednymi zwierzętami? Poforsowały się, pomęczyły, ale choć mokre i robiąc bokami, wyskoczyły z połapki, a sanie zajęły ich miejsce, i zapadły głęboko. Był to podobno rów przekopany dla ciągnięcia wody, rozmyty później pracą żywiołu.

Furman znowu zacina konie, gestem i głosem zachęca, aby sił dobyły, jakoż konie słuchają, ale sanie uwięzły i stoją w dole nieporuszone. Nowa praca furmana, nowe wysilenie koni, ale wszystko daremnie, powiedziałbyś, że jakiś duch polski przykuł je do spodu. Żadne wytężenie sił koni na nic się nie przydaje, uprząż się rwie, drzewo się łamie, a sanie siedzą na miejscu.

Nie zważając na śnieg i wodę, każde z nas przynosi wedle możliwości dań ze swej siły i przemysłu, ale wszystko na nic. Uprząż powiązana rwie się na nowo, drzewo naprawione znowu się łamie, a sanie siedzą w rowie, ani się ruszają. Wszystkie środki wyczerpane i nie wiadomo, co robić dalej. Ludzi mało, aby wydzwignąć sanie drogami, a droga pusta, nikt nie jedzie. Wsi nie ma blisko – to Polesie – siedzimy blisko godziny, a żaden postęp na lepsze nie zrobił się w naszym położeniu, chyba na gorsze; bo i konie zmęczone, i uprzęż porwana, i orczyki połamane. Jednym słowem bieda! bieda!

Wtem słychać jakiś głos ludzki w stronie lasu, z któregośmy przyjechali. To niby głos zbawienia. Zawiesiliśmy wszystkie nasze prace, przysłuchując się, czy słuch nie omylił. Po chwili głos się powtórzył, niby nas bliżej, nadzieja wstąpiła do duszy; wszystkich wzrok zwrócony w tę stronę, skąd głos dał się słyszeć.

Otóż wysuwa się z lasu gruby koń kasztanowaty, z konopiatą grzywą; na nim budka pokryta rohożą<sup>1</sup>, a na przodzie, z nogami na bok spuszczoneymi siedzi markietan z długą ryżą brodą, z szyją obnażoną, która wysuwając się z sinej koszuli drylichowej świecącej spod kożucha, zdaje się urągać zimnu i wiatrom marcowym.

Koń stąpa powoli mierzonym krokiem, markietan dla uweselenia samotności zanucił jakąś piosenkę, a my czekamy niecierpliwie, aby się zbliżył do nas, żeby można poprosić o ratunek. Ale markietan, zbliżywszy się do jeziora, nie pojechał naszym śladem, ale prosto w wodę. – A jeżeli nas wyminie i pojedzie dalej, co będzie z naszą nadzieją ratunku?

Bojąc się stracić jedynej pomocy, jaką nam Bóg zesłał w tej pustyni, wychylam głowę z budy i zaczynam wołać tak, aby posłyszano.

– Pomożcie! Pomożcie!

Markietan czy głos posłyszał, czy gest zrozumiał, dość, że zatrzymał swoją powózkę, a nie zważając, że zamoczy nogi, wysiadł w wodę i przyszedł do nas.

---

<sup>1</sup> Rogoża – mata plecioną z roślin.

Nie trzeba mu było tłumaczyć naszego położenia, ono było widoczne. Pochodził naokoło powozu, pokręcił głową, a potem mówi:

– Czegożeście tu pojechali? Czemu nie było jechać drogą, ot tam którą ja pojechałem?

– Bo drogi nie było widno. Myśliliśmy, że tam głęboko, a tu zdawało się niczego, dołu pod śniegiem nie było widno.

– Widno, że wy nie tutejsi, powiedział markietan. A skąd jedziecie?

– Z Hołynki, odpowiedziałam.

– Z Hołynki? A, to kraj niedaleki. Alboż to ja nie znam Hołynki? Czy raz się w niej dobrze utargowało? Zacni panowie, niech im Bóg da zdrowie! I słowo uczciwe powiedzą, i zapłacą, i nakarmią, i napoją; to dusza, nie panowie. Cóż wy tam robili w Hołynce?

– Ja tam zhadowałam się i wyrosłam.

– To Hołynscy panowie wam swoi?

– Oni mnie jak rodzice, powiedziałam. Dziękuję ci za twoją życzliwość dla nich.

– Czemużeście zaraz nie powiedzieli, że to wasi krewni? powiedział markietan, zdejmując czapkę (i nie mogłam uprosić aby ją nazad włożył na głowę).

Potem przypatrując lepiej.

– Wszak i panienska zdaje się znajoma, tylko takeście twarz zakutali, żem nie poznał. Nie prawdaż panienko, że mię znacie?

– Zdaje się, żeście od kupca Semenowa?

– A tak, od Semenowa. Teraz gdybym miał na plecach wynieść wasze sanie, to wyniosę, a jak będę w Hołynce, to powiem, żem was widział, i w biedzie pomógł.

Ta rozmowa nie zabrała dużo czasu, a nawet mówiąc, markietan nie tracił z oka sani, szukając oczyma przyczyn przeszkadzających oswobodzeniu. Wreszcie zbadawszy okiem, poprobował jeszcze rękami, a potem plecami ich ciężaru, a opatrzywszy dobrze miejscowość i zdeptawszy śnieg własnymi nogami, poszedł do swojej powózki, wyprzągnął swego kasztana o grubych nogach, i przyprowadził go ze swoją własną uprzężą.

– Wasza uprzęż nic nie warta – powiedział. – Wyprężcie wszystkie swoje konie.

Furman usłuchał bez sprzeczek i zrobił, co kazał markietan, a ten na miejscu czterech koni dość silnych, któreśmy mieli w naszych saniach, przyprzęgł swego jedynaka, a dopomógłszy mu głosem i własnymi plecami i ramieniem, z największym naszym podziwieniem ruszył sanie od razu, wyciągnął z rowu i postawił na suchem.

Przejęta najszczerzą wdzięcznością dla mego wybawcy nie umiem jak mu dziękować, ale że u nas zwyczaj wszystkie usługi oddane przez niższą klasę kwitować pieniędzmi, jakby nie chcąc zostawić żadnego długu dla serca, więc i mnie się zdało, że do wyrazów wdzięczności trzeba dołączyć jakąś wartość pieniężną za stratę czasu i trud podjęty; jakoż, przy podziękowaniu chciałam włożyć rubla w rękę markietanowi, ale szlachetny ten człowiek nie przyjął pieniędzy, mówiąc, że dla niego dość ukontentowania, że oddał usługę znajomej panience, a za fatygę został z góry zapłacony, nieraz targując dużo w Hołynce, a nawet będąc tam jak gość częstowany; że wreszcie tak kocha właścicieli Hołynki, że dla nich polazłby nie tylko w wodę, ale i w ogień.

PRZEDRUK ZA: E. Felińska: *Pamiętniki z życia*, seria 2, t. 1, Wilno 1858, s. 153–158.

## Lustra w stajni

Ewa Felińska (1793–1859)

Urządzony został na nowo dwór w Nieświeżu, ale z innym zupełnie obliczem niż dawny dwór jego stryja. Nie szcędzono wydatków, owszem, wychodziło może więcej jak dawniej, ale bez okazałości i wystawy. Księżę Dominik<sup>1</sup> lubił namiętnie konie, więc nimi się w szczególności zajmował. Urządzono zaraz blisko mieszkania księcia stajnie, z całym przepychem amatorskim; ze zwierciadłami, posadzkami itd. Tam Księżę dnie całe przepędzał, tam często jadał, a zamek zostawał pusty. Jeżeli kto z obywateli chciał widzieć się z księciem, musiał go szukać w stajni.

PRZEDRUK ZA: E. Felińska, *Pamiętniki z życia*, seria 1, t. 2, Wilno 1856, s. 97.

---

<sup>1</sup> Księżę Dominik Hieronim Radziwiłł (1786–1813).



**Deresz dereszowaty**  
Aleksander Fredro (1793–1876)

Ośmnastego lutego roku 1814 jechał na białym koniu człowiek średniego wieku, nieco otyły, w sieraczkowym surducie pod szyję zapiętym, w kapeluszu stósowanym bez żadnego znaku prócz małej trójkolorowej kokardy. Za nim w niejakiej odległości drugi, znacznie młodszy, także w surducie, ale ciemnozielonym, także w kapeluszu bez znaków, także zgarbiony równie jak pierwszy, a może i lepiej – siedział na dereszowatym koniu. Koń biały, krwi orientalnej, był niewielki, niepokazny, ale dzielny. Deresz zaś był... dereszowaty, trudno co o nim więcej powiedzieć; nie wstrzymywany ani sławą przodków, ani swoim własnym usposobieniem, potykał się często na drodze, którą mu los codziennie wyznaczał.

Pierwszym z tych jeźdźców był Napoleon, drugim byłem ja.

PRZEDRUK ZA: A. Fredro, *Trzy po trzy*, oprac. K. Czajkowska, w: tenże, *Pisma wszystkie. Proza*, t. XIII, część 1, oprac. S. Pigoń, wstępem poprzedził K. Wyka, Warszawa 1968, s. 69.

## Klacz szpakowata

Aleksander Fredro (1793–1876)

Jeden tylko Onufry nie mógł dać sobie rady, a ja, nie chcąc odstąpić koni, czekać musiałem. Miał on wprawdzie do czynienia z klaczą szpakowatą, diabłem wcielonym, której nie w smak były juki, a jeszcze więcej dwie wiązki siana do przedniej kuli siodła przywiązane. Kupiłem ją był w Löbau od oficera polskich huźarów za czterdzieści dukatów. Wsiadałem, zsiadałem, próbowałem do woli, wszystko szło jak najlepiej; ale nazajutrz, gdy przyszło do kulbaczenia, klacz gryzie i bije tyłem i przodem – a do wsiadania jeszcze gorzej. Wczoraj stała jak opoka, dziś tańczy jak Paraszka, boczkiem, boczkiem ode mnie, a ja za nią, za nią na jednej nodze – istna kołomejka. Dosiadłszy zaś, trzymaj się zrazu choćby i grzywy, bo w okna pierwszego piętra zaglądać będziesz. Nareszcie żadna przemoc ani cierpliwość ludzka nie zdołała zniewolić jej przejść koło martwego konia. – W wilią dnia, o którym mówię, pod Lipskiem będąc na służbie, przemierzyłem na niej nieraz całe pole bitwy w słotę, błoto i o głodzie, a jednak narowy jej nie zmniejszyły się wcale.

PRZEDRUK ZA: A. Fredro, *Trzy po trzy*, oprac. K. Czajkowska, w: tenże, *Pisma wszystkie. Proza*, t. XIII, część 1, oprac. S. Pigoń, wstępem poprzedził K. Wyka, Warszawa 1968, s. 80.

## Klacz angielska

Aleksander Fredro (1793–1876)

Księżna jenerałowa Czartoryska wyjeżdżała z Warszawy do Puław. Całe jej towarzystwo odprowadzało ją do Wilanowa. Mężczyźni, po największej części wojskowi, konno; Staś i Artur Potoccy, Franciszek Morawski, Skrzynecki, Krukowiecki, książe Konstanty Czartoryski, Raczyński Edward i Atanazy, Kicki, książe Sułkowski, Roźniecki, mój brat Maksymilian i wielu innych. Byłem wówczas w Warszawie na urlopie, swoich koni nie miałem. Maksymilian dał mi więc swoją klacz angielską – bodajby była nigdy polskiego owsa nie jadła! Nim jeszcze pojazdy ruszyły, ja, a raczej klacz moja już wpadła między przekupki pod Świętym Krzyżem. Gracko rozbiłem babski czworobok, nie ma co mówić. Krzyk, gwałt, kozły na prawo i na lewo, ale byłbym w końcu i siebie rozbił, gdyby jakiś przechodzący ułan nie był wariatką zatrzymał. Złowieszczy był to znak, trzeba było w domu zostać, jednak pojechałem. Przez Łazienki aż do Szulca szło nie bardzo gładko, ale przynajmniej uczciwie. Mojej angielski grzbiet zgarbiony, uszy po sobie położone, szyja ciągle pracująca, jak gdyby przydłużyć się chciała, oznajmiały niejaką wewnętrzną niespokojność, która powoli i mnie udzielać się zaczęła. A wtem... ni z tego, ni z owego, jak się nie kopnie!... Strzała, wiatr! Pędzi, jak gdyby zły duch prezydujący na wszystkich łamikarkach angielskich ćwiczył jej boki. Trzymam, ciągnę, szarpię, a widząc, że wszystko nadaremnie, pochylam się naprzód i puszczam jej cugle. Udaję, że to nic... że ja tak chcę... że się spieszę. Ale próżne udawanie! Nikt, kogo koń unosi, nie zwiedzie drugich, że dobrowolnie pędzi. Jeno się spojrzuj na jego w tył podaną głowę, w tył podane łokcie, ruch ciała nierówny, oczy ciekawie patrzące, co tam będzie na drodze, czego spodziewać się należy: skoku albo dwakroć niebezpieczniejszego zatrzymania w miejscu. Jeno się spojrzuj, mówię, a łatwo poznasz, że bezwładne indywiduum jest igrzyskiem szalonego losu, *alias* szkapy. Poznano pewnie i moje mimowolne

wyścigi, ale cóż robić... Pędzę, Farys nowy... Konnica z drogi... karety z drogi... a kiedy już wyminąłem wszystko, co się ruszało, moja Ledi zatrzymała się i ja na niej. Jechałem kawał drogi naprzód całego konwoju, jak kozak, co niegdyś w niebieskim kontusiku przodkował sześciokonnej karecie Siemianowskiego, starosty korabiowskiego, z Koniuszek na sumę do Radek. Jechałem powoli i po troszę kłamię, a po troszę poprawiałem, co mi się naruszyło w tym nagłym marszu. Ale nie tu koniec. Ledwie pierwszy pojazd równał się ze mną, moja angelka znowu w nogi i znowu stanęła. Tak pędząc i stojąc, jakby przy kawaleryjskich stacjach, dobiegłem przecie Wilanowa, gdzie zsiadłem czym prędzej, aby do Puław nie zajechać.

Jenerał Roźniecki, inspektor kawalerii, którego baliśmy się podówczas, jak się później bano wielkiego księcia albo jak się boi diabeł święconej wody, zbliżył się do mnie i zapytał:

– Cóż to Wać Pan za sztuki pokazywałeś?

– Nie mogłem konia wstrzymać – odrzekłem cienkim głosem.

– Nie trzeba tego mówić – zawołał jenerał i postawił marsa, w którym był mocniejszym niż w czymkolwiek innym. – Oficer kawalerii powinien być zawsze panem swego konia, inaczej koń oficerem, a oficer staje się koniem.

Na ten komplement pomyślałem sobie i niejedno, ale nic nie powiedziałem. Bo inne myśleć, a inne mówić – rzekłby śp. wojewoda podolski, mój antenat.

PRZEDRUK ZA: A. Fredro, *Trzy po trzy*, oprac. K. Czajkowska, w: tenże, *Pisma wszystkie. Proza*, t. XIII, część 1, oprac. S. Pigoń, wstępem poprzedził K. Wyka, Warszawa 1968, s. 163.

## Śmierć konia

Aleksander Fredro (1793–1876)

Pod Hanau kula armatnia, z trzaskiem i łoskotem przetorowawszy sobie drogę przez gałęzie otaczających nas dębów, zaszumiła nad sztabem cesarskim. Cesarza, książąt, generałów albo i jakiego z dzielnych rumaków tych wysokich panów, a przecie wybrała sobie moją biedną szkapę, com miał najlepszego. Uderzona w prawą łopatkę, usiadła jak pies na zadzie. Odpiąłem mantelsak, wyjąłem pistolety, oddałem Rejtanowi, ściągnąłem munsztuk i, nie wstydzę się powiedzieć, że łzami w oczach objąłem i przycisnąłem do piersi ten łeb bułany, co się ku mnie zwracał, jak gdyby wzywał pomocy. – Żegnam cię – rzekłem – towarzyszeko wierna – i oglądając się wzajemnie na siebie, rozstaliśmy się na zawsze. Z dwóch koni, które mi zostały, jeden był podbity, drugi gałgan. I kiedy nazajutrz przyszło ruszyć z miejsca, wsiałem na gałgana. Była to mała klacz kasztanowa. Wszystko, co z urodzenia mogła mieć dobrego, została w błocie pod Dreznem... na błocie nigdy nam nie brakowało... a teraz dźwigała długiego Onufrego.

Jako przyjaciel prawdy muszę wyznać, że wzięwszy razem mnie i kobyłkę, składaliśmy całość nietęgą. Kobyłka w skutku trudów wojennych nabyła nałogu uderzać chałupca zadnimi nogami, a potem na jednej tylko nodze kończyć taniec, co równie dla niej, jak dla jeźdźca ani powabnym, ani zaszczytnym nie było.

PRZEDRUK ZA: A. Fredro, *Trzy po trzy*, oprac. K. Czajkowska, w: tenże, *Pisma wszystkie. Proza*, t. XIII, część 1, oprac. S. Pigoń, wstępem poprzedził K. Wyka, Warszawa 1968, s. 85.

## Konie pocztowe

Aleksander Fredro (1793–1876)

Cesarz jeździł zwykle jak cesarz, to jest jak mu się podobało, konno lub karetą, ale zawsze prędko. Chcąc być zawsze ze służbowymi szwadronami, trzeba było konia nie żałować, konia, który jeszcze tej samej doby mógł być być skazany na kilkomiłową wędrówkę. Nie można także było odstępować koni podwodnych, bo gdzież ich potem szukać?!

Pocztą można było jechać albo jednokonnym wózkiem, albo konno (*à franc étrier*). Wózki te pocztowe we Francji na dwóch wysokich kołach zwały się gminnie, ale bardzo właściwie, *tapecul*. W St.-Denis w owym czasie, kiedy pani Metru-de-froid brodę goliła, a wielki książę manewrował, karetki utrzymujące komunikację z Paryżem nazywano *pôt de chambre*. Ci ugrzeczniejsi Francuzi mają często wyrazy, których my barbarzyńcy nie śmiemy i wymówić. Otóż tych *tapecul* używaliśmy bardzo rzadko. Raz że strudzonemu trudno nie zdrzymać się czasem, a wtenczas gdyby koń idący między dwoma dyszlami upadł, czego się zawsze po koniu pocztowym spodziewać należy, można było łatwo sięść na niego, lecz *à la Franconi*, to jest głową na dół. Po wtóre, że tylko wtenczas można było puszczać się nimi, kiedy droga była dobra i wolna od maszerującego wojska. Inaczej jechałby kurier głównego sztabu Wielkiej Armii, jak jeździł czeski student wiedeńskim landkuczerem na konceptistę do Lwowa. Zawsze więc prawie jeździło się konno. – W początkach kampanii były na pocztach we Francji niezłe konie wierzchowe, zwane *bidets*, i z dobrym okulbaczeniem, ale później łaska Boska, jeżeli znalazło się na stacji jaką taką niezbyt zmęczoną z wszystkimi czterema nogami. Postyilion jechał naprzód, wytrząskiwał harapem albo jęczał i krzyczał, kiedy mu przyszło pędzić jak na złamanie karku dzień czy noc, błoto czy lód.

PRZEDRUK ZA: A. Fredro, *Trzy po trzy*, oprac. K. Czajkowska, w: tenże, *Pisma wszystkie. Proza*, t. XIII, część 1, oprac. S. Pigoń, wstępem poprzedził K. Wyka, Warszawa 1968, s. 89–91.

## Właściwy dosiad

Aleksander Fredro (1793–1876)

Jeden z francuskich generałów powiedział:

– Nie ma się co dziwić, że Polacy są dobrymi lansjerami, bo Polak jeszcze dzieckiem, już z lansą w ręku było pasie.

Lubo Francuzi zawsze wszystko najlepiej wiedzą – teraz nawet w Algierii Arabów uczą po arabsku – ja prawdy twierdzeniu szanownego generała przyznać nie mogę. Powiem jednak, że nam Sławianom łatwiej niż Francuzom złożyć dobrą jazdę, lansjerów czy nie lansjerów, a zwłaszcza złożyć naprędce. U nas chłopak wzrasta między końmi, dosiada szkapy, pędzi po pastwisku, przepływa rzeki, wtenczas kiedy jeszcze po płocie wydrapał się na nią, kiedy między nim a jej grzbietem płótna nawet nie ma. Nie będzie on zapewne od razu zgrabnym kawalerzystą, ale z koniem poradzi sobie zawsze, a do koczowania nawykł od dzieciństwa.

Każdy nowy kawalerzysta wzbudza śmiech starego żołnierza, a cóż dopiero Francuz prosto od comptoiru kawiarni, albo od perukarskiego warsztatu na francuskiego konia wsadzony. Proszę mu się przypatrzeć. Najprzód jego punkt dotknięcia z kulbaką jest w ciągłej z nią niezgodzie... zdaje się, że jakaś odpychająca siła zmusza je do oddzielnej grawitacji. Jego łokcie odparte od ciała jak skrzydła młodego gołąbka, co chciałby a boi się pierwszy lot z gniazda przedsięwziąć. Jego głowa w tył zadarta, a pierś nachylona jak u naszego popa, kiedy o prezentę prosi, brzuch wypięty, jak u spanoszonego karczmarza. W jego ruchach, od pięty aż do czubka paryskiego, zgniecionego teraz rycerskim przykryciem, jest coś nerwowego, coś ostrokatnego, co go czyni podobnym do telegrafu, nie elektrycznego, ale tego, co za naszych czasów z wieży do wieży łamańce wyprawiał. Bądź przy tym pewny, że ona strzeżniaczka, a przynajmniej jedno, urwane, rajtuzy w górę skurczone odkrywają cholewę niepoczernioną albo część płóciennego ubioru, który nigdy słońca widzieć nie powinien. Ostroga młodego rycerza

na dół zgięta nadwyrężyła obcas; to na pierwszych schodach, z których zstępował jako obrońca ojczyzny, stać się musiało niezawodnie. Czako przestronne ociera uszy albo za ciasne natęża podpinkę, która koniec końców urwana igrac będzie z wiatrem wzdłuż policzków. Cugle długo trzymane zdają się być lejcamy czterech koni w ręku stangreta rozpartego na koźle. Nareszcie zawsze coś niepotrzebnego, rzemyk, tasiemka, sznurek wygląda, skąd mu wyglądać nie wolno. – Ileż to razy jaki stary wiarus rozkuł w nocy konie *garde d'honneur*owi, potrzebując podkowy. Ileż to razy wiozącemu furaż wymknęły się źle związane snopki, a nim konia zatrzymał, nim zlął z niego, już snopków nie było. Jeżeli zaś nauczony w tym względzie doświadczeniem wziął cugle w zęby, a wiązki pod pachę, wtenczas tracił łatwo równowagę i zsuwał się z kulbaki, a nim się z siana wydobył, koń już kawał uszedł. Ileż razy nie śmieliśmy się, patrząc na biednego paryżanina, jak nie mogąc dać sobie rady w trudnej sztuce przypięcia sobie mantelsaka, siadał twarzą do ogona i tak szamotał się z krnąbrnym rzemieniem i zuchwałą sprzączką. *Nota bene*, w okularach na nosie często, a z kroplą u nosa zawsze.

PRZEDRUK ZA: A. Fredro, *Trzy po trzy*, oprac. K. Czajkowska, w: tenże, *Pisma wszystkie. Proza*, t. XIII, część 1, oprac. S. Pigoń, wstępem poprzedził K. Wyka, Warszawa 1968, s. 109–110.



## Kłusaki

Edward Ostrowski (1816–1859)

Ujechawszy stąd wiorst 15, byłem we Wsi Chrenowo stanowiącej niegdyś własność hrabiego Orłowa, dziś zaś należącej do rządu: jest to już prawdziwe i bardzo nawet ładne miasto, z piękną tam cerkwią i z kilkuset pięknymi domami dla włościan i żołnierzy pełniących stajenną służbę; wspaniałe murowane zabudowania stadnicze i piękne dwupiętrowe domy zarządu, plac wyścigów i plac do jeżdżenia kłusem z ładnymi dla widzów altanami każą najłatwiej zapominać, że to jest wieś tylko. Obecnie w tym miejscu pomieszczone są wygodnie dwie różne stadniny, zawierające razem przeszło 1,500 koni; jedna z nich właściwa chrenowska, czyli orłowska, druga cześmeńska, a każda jeszcze zawiera w sobie dwa oddziały: w orłowskiej bowiem są konie wierchowce, powstałe z połączenia arabskich z angielskimi; i konie tak zwane *Rosiste*, czyli rysaki albo kłusaki z połączenia arabskich z dońskimi i hollenderskimi; szybkość ich jest zadziwiająca; średnio liczyć można, że w dorożce trzy wiorsty drogi przebiegają w sześć minut a nieraz nawet i prędzej. Postać ich wspaniała; są to właściwie piękne i ogromne araby, z silnymi, tylko dosyć grubymi nogami. Ceny rysaków bajeczne: tańszych nad 1,000 rubli srebr. nie znajdziesz tam prawie, nieraz zaś te ceny dochodzą do pięciu, dziesięciu, a nawet i piętnastu tysięcy rubli! Sześć najświetniejszych tamecznych rysaków popisywało się przede mną w zwyczajnych do wyścigów używanych linijkach, i powiadam ci bez przesady, że zachwycony byłem tym widokiem.

Stadnina cześmeńska dzieli się także na dwa oddziały, w jednym z nich są konie czysto arabskie i inne wschodniego pochodzenia, a w drugim konie wyścigowe angielskie, takie zupełnie, jakie zapewne widziałeś nieraz i w Warszawie.

Dosyć już o tych koniach. Dwie doby tam się bawiłem i od rana do nocy nacieszyć się nie mogłem tym prawdziwie dla mnie miłym wytchnieniem, i pożytecznym razem; ty jednak nie jesteś ani

gospodarzem, ani kawalerzystą, po cóż więc mam cię dłużej nudzić końmi; jeżeli ten ich opis niedostateczny dla ciebie, to przeczytaj moje urzędowe sprawozdanie; śpieszę do Woroneża, nie mam więc czasu dłużej ci tu o nich mówić.

PRZEDRUK ZA: E. Ostrowski: *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich*, t. 2, Grodno 1859, s. 160.

## Łowienie koni

Edward Ostrowski (1804–1885)

Urzędnicy posyłani w stepy jeżdżą zwyczajnie także konno lub też we własnych *drogach* lub w tarantassach<sup>1</sup>; dodają im zwykle w drodze konnego Kirgiza na posyłki, który odpowiada naszemu dziesiętnikowi; pewna liczba takich Kirgizów utrzymuje się zwykle przy zarządzie w Stawce Chana, ubierają się oni tak jak i inni Kirgizy, lecz mają na piersiach znak blaszany, podobny do tego, jaki mi się nieraz zdarzyło widzieć u dziesiętników na Litwie, a zdaje się że i Sołtysy w Polsce noszą podobne godła swojego urzędowania; Kirgizy stepowi bardzo się ich boją, czy też poważają, bo zawsze posłuszni na wszelkie wezwania. Rozumiej ją oni po większej części, nawet i mówią po rosyjsku i bywają posyłani albo sami tylko, jako gońcy czy też towarzyszą wysyłanym urzędnikom ze Stawki Chana, do różnych miejsc stepów; znają je doskonale i są wybornymi przewodnikami i strażą dla delegowanych: mając udać się w podróż, zabierają zwykle z sobą arkan lub *ukriuk* do łowienia koni; arkan jest rodzajem powrozu ułożonego w pierścienie, z końcem zaopatrzonem w pętlę; najpodobniejszy on do tych pętli, których używają hycle do łowienia psów na ulicach, *ukriuk* zaś stanowi długą i giętką laskę lub właściwiej tyczkę, do której na jednym końcu przymocowany mocny, ciężki szpagat, tak prawie zupełnie jak włosy u smyczka nienapięty, lecz najwolniej do niego przyczepiony, i to nie do całej długości tyczki, ale tylko do jednej trzeciej jego części; koniec, gdzie jest przyczepiony szpagat, zakładają sobie na ramię, siadają na konia i wlekącym się po ziemi drugim końcem żerdki długiego *ukriuka* puszczają się przed powozem eskortowawym, wybierając zawsze drogę w miejscach takich, gdzie się zwykle pasą kirgiskie tabuny. Po przybyciu do tabunu urządzają natychmiast łowienie koni potrzebnych do powozu, lub najczęściej łowią sami

---

<sup>1</sup> Tarantas (ros.) – pojazd podróży, czterokołowy, z budą.

*ukriukiem*, pomagają je zaprzęgać i przytrzymywać; przy tej okoliczności zazwyczaj skupia się zaraz kilku lub nieraz i więcej Kirgizów, do zaprzęgnięcia, trzymania, krzyczenia i popędzania koni nieprzywykłych zupełnie do uprzęży. Po wsadzeniu już woźnicy na kozły i forysia na jednego z koni, puszczają od razu przytrzymywane dotąd konie, a krzykiem lub nieraz i biciem zmuszają je do biegu w prostym przed sobą kierunku: te, zerwawszy się z miejsca jak szalone, lecą po stepie z rącząściami prawdziwie stepowych wiatrów, rowy, kamienie, płoty i zagrody, nic by ich nie zatrzymało w biegu, na szczęście nie ma tam żadnej z tych przeszkód, przy której bez wątpienia musiałby paść ofiarą powóz podróżnego, a może by się rozsypały i kości jego po stepie. Kirgizy powożący krzyczą tylko i kierują, a przewodnik to jedzie na przedzie i wskazuje drogę, to za-jeżdża z boków i broni od rzucania się koni w stronę. Po przejechaniu tym sposobem wiorst przynajmniej 10–15, bieg koni prawdziwie szalony zmienia się na kłus rączy, który trwa jeszcze jakich wiorst 15–20 lub więcej, aż do pierwszego w tym kierunku tabunu, tam znowu następuje zmiana koni itd., aż do samego noclegu; nocną porą nikt już zwyczajnie po stepach nie jeździ, bezludność ich, brak drogi, czasami jamy, lub szczątki dawnych *chuduków* itp. trwożą tam w nocy najodważniejszego nawet przewodnika, potrzeba więc koniecznie zatrzymać się na nocleg i przepędzać go w powozie, lub też, jeżeli się podoba, w nieznośnej kirgiskiej kibitce.

PRZEDRUK ZA: E. Ostrowski: *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich*, t. 2, Grodno 1859, s. 44–47.

## Hipocentaur nowożytny

Teodor Tomasz Jeż (właśc. Zygmunt Miłkowski) (1824–1915)

Piechota pod dowództwem pułkownika Idzikowskiego, który w Nanaszu, zdaje mi się, zorganizował batalion drugi, liczyła batalionów trzy; jazda rozrosła się na dwa pułki, każdy po szwadronów cztery: pierwszym dowodził Tchórznicki, drugim Poniński (obecnie generał w służbie włoskiej); dowództwo nad obydwoma było przy Tchórznickim, oficerze z roku 1831, żołnierzu typowym, kawalerzyście pełnym przywar i zalet, przywiązanych do człowieka przysłego do konia i szabli. Był to obraz hipocentaury nowożytnego, przyozdobionego w czerwony, do ogórka podobny nos i obdarzonego głosem chrapliwym, którym w boju do żołnierzy wołał: – Kto się boi, niech się za mego siwka schowa!

PRZEDRUK ZA: T. T. Jeż: *Od kolebki przez życie*, t. 1, Kraków 1936, s. 326.

## Rany pod siodłem

Aleksander Fredro (1793–1876)

Dziwna rzecz, że tak wiele myślą o sposobach niszczenia sił nieprzyjacielskich, a tak mało o zachowaniu swoich własnych; nie mówię w boju, ale w wojnie i szczególnie co do kawalerii. Dla pułkownika jazdy wszystko jedno: stracić człowieka czy konia – strata tak jednego, jak drugiego uszczupla szereg. Człowiek z koniem, niby centaur, jest dopiero jednostką w kawalerii. Konie, moim zdaniem, nie dosyć doznają starania i opieki. Więcej koni ginie w czasie wojny z powodu okulbaczenia i okucia niż od kuli. Jak są rezerwy i lazarety dla ludzi, tak powinny być i dla koni. Koń uszkodzony jakim bądź sposobem z powodu okucia – mógłby ozdrowić w kilku, a odsedniony w kilkunastu dniach. Zaniedbany zaś, nieusunięty z pracy, musi wkrótce stać się nieużytecznym i później marnie zginąć. Po kilku miesiącach kampanii zgroza zajrzeć pod kulbaki. Smród z jątrzących się pod nieustającym naciskiem ran ciągnie się wzdłuż maszerującej kolumny. Trzeba się tylko dziwić, jak zwierzę może znosić, i to czas dość długi, takie męczarnie. Ale wszystko ma swoje granice – koń cierpi, chudnie, słabnie i koniec końców ginie. Dostarczają amunicję, dlaczegoż nie dostarczają od czasu do czasu derek i kulbak na miejsce zużytych i popsutych. Trafia się niedbały żołnierz i nie wie, że terlica pękła, a przez to konia naciska. Terlice powinny być ze stosownego i suchego materiału, równie jak i umiejętnie zrobione. Przy nowych formacjach, gdzie dawnych terlic magazyny dostarczyć nie mogą, lepsze są siodła. Oficerowie mało zwracają uwagi na okulbaczenie. W wojsku polskim w 812 r. było niedobre.

Nie mniej ważną jest rzeczą okucie. Im więcej koń strudzony, tym lepszemu wymaga okucia. Im słabszy, tym łatwiej się ślizga, tym ciężiej upada. Widziałem konie grenadierów konnych gwardii cesarskiej karmione lepiej i więcej szanowane niż konie jazdy liniowej, które padłszy jakby piorunem uderzone, już więcej nie wstały.

Podkowy z ufnalami powinny by mieć swój osobny wóz, zawsze być pod ręką. Prócz tego każdy żołnierz jedną podkowę w torbie trzeba, aby zawsze miał. Każdy powinien umieć przymocować podkowę. W czasie pokoju byłoby bardzo łatwo pomnożyć liczbę, nie mówię dobrych kowali, ale umiejących w potrzebie róg wybrać i podkowę przybić. Doświadczaliśmy, jaki był zawsze ścisk przed miejscowymi, równie jak i wojskowymi kuźniami. Złotem trzeba było czasem opłacić podkowę, która naprędcie sklejona, naprędcie przybita, długo trwać nie mogła, a zwłaszcza wtenczas, kiedy była najpotrzebniejszą, bo na kamienistej albo grudziastej drodze. Parę dni przed bitwą pod Hanau jestem posłany do generała Bertrand. Dojeżdżam do ariergardy, do ostatnich jej tyralierów, nikt o nim nie wie. Znaleźć go nie mogę. Nareszcie po całodziennej gonitwie za lada białym dymem, wracam na kulawej klaczy – podkowę zgubiła. Nie dość, okuć nie mogę aż w Frankfurcie. Róg obłamany kowal zagwaźdża. W kilka tygodni później wychodząc z Moguncji, musiałem tę klacz, ową szpakowatą chymeryczkę, ale zresztą bardzo dobrą, zostawić w opiece oficera Polaka będącego przy sztabie marszałka Kellermana. Tyle też widziałem moją klacz i mego kolegę.

PRZEDRUK ZA: A. Fredro, *Trzy po trzy*, oprac. K. Czajkowska, w: tenże, *Pisma wszystkie. Proza*, t. XIII, część 1, oprac. S. Pigoń, wstępem poprzedził K. Wyka, Warszawa 1968, s. 130–132.

## Pod siodłem

Weterynaryja popularna, J. N. Kurowski, 1840

### § 45 O odsednieniu na kłębie

Odsednienie na kłębie jest skutkiem ciśnienia siodła [...]. Na-przód robi się tu dość znaczne napuchnienie, gorące i bolesne, które po 6–8 dniach przechodzi w ropienie. Jeżeli się ostat-niemu przypadkowi wczesnie nie zapobiegnie, ropa rozlewa się w głąb lub na strony, trawi muszkuły, toczy kości i tworzy trudne do wyleczenia wrzody, a które czasem wcale wyleczone być nie mogą.

LECZENIE. Miejsce uszkodzone obmywa się wodą zimną kilka razy na dzień, lub co lepiej, postrzegłszy początkowe napuchnię-cie, przyłożyć na nie szmatkę w kilkoro zwinioną i zwilżać ciągle następującą cieczą:

Weź:     Octu ołowiannego i  
          Soli ammoniackiej po – 3 łyty.  
          Wody – – 4 kwarty.  
          Zmieszaj.

W niedostatku tej wody można kłaść na odsednienie darń świeżą i zlewać ją wodą zimną.

Jeżeli odsednienie nie jest zbyt wielkie i zastarzałe, wtedy, po-dług powyższego przepisu, goi się w dniach 8–10. W przeciwnym zaś razie tworzy się tu ropa, którą po łatwości uginania się i wy-prężania miejsca uszkodzonego łatwo poznać można.

W tym razie robi się w najniższym miejscu nacięcia dość znaczne, ropa najzupełniej się wyciska i rana obmywa następu-jącą mieszanką, codziennie po 3–4 razy, przez dni 8.

Weź:     Siarczanu miedzi i  
          Ałunu po – – – ¼ łyta.  
          Wody – – – pół kwarty.  
          Zmieszaj.



Gdyby się utworzyły głębokie nory, lub gdyby materia ostra poczęła trawić kości, nastrzykiwać w ranę 2–4 razy na dobę następującą ciecżą:

Weź: Chlorku drugiego żywego srebra i  
zmieszaj z pół kwartą wody wapiennej.  
Na noc opatruje się rana pakułami, następującą ostrą  
maścią nasmarowanymi:

Weź: Terpentyny gęstej i  
Oleju lnianego po – – 2 łuty.  
Niedokwasu czerwonego merkurynszu  $\frac{1}{4}$  –  
Zmieszaj.

Skoro ropa, to jest dobra, gęstawa się utworzy, przy tym rana poczyna się zmniejszać i częstkami mięsa młodego wypełniać, wtedy nastrzykiwanie należy przestać i tylko na noc obwijać ranę maścią powyższą; we dnie zaś posypywać ją 2–3 razy następującym proszkiem:

Weź: Kamfory – – –  $\frac{1}{4}$  łuta  
Proszku kory dębowej,  
Węgla miałko utłuczonego po 3 –  
Wszystko zmieszaj.

W najgorszym razie potrzeba spód wrzoda żelazem rozpalonym do czerwoności wypalić.

*PRZEDRUK ZA: Weterynaryja popularna. Nauka poznawania i leczenia chorób zwierząt domowych wyłożona w sposób każdemu przystępny podług chlubnie znanych lekarzy weterynarii, Haubnera, Hertwiga, Kreutzera, Wagenfelda, Rohlwesa, Veitha, i wielu innych, przez J. N. Kurowskiego wspólnie z lekarzem weterynarii, w kraju naszym od wielu lat praktykującym. Z dziesięcią tablicami rycin w Warszawie, nakładem Aug. Emmanuela Glücksberga, księgarza przy ulicy Miodowej, n. 497. pod filarami, 1840, s. 108–109.*

## Podkowy z ocelami

Józef Grabowski (1791–1881)

Otóż, mimo wszelkie użyte sposoby pojazdy te nie mogły wjechać na ową Górę Ponarską; po pierwsze dlatego, że owe wozy, powozy, amunicje ciągnęły się w największym nieładzie, a każdy broniąc swej własności, chciał przed innym się wydostać i zawadzał o drugiego, po wtóre, że upór Francuzów i ich zarozumiałość, że tak dawno wojując, mędrsi są od innych i rady nie potrzebują, nie zezwoliła im kucia koni ostro. Nadto podkowy mieli bez ocelów<sup>1</sup> i płaskie, a wiele koni zupełnie było rozkutych, choć te lepiej jeszcze się trzymały na ślizgawicy niż kute na modę francuską; niejednokrotnie radzono i wystawiano cesarzowi i marszałkom, aby rozkazano ostro kuć konie – na próżno. Mieli potem przykład na naszej armii, która po gołoledzi szarżowała i która wróciła z tymi samymi stu armatami, z którymi na kampanię wyciągnęła, a miała też same mrozy, śniegi i gołoledzi co Francuzi. Ba, lecz ci znów na przekór mieli przekonanie, że podkowy z ocelami psują i niszczą konia, że osłabiają mu nogi i że koń łatwo się wiąże, zaczepiając przednie podkowy o tylne. Mogło się takie związanie kiedy wydarzyć, lecz czy dla pojedynczego wypadku można było dobrowolnie zapomnieć o korzyściach, jakie daje koniowi kucie z ocelami i szczególnie ostrymi podczas ślizgawicy?

PRZEDRUK ZA: J. Grabowski, *Pamiętniki wojskowe*, Warszawa 1905, s. 6.

---

<sup>1</sup> Ocel, hacel – hak stalowy wkręcany na końcach podkowy.

## Konie zimą

Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841)

Paryż, 2 stycznia 1836 r.

Zima prawdziwie moskiewska trwa ciągle do 8 gradusów, co rzadkością tu zdarza, po odwilży lód okrył ulice. Serce się kraje, jak konie, których ostro kuć tu nie umieją, we wszystkich pojazdach i brykach padają i podnieść się na lodzie nie mogą, a nielitościwi woźnice niemiłosiernie okładają ich batami. Okrucieństwa nad zwierzętami surowo przeważnie karane są w Anglii.

PRZEDRUK ZA: J. U. Niemcewicz, *Dzienniki 1835–1836*, do druku przygotowała i przypisami opatrzyła I. Rusinowa, Warszawa 2005, s. 225.

## Gwóźdź w kopycie

Weterynarya popularna, J. N. Kurowski, 1840

### § 74 O zakłóciu kopyta

Zdarza się iż gwoździe, lub inne ostre ciała przebijają podeszwę rogową i mięsną, a nawet znacznie głębiej zachodzą, i stają się przyczyną długiej choroby nogi, trudnej do uleczenia.

POZNAKI. Podług gwałtowności zakłucia koń poczyną upadać nagle lub też powoli. Dalsze oznaki są niemal te same co w zagwożdżeniu, a mianowicie: koń kuleje, usiłuje na przodzie kopyta nogę opierać, stojąc, często ją podnosi i tu i ówdzie stawia; kopyto zaś bardzo jest gorące.

LECZENIE. Skoro więc koń z przyczyny niewiadomej nagle pocznie chromać, należy zrewidować najdokładniej podeszwę kopyta, strzałkę i jej rowki, czyli nie ma gdzie jakiego zakłucia. Jeżeli ugrzęzłe tu ciało jest znacznej objętości, od razu spostrzeżonym bywa; ale się zdarza czasami, iż jest tak drobne i niewidzialne, że tylko przez ścisłe śledzenie, naciskanie podeszwy, strzałki i ból stąd pochodzący odkrytym być może; a nawet czasami przyłamane końce ufнали tak głęboko zapuszczają się w podeszwę i równają z jej powierzchnią rogową, iż tylko przez zerznięcie tejże odkryte być mogą.

Jeżeli się zakłucie wcześniej odkryje, pomoc jest łatwa; należy ciało ugrzęzłe wyjąć i ranę podobnie opatrywać jak w poprzednim §. przy zagwożdżeniu wskazanym zostało.

PRZEDRUK ZA: *Weterynarya popularna. Nauka poznawania i leczenia chorób zwierząt domowych wyłożona w sposób każdemu przystępny podług chlubnie znanych lekarzy weterynarii, Haubnera, Hertwiga, Kreutzera, Wagenfelda, Rohlwesa, Veitha, i wielu innych*, przez J. N. Kurowskiego wspólnie z lekarzem weterynarii, w kraju naszym od wielu lat praktykującym. Z dziesięcią tablicami rycin w Warszawie, nakładem Aug. Emmanuela Glücksberga, księgarza przy ulicy Miodowej, n. 497. pod filarami, 1840, s. 145–146.

## Zbyt ciasna stajnia – guzy w łokciach

Weterynaryja popularna, J. N. Kurowski, 1840

### § 48. O guzach w tyle łokcia

**PRZYCZYNY.** Zwykle guzy te powstają [...] gdy konie leżą na twardym miejscu, a mianowicie na bruku; lub też gdy leżąc w stajniach ciasnych, nie mogą nóg wyciągnąć, kładą przednie nogi pod piersi, opierając się łokciami na ocele podków. Zawierają one ciecz wodnistą lub też masę gąbczastą.

**LECZENIE.** Guzy te rozpędzają się w początkach przez częste okładanie zimną wodą, śniegiem lub lodem, w pęcherzu zawiązanym. Jeżeli to nie pomoże, a przy tym znajduje się w nich płyn wodnisty, należy guz otworzyć, wodę z niego wycisnąć i trzy razy na dzień następującą mieszanką smarować.

**Weź:** Spirytusu kamforowego,  
– mydlanego po – 6 łutów.  
Olejku terpentynowego i  
Rozczyntu ammonii gryzącej po 2 –  
Zmieszaj.

Po użyciu tego środka pospolicie w dni 8–14 guz zupełnie się rozchodzi. W przeciwnym razie należy go zniszczyć mieszaniną ostrą, jak następuje:

**Weź:** Tynktury much hiszpańskich 3 łuty  
Rozczyntu ammonii gryzącej – 4 –  
Olejku terpentynowego – 12 –  
Potażu handlowego – 2 –  
Wszystko zmieszaj.

Mieszanina ta używa się 3–4 razy na dzień, przez 2–3 tygodni; przy tym co dwa dni potrzeba zmywać utworzone pod nią strupy wodą mydlaną. Zwykle po jej użyciu guzy giną; ale też czasem, kiedy są bardzo zastarzałe, nie jest ona skuteczną i w tym razie potrzeba używać następującej ostrej maści:

Weź: Chlorku drugiego żywego srebra i  
Gumy euforbii po – – 1 łucie.  
Proszku much hiszpańskich – pół –  
Terpentyny – – – 4 –  
Wszystko zmieszaj; co dzień cały  
guz nacieraj ilością orzechowi odpowiednią.

Podczas leczenia koń winien mieć podkowy bez ocelów. Jeżeli i ostatni środek nie pomoże, niepozostaje jak wyrznięcie guza; ale tę operacją tylko biegły Weterynarz wykonać jest w stanie.

PRZEDRUK ZA: *Weterynaryja popularna. Nauka poznawania i leczenia chorób zwierząt domowych wyłożona w sposób każdemu przystępny podług chlubnie znanych lekarzy weterynarii, Haubnera, Hertwiga, Kreutzera, Wagenfelda, Rohlwesa, Veitha, i wielu innych*, przez J. N. Kurowskiego wspólnie z lekarzem weterynarii, w kraju naszym od wielu lat praktykującym. Z dziesięcią tablicami rycin w Warszawie, nakładem Aug. Emmanuela Glücksberga, księgarza przy ulicy Miodowej, n. 497. pod filarami, 1840, s. 112–113.

## Nie bać się konia

Aleksander Fredro (1793–1876)

Z drugiego noclegu w Lesku puściliśmy się w dalszą drogę do Cisny konno. Nasz ojciec jechał na tureckim, białym jak mleko szłapaku. Obok, na siwym, dużym, z zaprzęgu wziętym koniu, pan Płachetko, który wypiętą postawą, równie jak i prętem prosto w górę koło ramienia trzymanym, starał się udowodnić to, co tylekroć powtarzał, że służył niegdyś w jeździe litewskiej pod komendą generała Jasińskiego. Za panem Płachetką mój brat Seweryn na kasztanowatym, a ja na szpakowatym kucu. Wówczas siedziałem na koniu, jak to mówią, po łacinie, ale gdy przyszło od zamku spuszczać się do Sanu po skalistych ledwie nie schodach, wezwałem na pomoc całą moją bereiterską sztukę. Wyrężyłem nogi tak, że butami dotykałem munsztuka, a ręką chwyciłem tylną krawędź siodelka i ciało w tył podałem. W takim horyzontalnym prawie położeniu zjechałem szczęśliwie na dół i w San. Za pierwszym pluśnięciem wody, jak papierowy arlekin za pociągnięciem sznurka, zmieniłem gwałtownie moją pozycję; ściągnąłem nogi jak do prysiudy i puszcżając siodło, chwyciłem się grzywy jedną, a potem i drugą ręką. Pomimo drwinek Stanisława, starego masztalerza, byłbym chwycił się i trzecią, gdybym ją był miał, kiedy w środku rzeki zdawało mi się, że nadbrzeżne chałupy i drzewa suną się jakby w szenekatarynce albo, co jeszcze gorzej, że woda mnie i kuca unosi. Kłapanie podków po śliskich kamieniach, szum przerywanego prądu, wytryski sprzed końskich kolan, padające na plecy i za kołnierz, zbiły mnie z terminu do reszty. Mój kucyk zaś zdawał się wcale przeciwnego doznawać uczucia; stawał ciągle, spuszczał łeb jak gdyby był nie pił od dwóch dni, nareszcie zaczął nogą grzebać, znak nieomylny, że ma ochotę położyć się, i co byłoby nastąpiło niezawodnie, gdyby go Stanisław nie był podgonił – kuca podgonił, a panicza za kark chwycił, bo panicz w niespodziewanej zmianie ruchu tracąc równowagę, byłby zleciał jak worek otrębów.

Wielki to był wstyd bać się konia albo okazać złe usposobienie na jeźdźca. Ksiądz Zachariasiewicz, biskup przemyski, powiadał mi, że jego ojciec kazał raz swoim synom, dzieciom jeszcze, siadać na konia. Gdy się on niezręcznym okazał, ojciec kiwnął ręką i rzekł: „To kiep! będzie księdzem”. Tak się też i stało.

PRZEDRUK ZA: A. Fredro, *Trzy po trzy*, oprac. K. Czajkowska, w: tenże, *Pisma wszystkie. Proza*, t. XIII, część 1, oprac. S. Pigoń, wstępem poprzedził K. Wyka, Warszawa 1968, s. 183.



## Ucieczka koni

Teodor Tomasz Jeż (właśc. Zygmunt Miłkowski) (1824–1915)

Na drugi dzień pochodu w nocy spotkał nas wypadek, którego znaczenia nie zrozumieliśmy od razu. Zbudził nas nagle huk i tętent w obozie. Zerwaliśmy się. Kazano nam pod bronią stanąć. Mówiono o napadzie kozaków. Staliśmy pod bronią do rana i pokazało się, że jeździe naszej całej konie się od kołków poodrywały i uciekły. Kilkadziesiąt szwadronów pozostało na piechotę. Rozesłano na wsze strony w step celem odszukania koni; piechotę zaś i artylerię ustawiono w szyku bojowym, oczekując lada moment ataku nieprzyjaciela, który za nami z bliska ciągnął. Godziny jednak upływały – nieprzyjaciel się nie pokazywał. Wreszcie huzary odszukali konie przy stertach siana w stepie i przypędzili. Nastąpiło rozbieranie ich pomiędzy szwadrony. Godziny znów upływały i nieprzyjaciel nie atakował. Wydawało się to dziwnem, tym bardziej że w wigilię dnia tego legion polski, który szedł w straży tylnej, stawiał czoło straży przedniej austriackiej, legion zaś włoski z zasadzki w kukurydzach zgromił szwoleżerów. Po rozebraniu koni ruszyliśmy w pochód dalej. Tajemnica, dlaczego nas Austriacy nie atakowali, wyjaśniła się później. I im konie w nocy uciekły. Sprawilo to trzęsienie ziemi, które konie przestraszyło.

PRZEDRUK ZA: T. T. Jeż, *Od kolebki przez życie*, t. 1, Kraków 1936, s. 351–352.

## Osiół

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

Tu na wzgórzu leży *Villa Rufinella*, zbudowana na miejscu dawnej villi Cicerona, w której on zwykle lato przepędzał, i tu swoje *Tusculania* pisał. Frascati bowiem jest odroślą dawnego *Tusculum*, którego znaczne ruiny leżą o parę wiorst stamtąd. Ruszyliśmy tam zaraz po śniadaniu, damy i sam pan Ankwicz na osiołkach, które są tu jak miejscowa remiza, my zaś, jako paziowie przy średnio-wiecznych *donzellach*, trzymaliśmy za cugle te dzielne rumaki, lub same damy podtrzymywaliśmy na siodłach, z poręczami na kształt krzeszełek. [...]

Nazajutrz (to jest wczoraj), zaraz po kawie, nie bardzo dobrej, ale bardzo wesołej, puściliśmy się na całodzienną wycieczkę do Albano, dokąd powozy poszły prostą drogą i miały czekać tam na nas; my zaś sami, na osiołkach i pieszo jak wczoraj, ruszyliśmy najprzód przez cudny las kasztanowy do *Grotta Ferrata*, tej samej wsi czy miasteczka, gdzieśmy byli już raz na kiermaszu z Szewirewem i młodym Wołkońskim. A że i droga stamtąd do Albano też sama, więc powtarzać tu o niej nie będę; tym bardziej, że Bogu dzięki, celem naszym nie było zwiedzanie żadnych pamiątek lub osobliwości, ale wprost użycie wiosny, powietrza i towarzystwa. To ostatnie harmonizowało z pierwszemi – jak wesołość z pogodą. Przygód nie było żadnych, oprócz mojej z osłem. Panienki chciały przejść się i posiadały z siodeł, sama zaś pani hrabina chciała koniecznie nas wsadzić na osły. Adam oparł się stanowczo; ja – jak zawsze – damom uległem. Ale zaledwo wsiałem i ujechałem kilkadziesiąt kroków, osioł... (Mówią, że to bestyja głupia, ale gdzie tam! Żaden zwierz przecież oprócz oślicy Balaama nie przemówił nigdy po ludzku. Ma on widać swój rozum; natura tylko krnąbrna i uparta). Otóż osioł, poczuwszy innego jeźdźca, zaciął się najprzód i zaczął wierzgać, a następnie, zmuszony kijem do ruchu, przewrócił się raptem na bok, i gdyby nie poręcz u siodła, z którego ja wyleciałem,

byłby się tarzał w piasku do góry nogami. Stąd mnie wstyd, wszystkim śmiech, a osła jego właściciel zaczął grzmocić kijem co siły.

PRZEDRUK ZA: A. E. Odyniec, *Listy z podróży. (Z Rzymu)*, t. 3, Warszawa 1885, s. 300–301.

## Marynarze na wielbłądach

Edward Ostrowski (1816–1859)

Na początku listopada część hordy Kirgizów rusza się z letnich swoich w północnej części kraju będących koczowisk i zbliża się tu do nizin, zwanych czerniami, na koczowiska zimowe, gdzie w trzciniaku dla trzód swoich i tabunów znajduje jakiegokolwiek przynajmniej schronienie od zimowych wiatrów i zamieci; na wiosnę, w końcu marca, powracają znowu Kirgizy na swe dawne letnie koczowiska, leżące bardziej na północ, bo tam i pastwiska więcej żyzne i wody już nie słone. Zimą więc tylko porą cisza tej stepowej pustyni ożywia się niejako tą częścią hordy Kirgizów, która rozpyje tu swoje *kibitki* aułami, zwykle wśród trzciniaków, rosnących nad brzegami jeryków, czyli *czerni* i małych jezior słonych.

Wspomniane wyżej jeryki i niziny, w różnych kierunkach idące i przerywane w wielu miejscach kordonną drogę w czasie przyływu morza, często do tego stopnia utrudniają podróż, że użycie wielbłądów staje się nieodzowną potrzebą, co dla nieprzyzwyczajonego jest nieznośną rzeczą, gdyż wielbłąd duszę prawie wytrzyma jeźdźcowi. Jeden oficer kozacki z linii kordonnej opowiadał, że pewnego razu przez post jego przechodził z Astrachania mały oddział majtków przeznaczonych na służbę na Aralskim morzu; żeby nie osłabiać postów brakiem koni, których wiele potrzebowano na podwody dla przewiezienia tłómków żeglarzy, wezwano Przełożonego tamecznego rodu Kirgizów Karauł-Chadży-Babadżanowa, dla dostarczenia potrzebnej liczby wielbłądów do przewiezienia majtków, którzy chociaż przyzwyczajeni do kołysania morskiego, nie bardzo jednak chętnie wspinali się na te lądowe okręta, a wsiadłszy nawet na wielbłądów, nie mogli się na nich utrzymać i większa część wołała iść pieszo, zostawując do niesienia wielbłądom tylko swoje tłómki.

PRZEDRUK ZA: E. Ostrowski, *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich*, t. 1, Grodno 1859, s. 251–252.

## Psi zaprzęg

Józef Kopec (1762–1833)

Do mojego powozu miałem trzynaście psów zaprzężonych, dyszel rzemienny bez lejców, jeden tylko pies przewodnik idzie w zaprzęgu. Kamczadał, zwykle usiadłszy bokiem na przodzie sań, trzyma się za poklaski, lecz mając łyżwy na nogach, mało co siedzi, tylko wraz z psami leci. W rękę ma osztoł<sup>1</sup>, czyli kij gruby, z żelazem na końcu dla wstrzymania psów i sań: gdy bowiem usiłuje psy wstrzymać, obraca bokiem sanie i hamuje. Na wierzchu osztoła jest wiele kółek żelaznych i dzwoneczków, czego się psy najwięcej boją, to służy na miejsce batoga. Pies dobrany do przodkowania tak jest zmyślny, że biegnąc, ustawicznie się ogląda na skinienie i słowa Kamczadała, w którą stronę ma się rzucić. Ponieważ żadnej drogi nie widać śladu, więc trzymają się brzegów ziemi, jadąc podług kierunku gór najwznioślejszych, a nad brzegami Oceanu leżących, które i nazwiska swe mają. [...]

Pierwszy raz jechałem takim ekwipażem. Było w ogóle ludzi do trzydziestu, a więcej do sta psów. Cały ten bagaż najprzód był prowadzony z góry nad brzegi morza, ile że kolonia zawsze wysoko nad brzegiem morza stoi. Zaprzężono potem psy na równych lodach, aby się z miejsca nie poplątały.

Krzyknęła razem cała świta najokropniejszym głosem i zabrząkali wszyscy swoimi osztołami, u których, jak wyżej nadmieniono, znajduje się wiele kołków i dzwoneczków. Wnosić wtedy można, z jaką szybkością psy ruszyły: zdawało się, że od tak prędkiej jazdy powietrze głowę zrywa i cały już człowiek został odurzony. Pędzą one z całej siły, aż się zmordują, potem już biegną powolniej. Sanie i psy idą po wierzchu zlodowaciałego śniegu, dlatego jest niezmiernie lekko; popasu nie bywa, tylko nocleg. Nim z miejsca samego ruszą, wprzód przez dwa dni psy głodzą, a stanąwszy na

---

<sup>1</sup> Osztoły – kije do poganiania psów.

noclegu, wybierają miejsca leśne albo gdzie morze wiele drzewa powyrzucało: tam dopiero psy wyprężone, zwinąwszy się w okrąg, zasypiają, a w godzin dwie każdy z nich dostaje po jednej suszonej rybce i tym pokarmem trwa całą porę.

Cała świta ma dość pracy, bo musi na każdym noclegu wielką w śniegach wykopywać jamę i sięgać aż do ziemi. Kopiają ulice jakby do jakiego zrębu i niezmierne nakładają ognie. Wiatr tam nie dochodzi, prócz mrozu wielkiego. Ja do mojej z futer karety sypiać chodziłem; ubierając się dubeltowie, zawsze cierpiałem zimna największe, bo byłem chory.

Jak dzień nastaje, zaprzęgają psy i puszczamy się w dalszą drogę. Szóstego dnia zbliżyliśmy się do pierwszej kolonii, ale nie mogliśmy trafić, bo mieszkania w ziemi zupełnie śniegiem zawiąło. Niektóre psy, co bywały w tym miejscu, pokładły się i dalej iść nie chciały. Poznały, że w tych miejscach są mieszkańce: puszczano psy, niektóre z nich zaczęły szczekać i natychmiast odkryto kolonię, gdzie powychodzili Kamczadale i my z ekwipażami zbliżyliśmy się. Okno czyli luft okopcony był dymem, którego po drabinie musieliśmy do lochów włączyć. Ja, że byłem chory i bardzo grubo ubrany, spuszczone mnie na sznurach. Kobiety wszystkie okurzały nas głowniami z dymem, abyśmy im zarazy lub ospy nie przywieźli. Usiadłem koło ognia i zacząłem gotować herbatę. Cukier lodowaty i kociołek miedziany miałem przywiązany do pasa, gdyżby to zaraz ukradli. Uderzony powietrzem smrodliwym owego mieszkania, zacząłem cierpieć wielkie nudności, wołam więc ewangelistę, lecz go nie było, bo poszedł po korytarzach witać mieszkańców pracujących i bawiących przy lampach swoich. Po jakimś czasie wraca ewangelista do ognia i zaczynamy pić herbatę. Poprzymosili za nim wiele soboli, gronostajów i wyporków jelenich.

PRZEDRUK ZA: *Dziennik podróży Józefa Kopcia*, przedmowa A. Mickiewicz, Paryż 1867, s. 65–67.

## Folwark bez krów

Ewa Felińska (1793–1859)

Aby zaradzić naprędce naglącej potrzebie, za pomocą Wojciecha, który był lepiej z domem obeznany, kazałam mój dwór zgromadzić, aby się z nim zapoznać i zawezwać do narady. Po zebraniu przekonałam się, że ten dwór był tak nowy prawie jak pani, i równie jak ona nic nie umiał. Była to rekrutacja sług na prędcę wziętych ze wsi, którym potrzebna była nauka, a na biedę nikt z grona naszego nie miał kwalifikacji na nauczyciela.

Ta okoliczność zmartwiła mię nie pomału, ale jeszcze więcej, kiedym się dowiedziała, że nie ma ani jednej krowy na oborze, ani jednej kury na folwarku itd. Wprawdzie Gierard mię uprzedzał, że znajdę wszędzie pustki, ale nie brałam tego wyrazu w absolutnym znaczeniu. Nie mogłam sobie wyobrazić, aby mógł istnieć folwark najmizerniejszy bez krów, kur, gęsi itp. jak nie wyobrażałam sobie człowieka bez rąk, nóg i głowy.

PRZEDRUK ZA: E. Felińska, *Pamiętniki z życia*, seria 2, t. 1, Wilno 1858, s. 308.

## Mądre krowy

Ewa Felińska (1793–1859)

Tu znajduję pole wspomnieć o obyczajach bydła domowych berezowskich, jak one, używając więcej swobody, okazują nierównie więcej pojęcia od naszych.

Zdarzyło mi się nieraz widzieć jak stada bydła, wyjadłszy paszę w jednym miejscu, gromadnie przenoszą się w drugie. Na ten cel trzoda z kilku domów zbiera się w kupę i staje nad brzegiem rzeki, nie pasąc się, tylko jakby robiąc uroczystą naradę; po czym bydła silniejsze rzucają się w wodę i płyną naprzód, pociągając swym przykładem inne.

Tym sposobem przepłynąwszy znaczną przestrzeń wody, wylądowują na jaką wyspę, gdzie trawa jeszcze bujna i niespaszona, a po pewnym czasie gdy ją zjedzą, szukają znów miejsca nowego.

Równie mię uderzył rozum, czy też instynkt macierzyński w krowach tamecznych.

W Berezowie system wychowania sztucznego rozciąga się od ludzi aż do bydła. Już wyżej powiedziałam, że matki pokolenia ruskiego bardzo rzadko karmią dziecię piersią własną, ale od samego urodzenia karmią je mlekiem krowim, przyuczwszy ssać z różka opatrzonego w cienkim końcu syską krowią. Podobnym że sposobem postępują z krowami. Skoro się cielę urodzi, odbierają je matce i karmią z ręki, z początku wydojonym od matki mlekiem, a po dniach kilku pojęm z krup lub mąki, z domieszczeniem nieco mleka, póki cielę dobrze się nie wzmocni i nie przywyknie do tego sztucznego pokarmu.

Podobne sztuczne hodowanie ma tę dogodność, że cielę nieznane matce można puszczać razem na paszę lub zostawiać w jednym chlewie, bez niebezpieczeństwa wyssania. Druga korzyść, że krowa pozbawiona cielęcia od urodzenia zostaje cielną każdego roku.



Wszakże krowy muszą pojmować, że za pośrednictwem człowieka tracą swoje cielęta, bo gdy nadchodzi pora cielenia się, krowa używa całej przebiegłości, aby się wymknąć od jego opieki.

Na ten cel robią sztuczki tak dowcipne, że się dziwić wypada ich rozumowi.

Gdy się zbliża pora rozwiązania, gospodyni nauczona doświadczeniem zamyka krowę do chlewa, i tam ją karmi i poi, dając pilną baczość, aby nie uciekła. Ta z początku przyjmuje pokarm, ale później jeść ani pić nie chce.

Gospodyni, zatrwożona chorobą, wypuszcza ją trochę na świeże powietrze, sama w ślad idąc za nią. Krowa idzie zawsze po mału, głowę ku ziemi spuściwszy, udaje tylko pragnienie i szuka świeżej wody. To udawanie słabości trwa póty, póki krowa nie upatrzy sposobnej pory do ucieczki: a skoro gospodyni oszukana pozwoli się wyprzedzić o kilka kroków, krowa, zebrawszy wszystkie siły, uskoczy na bok, i przepływając lub przeskakując ruczaje, stara się dostać co prędzej do lasu, gdzie znika przed okiem goniących.

Wiedząc, że będzie szukaną, nie zatrzymuje się w bliskości; lecz gdy ubiegnie wiorst kilka i sądzi się być wolną od pogoni, wybiera stosowne miejsce, a porodziwszy cielę, pokrywa je opadłymi z drzewa liśćmi. Sama zaś, aby nie zdradzić swą obecnością schronienia nowonarodzonego w przypadku poszukiwania, odchodzi paść się opodal.

Rzadko udaje się właścicielowi znaleźć prędko zbiega; krowa zaś póty utrzymuje cielę w ukryciu, nim to nie nabierze sił dostatecznych dla zaufania rącości nóg własnych. Wówczas już matka wychodzi na paszę wraz z cielęciem, a gdy po pewnym czasie kto ją nadybie i da znać właścicielowi, ten przymuszony jest wyprowadzić całą czeladź na wyprawę tak pieszo, jak konno, i często harce potrważą kilka tygodni, nim krowa z cielęciem dadzą się ująć.

Ten sam przymysł przewodniczy do szukania pokarmu zimą. W Berezowie nigdy właściciel obory nie troszczy się bardzo, gdy skutkiem przedłużonej zimy zabraknie siana dla przekarmienia bydła. W takim razie wypuszcza na wolność swoją trzodę, a bydlęta

uszedłszy wiorst kilka, odgadłszy pewnie instynktem, gdzie bujna pasza została przysypana śniegiem, mimo grubą warstwę śniegową odgrzebują ją racicami i przekarmiają się do następnej wiosny.

PRZEDRUK ZA: Wspomnienia z podróży do Syberii, pobytu w Be-rezowie i w Saratowie: spisane przez Ewę Felińską, t.1, Wilno 1853, s.186–188.

## Pasienie wieprzów mięsem

Gospodarz Wiejski i Miejski, J. Lipowski, 1838

### Sposób pasienia wieprzów mięsem gotowanym

Liczne doświadczenia, naprzód przez braci *Paen* w Anglii, a następnie przez rozmaitych gospodarzy i rzemieślników we Francji przedsiębrane, wykazały dostatecznie, iż wieprze, mięsem gotowanym karmione, nie tylko spieszniej i lepiej się pasą nad te, które w tymże samym przeciągu czasu roślinnymi żywiły się pokarmami, ale że ich mięso tak gotowane, jak pieczone i wędzone, świeże i solone, było daleko wyborniejszego i bardzo delikatnego smaku. Korzystne te odkrycia wywołały obszerniejsze doświadczenia, tak że dzisiaj w Anglii, Francji, Belgii, Holandii i w wielu innych sąsiednich krajach sposób ten pasienia wieprzów coraz powszechniejsze zyskuje przyjęcie. Mięso końskie, wcale dotąd niepożytkowane, doskonałym jest ku temu produktem; podobnież różne skrawki mięsne, po jatkach rzeźniczych częstokroć bez żadnej zostawiane korzyści. Gotować je można w zwyczajnych kotłach, saganach itd. i dawać wieprzom wraz z rosółem, mięso wprzód na drobne posiekawszy kawałki. Dodanie kartofli lub innego rodzaju roślin wcale nie zaszkodzi, koniecznym jest nawet w początku, dopóki się wieprze z tym nieznanym sobie dotąd nie oswoją pokarmem.

*PRZEDRUK ZA: Gospodarz Wiejski i Miejski czyli Dziennik Najpotrzebniejszym i Najpożyteczniejszym Wiadomościom Poświęcony, a mianowicie: rolnictwu, ogrodnictwu, leśnictwu, budownictwu; wychowaniu zwierząt domowych; pszczelnictwu, rybołówstwu, łowiectwu; sztukom, rękodzielom, rzemiosłom; porządkowi domowemu, spiżarni, kuchni; rozmaitościom itd., wydawany w połączeniu prac i starań przyjaciół umiejętności przemysłowo-rolniczych, przez Józefa Lipowskiego, rządowego profesora nauk matematycznych i rysunków liniowych, t. 1, Strazburg 1838, s. 131–132.*

## Czym zastąpić mleko?

Gospodarz Wiejski i Miejski, J. Lipowski, 1838

### Napój dla cieląt zastępujący mleko

Do sześciu kwart wody źródlanej, włóż garść dobrą (wagi około funta) czerwonej koniczyny w czasie suchym zebranej i gotuj, aż trzecia część wody ubędzie; wyjmij natenczas koniczynę, rozkłuć w trochę wody funt mąki jęczmiennej, owsianej lub bobowej, wlej ją do kociołka podczas wrzenia płynu, i mieszaj bezprzestannie aż nabierze pewnej gęstości, ostudź potem, a gdy wróci do temperatury właściwej mleku wprost od krowy wziętemu, daj pić cielętom, dodawszy tyle serwatki, ile za potrzebne uznasz.

PRZEDRUK ZA: *Gospodarz Wiejski i Miejski czyli Dziennik Najpotrzebniejszym i Najpożyteczniejszym Wiadomościom Poświęcony, a mianowicie: rolnictwu, ogrodnictwu, leśnictwu, budownictwu; wychowaniu zwierząt domowych; pszczelnictwu, rybołówstwu, łowiectwu; sztukom, rękodzielom, rzemiosłom; porządkowi domowemu, spiżarni, kuchni; rozmaitościom itd.*, wydawany w połączeniu prac i starań przyjaciół umiejętności przemysłowo-rolniczych, przez Józefa Lipowskiego, rządowego profesora nauk matematycznych i rysunków liniowych, t. 1, Strazburg 1838, s. 132.

## Oswojone bawoły

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

*Torre di Tre Ponti*. Początek Bagien Pontyńskich. Ależ to wcale nie bagna, jak ja sobie wyobrażałem, ale najpiękniejsza na świecie, najrówniejsza, najświeższa, najzieleńsza łąka. Za nic wszystkie ogrodowe trawniki. Step chyba tak wygląda na wiosnę. A i tu pustynia stepowa. Nigdzie wsi, nigdzie domu (prócz stacji i oberży), nigdzie człowieczka! Po obu stronach drogi tu i ówdzie czernią się tylko z daleka stada koni lub wołów, (rzeczywiście bawołów), ale których żaden pasterz nie pasie. Droga prosta i płaska, wydaje się jak galon złocisty, na zielonym axamicie przyszyty. Ale na stepie, jak mówią, tchnie wonność dzikich kwiatów i świeżość w powietrzu, która upaja i ożywia. Tu czuć w powietrzu zapach jakby błota, który dusi i zabija. Bo ten zapach – to malaria, która stąd sięga do Rzymu. Nie jestże to jakby podobieństwo i symbol tak zwanej cywilizacji dzisiejszej? I czy także jej powiew nie dosięga Rzymu? [...]

*Mesa*. Droga wciąż jednostajna, płaska, pusta, wysadzana drzewami. Najwięcej wiązów i topoli. Przypatrzyłem się z bliska bawołom. Mniejsze od zwyczajnych wołów, czarne, z zakrzywionymi w tył rogami. Z natury są złe i dzikie, i obces rzucają się na ludzi; ale tak znają swoich dozorców i nadane sobie imiona, że na proste zawołanie przychodzą same i pozwalają się doić spokojnie. Nie widziałem, ale tak nam opowiadał konduktor.

PRZEDRUK ZA: A. E. Odyniec, *Listy z podróży. (Z Neapolu do Genewy)*, t. 4, Warszawa 1878, s. 6–8.

## Wielbłądy

Edward Ostrowski (1816–1859)

Chcąc na zachód wyjechać ze Stawki Chana, dwie miałem do wyboru drogi: jedną bardziej na północ, ku miastu Kumyszyn, drugą na zachód, do znanego mi już Czarnego Jaru; większa niby łatwość przeprawy przez Wołgę i pewniejsza rękojmia co do przemiany koni bez wahania się tę ostatnią wybrać mi kazały. – Od Stawki Chana wszędzie po tej drodze urządzono coś na kształt poczty, gdyż tamtędy odbierają się urzędowe korespondencje z zachodu: Stacje pocztowe stanowią odległe od siebie na wiorst kilkadziesiąt kibitki, których mieszkańcy obowiązani są za opłatą, raz jeden w tygodniu, mieć gotowe cztery konie, dla jadącego do Stawki lub wracającego z niej z korespondencjami kozaka. Ruszyliśmy więc i my tą pocztową drogą i przez kirgiskie osady, lub właściwiej uroczyska, Muslik, Szugaji, Charachoj, dążyliśmy ku brzegom Wołgi i za Wołgę do Czarnego Jaru.

Smutny był sam nawet początek drogi, bo oprócz lejących piasków nieśmy nie wiedzieli; leniwe nasze wielbłądy ciągle potrzebowały przynaglenia, a przerażające ich ryki mięszały się z krzykiem i biciem popędzających je Kirgizów. Jechaliśmy, jak to mówią, literalnie noga za nogą, ale i ten ruch powolny, jeszcze później wolnieć zaczął, i w na końcu zupełnieśmy stanęli; wielbłądy nasze wyraźnie były w znowie, wszystkie się położyły od razu, a krzyki i bicie Kirgizów z miejsca ich nawet poruszyć nie mogły; ja sam zniecierpliwiony śpiesznie wysiadłem z powozu i grubą trzcina, przywiezioną z Persji, zacząłem zachęcać najstarszego z nich, oburzył się na to jak widać przewodnik wiozącej nas nieposłusznej bandy i właśnie w chwili odżuwania pokarmu plunął mi w oczy z całą wielbłądzą złością. Twarz moja i ubranie pokryło się od razu żółto-zieloną powłoką i nie o popędzaniu już wielbłądów, lecz o oczyszczeniu oczu myśleć mi należało; o wymyciu twarzy i marzyć tam nie można, bo na całej wokoło nas przestrzeni nigdzie wody nie było, otarłem się

więc tylko chustką. Przydany mi Kirgiz, prawdziwy doświadczony stepowy, zawyrokował na koniec stanowczo, że wielbłądy nasze dalej już nie pójdą, i znając wybornie ich upór, puścił się więc pędem strzały w stepy, a za małe pół godziny przypędził nam chmurę koni i Kirgizów z najbliższego od nas tabunu. Po zaprzężeniu więc tylu koni, ile ich tylko przyczepić było można, złorzeczając wielbłądom, ruszyliśmy znowu – i na ogromnym piasku nie trwożyły nas wcale skłonne do rozbiegania się, nieobeznane z powozami kirgiskie rumaki. – Wkrótce wybrnęliśmy z piasków i po równej, wybornej drodze, widząc z dała po lewej stronie znane już nam Haki, dojechaliśmy i do dobrze znajomej rzeki Biul-dur-gen-di, przez którą z odwagą kirgiską bez żadnego szwanku przejechaliśmy prawie kłusem, i dalej po równej i dobrej drodze przebywszy jeszcze wiorst około 15, dastaliśmy się do pierwszej pocztowej stacji, nazwanej Mostik. Dwie kibitki, tyleż Chuduków, kilku Kirgizów i kilka koni stanowiły całą miejscową osobliwość.

PRZEDRUK ZA: E. Ostrowski, *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich*, t. 2, Grodno 1859, s. 139.

## Weterynarze

Edward Ostrowski (1816–1859)

Często tam spotykałem choroby piersiowe, a szczególnie suchoty tuberkułowe, czyli jak teraz podobno nazywają gruźliczkowate. Wszystko to zapewne pochodzi ze skrofulicznego usposobienia, do czego niemało przyczynia się samo powietrze nieprzyjemnie suche, gryzące organa oddechowe.

Ja sam, który najwięcej zawsze liczyłem w całym swym organizmie na piersi i nogi, będąc w stepach kirgiskich, czułem prawie ciągle jakąś ciężkość na piersiach. Na pochwałę rozsądku Kirgizów można powiedzieć to, że w ostatecznym razie uciekają się przecie do pomocy swojego lekarza prawdziwego. W febrze czyli zimnicy coraz bardziej wierzyć zaczynają w skuteczność jego proszków, przyrządzanych podług metody atomistycznej i złożonych z 1/50 części grana wyciągu spirytusowego wroniego oka, z cukrem mlecznym.

Lekarki kirgiskie są to proste baby, nieznośne i przesądne. Zamiast leczenia ściskają często żołądek chorej rącznikami, biją po nim rękami, krzykiem i łajaniem wypędzają złego ducha, i oto całe leczenie.

Dla leczenia zwierząt domowych jest etatowy weterynarz w hordzie. Chętniej jednak udają się Kirgizy do swoich konowałów, którzy obchodzą się ze zwierzętami zupełnie tak samo jak w Polsce, gdzie jest szkoła weterynarii, gdzie są weterynarze porządni i gdzie wstyd zaprawdę uciekać się do szarlatanów, co się wszakże zdarza częściej niestety, niżby przypuścić można.

PRZEDRUK ZA: E. Ostrowski, *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich*, t. 1, Grodno 1859, s. 226–227.



## Dżabaga

Edward Ostrowski (1816–1859)

Zapewne ciekawys, co to jest dżabaga? Jest to szczególny produkt owiec kirgiskich. Owce ich bowiem, pozostając przez całą zimę pod gołym niebem, opatrzone z natury grubą wełną, mają z niej wyborną od zimna ochronę. Wełna ta przez zimę podlega szczególnemu spłśnieniu, tak, że cała owca wygląda jakby była pokryta płaskim kołtunem lub grubym ciepłym kapeluszem, który na wiosnę zaczyna powoli przez podrastanie nowej wełny od spodu coraz bardziej oddzielać się od ciała. Wówczas to Kirgizy rękami dopomagają oddzieleniu się tej grubej powłoki, która stanowi właśnie wspomnianą dżabagę. Tą dżabagą, jakby rodzajem waty, podszywają swoje zimowe ubrania. Ma ona tę dogodność, że jest ciepłą i tanią, bo pud jej kosztuje tam zwykle około 75 kop. sr., rzadko drożej.

PRZEDRUK ZA: E. Ostrowski, *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich*, t. 1, Grodno 1859, s. 204–205.

## Owce kirgiskie

Edward Ostrowski (1816–1859)

Ze Sławiańska wjechałem wkrótce w granice gubernii ekateryno-sławskiej. Coraz bardziej malowniczo zaczęły mi się przedstawiać stepy. Widoki coraz to rozleglejsze, grunt gliniasty, wielka obfitość łąk i pól żyznych. – W tych to już stronach po raz pierwszy ujrzałem prawdziwe zwierzątka stepowe, zwane: *Owrażki* (*Spermaphylus*)<sup>1</sup> i *luszkaczyki* (*dipus*), tudzież czujne i ogromne stepowe ptactwo, *rafy* i *strepety* (*Otis tarda* et *Otis tetrax*). – Okolice, jak i wszędzie, bezleśne, w niektórych miejscach dość kamieniste. Widziałem nawet ułożone z kamieni po wsiach parkany, wybornie zastępujące drewniane. – Szkoda, że okolice Charkowa tak są ubogie w kamienie; bruki naszych ulic stanowią rzecz bardzo kosztowną. Przez miasto powiatowe Bachmut przejechałem w nocy, nie miałem więc zręczności bliżej mu się przypatrzeć. Nie mogę, jednak zamilczeć, że dosyć oryginalnym mi się wydało; rozrzucone po górach i dolinach domy uderzając oryginalnością swych kształtów, zdawały się mówić o wschodnim swym pochodzeniu. Być może samo nazwisko tatarskie tego miasta usposobiło mię do widzenia w nim nocną porą tego, czego w istocie w nim i nie było. Przed Bachmutem w nizinach, przejeżdżając – wieczorem czuliśmy jakiś niemiły zaduch, w samym Bachmucie powietrze było ciężkie i duszące, a poczynająca się tam w tym czasie cholera nader niepokoiła mieszkańców. Nie dojeżdżając jeszcze do tego miasta, spotykałem po drodze ogromne partie owiec pędzone z Czarnomorza do gubernii kurskiej, skąd, drogą handlu, wielka ich liczba dostaje się do środkowych gubernij Rossji. Owce te miały długie, szerokie ogony, nie odznaczały się wszakże cienkością wełny; mięso ich ma być wyborne. Dziwnym mi się wydało, że niektóre ich partie prowadzone były przez brodatych, wielkorogich kozłów. Za każdym

---

<sup>1</sup> Tj. susły.

z nich, w wojskowym prawie szyku, postępowała gromada owiec, do tysiąca sztuk nieraz wynosząca. Dowiedziałem się później, że w wielu prowincjach, do pełnienia obowiązku *prowojera* owiec, który u nas sprawują barany, używają kozłów, gdyż pilniej strzegą porządku i w karniejszym posłuszeństwie utrzymują powierzone im gromady. Lecz jakże to łatwo prowadzić owce! Tu mi się przypomniały wyborne pamiętniki kwestarza, utwor nieporównanego naszego Chodźki, z którym w tej chwili przeniosłem się myślą na Litwę... Lecz nie długom tam gościł, obowiązki bowiem podróznego badacza wnet mię zwróciły ku otaczającym przedmiotom.

Za Bachmutem po raz pierwszy ujrzałem tatarską arbę, rodzaj wozu, a raczej wysokiej skrzyni, od przodu otwartej i ciągnięonej na dwóch kołach przez ładnego konia z rasy zwanej góralską lub kaukaską. Tu mi się zaraz przypomniał półk mużułmański, przez lat tyle widywany w Warszawie; przyszły na pamięć kraszone tysiącem blaszek rzędy na koniach i różnokolorowi ich jeźdźce, i zręczne ich obroty na Saskim placu; i w końcu zwinny ich powrót do Koszar na ulubiony ryż i nieocenioną fajeczkę. W skrzyni tej, czyli arbie, siedział opalony od słońca, śniado-żółtej twarzy Tatar, wiozący z Kaukazu, jak mówił, z Szurji (zapewne z okolic twierdzy Temir-Chan-Szurji) fajki na jarmark bachmucki. Fajki te, dosyć oryginalne, ozdobione jakimiś świecidełkami i złotymi kropkami, naśladowującymi kwiatki, miały być wyrobione z korzenia drzewa *Kyzył*. Później, będąc już w stepach kirgiskich, dowiedziałem się, że wyraz ten znaczy po tatarsku *czerwony*, i poznałem roślinę nad brzegami Kaspijskiego morza i w okolicach jezior Kamysz-Samara rosnącą, którą Kirgizy zowią *Kyzył-Bujak* (*Galium Satureaefolium*). Korzonki jej służą do barwienia pięknym czerwonym kolorem rozmaitych, nawet jedwabnych tkanin, lecz nie mają żadnego prawie podobieństwa z *Kyzyłem*, o którym nam Tatar Chan Szuryjski wspominał.

PRZEDRUK ZA: E. Ostrowski, *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich*, t. 1, Grodno 1859, s. 6–9.

## Muzyka pasterska

Edward Ostrowski (1816–1859)

[...] Kirgizi mają tyle domowych zwierząt, ile dla koniecznych wygod potrzebują. Kilkadziesiąt wielbłądów, kilkadziesiąt sztuk bydła dla masła, mleka i *ajranu*, około sta kłaczy dla kumysu, kilkadziesiąt koni dla jazdy i paręset owiec dla mięsa, mleka, sera lub masła, miał każdy z sułtanów. Trzody te, w czasie naszej bytności, przypędzono dla napojenia z dosyć porządnej studni. Nie będę ci już więcej wspominać tu o zwierzętach domowych, boś słyszał o nich dawniej, lecz wspomnę o ich pasterzach: półnaczy i opaleni, w krótkich tylko spodniach, z wiszącą za plecami, zdjętą z rękawów koszulą, podpędzali do wody każdy swoje oddziały, udając się za nimi konno i popędzając długimi batami; przybliżywszy się do studni, nie zważając bynajmniej na naszą obecność i nie okazując żadnego uszanowania, każdy z nich zeskoczył z konia, pochwycił skórzane wiaderko i zaczął nalewać do koryta wodę dla bardzo spragnionej trzody. Ileż tam przy tym było krzyku, hałasu, kłótni i dąsania się. Wszyscy jakby pijani lub szaleni, widzieli przed sobą tylko samą wodę i zwierzęta; każdy nalewał wodę, jedno zwierzęta tłoczące się odpędza krzykiem, inne uderzeniem, kłóci się o coś z drugimi pasterzami, słowem, cały w gorączkowych jakichś ruchach. Po skończonym pojeniu zawołał sułtan jednego z pasterzy (sławego artystę muzycznego) i powiedział mu, że chcielibyśmy posłyszeć jego muzykę. Wysłuchawszy słów pana z wyrazem jakiejś dzikości i dziwnej głupoty, pochwycił Kirgiz zza pasa dudkę drewnianą, dosyć krótką i pokrytą skórą węża, usiadł od nas na piasku o kilkanaście kroków i zaczął tak dąć nieznośnie, że istotnie wytrzymać było niepodobna; w czasie koncertu, postrzegłszy nasze śmiechy i ciągłe krzywienia się, przypisywał to wyraźnie wrażeniom, wywołanym swoją powabną grą, podniósł się więc z ziemi, i śpiesznym krokiem podszedł ku nam bliżej, niedalej jak o dwa tylko kroki, a pełen dumy i tryumfu usiadł znowu na ziemi

i rozpoczął część drugą koncertu, zupełnie do pierwszej podobną. Dla przyśpieszenia końca tej zachwycającej muzyki Prezes Rady Zarządu dał koncertantowi 25 kopiejek; łakomy Kirgiz skwapliwie je pochwycił, nie podziękował mu wcale, lecz odwracając się od nas i dążąc ku swoim trzodom, mruczał tylko z cicha po kirgisku: „teraz mam bardzo wiele pieniędzy, bo on mi już dawniej dał także jedną monetę”.

Po obejrzeniu trzód Sułtana i po wysłuchaniu pamiętnego mi już na całe życie koncertu wróciliśmy wszyscy do kubitki [...].

PRZEDRUK ZA: E. Ostrowski, *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich*, t. 2, Grodno 1859, s. 72–73.

## Konie i bydło kirgiskie

Edward Ostrowski (1816–1859)

Przed bramami ogrodu kilka powozów zaprzężonych było nader pięknymi końmi. Przy wzmiance o koniach nie od rzeczy będzie wspomnieć, że w odległości wiorst 130 od miasta rozciąga się step zwany konnozawodzkim, który wypasa nieprzeliczone stada koni, należących do 30 różnych zamożnych właścicieli. Stada te żyją tu w stanie pół dzikim, pozostają przez cały rok pod gołym niebem bez żadnej ochrony, w czasie tylko wielkich mrozów (rzadkich tu wprawdzie) i silnych zamieci zimowych dostają one nieco siana, przygotowanego na ten cel w porze letniej. Właściciele koni za całoroczną wolność używania pastwisk wnoszą do kasy ziemi Wojska Dońskiego tylko po 15 kopiejek sr. od sztuki.

Z innej strony miasta, o wiorst 80, znajduje się rządowy zakład stadny Prowaleński, skąd mianowicie wychodzą konie pięknej dońskiej rasy. Wszystko to cię mało zapewne obchodzi, lecz ponieważ zacząłem już cię nudzić nie na żarty, pozwól więc, niech donudzę do reszty. W ziemi Wojska Dońskiego coraz już rzadszem się staje siwe stepowo-ukraińskie bydło rogate, lecz za to, coraz częściej postrzegać daje maść jego gniada, pstra itp. Jest to skutkiem pomięszania rasy czarnomorskiej, siwej, odznaczającej się swym wzrostem, z rasą bydła kałmyckiego, które pochodzi z Małoderlejewskiego ułusu i odznacza się mlecznością. Przez ziemię bowiem Wojska Dońskiego przechodzi trakt przepędu bydła czarnomorskiego ku północnym stronom państwa, a mianowicie ku obu jego stolicom. Ogromne partie pędzonego tu bydła są pod opieką umyślnego na to towarzystwa zabezpieczeń. Nad stanem ich zdrowia, tak na tym trakcie jak i na innych w całym państwie, czuwają oddzielni weterynarze, przy tak zwanych zastawach (rogatkach), czyli, właściwie mówiąc, stacjach obserwacyjnych, których dotąd dyrekcja towarzystwa urządziła już 58 i w miarę potrzeby

coraz więcej urzędza. Owce w ziemi Wojska Dońskiego są po największej części długoogonowe i nie odznaczają się wcale cienkością wełny.

PRZEDRUK ZA: E. Ostrowski, *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich*, t. 1, Grodno 1859, s. 26–28.

## Arystokracja wieprzowa

Jakub Gordon (1827–1895)

Miasto to, środkowy punkt handlu wewnętrznego Unii, złączone ze wschodnią jej stroną za pomocą kolei, z zachodnią przez spławną rzekę Ohio wpadającą do Missisipi, liczy dziś 200,000 mieszkańców, chociaż przed 35 laty wyglądało ono jak wieś, a mieszczenie jak chłopi.

Pyszni i zamożni obywatele tameczni lubią pokazywać cudzoziemcowi dwa rysunki: Cincinnati pierwiastkowe o kilkudziesięciu niekształtnych chałupach i Cincinnati terazniejsze, świetne, ze wspaniałymi ulicami, kościołami, teatrami i gmachami zakładów publicznych i stowarzyszeń.

Wszystko to winni oni zwierzętom, któremi Mojżesz i Mahomet się brzydzili, i które są w pogardzie na pańskich stołach.

– Jak to, świnio m?!... zawoła przenikliwy czytelnik.

– Tak jest! świniom i wieprzkom czyli delikatniej mówiąc: trzodzie, nierogaciznie.

W przeciągu trzech miesięcy zabijają ich tam około 500,000 sztuk. Wszystkie są dobrej tuszy, tak dalece klimat miejscowy im sprzyja. Wędliny z nich dochodzą jako towar do Londynu nawet, pomimo zapowiedzianej przez lekarzy szkodliwej *triszyny*.

Bogaczów z Cincinnati zowią powszechnie arystokracją wieprzową.

Arystokracja ta buduje zwykle swe wille jak najdalej od szlach-tuzów, gdzie kwiczące padają setkami ofiary.

Z tym wszystkim, odszukawszy w Cincinnati Alfreda (z którym zapoznałem czytelnika w pierwszym rozdziale tej książki), i korzystając przez kilka miesięcy z miłej gościnności jego stryja, gdy poznałem się z arystokracją tego miasta, uznałem ją za zającą, posiadającą wiele cnót prawdziwie obywatelskich. Z boleścią serca wyznać mi przychodzi, że pracująca arystokracja wieprzowa podobała mi się lepiej od herbowych pasożytów, którzy z czeladką



swoją wicherzą po dziś dzień w nieszczęśliwej Polsce i na emigracji, biorąc przewagę nad umysłami krótkowidzów, zaślepionych pozorным ich blaskiem. Piękny grobowiec marmurowy ze złożonymi głoski, lecz odkryj go, a obaczysz robactwo w stęchliznie!

PRZEDRUK ZA: J. Gordon, *Przechadzki po Ameryce*, Berlin-Poznań 1866, s.194-195.

## Skrzydółko kurczęcia

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa (1798–1845)

Jak w St. Germain co dzień coś przybyło do moich wypisów z dzieł przeczytanych, tak i tu z przestawania z ludźmi co dzień coś do tej książki przybyć powinno. Czy przybędzie? to inna kwestia. Dziś np. nieobfity plon, uszczknęłam dwie anegdoty, ale z ust Niemcewicza. Widząc on, że jedna młoda panna mało je, zapytał jej się, czy nie naśladuje jednej sentymentalnej Francuzki, która żadnego mięsa jeść nie chciała dlatego, że jej zawsze stała w myśli bolesna śmierć zwierząt. Raz ofiarował jej ktoś skrzydółko kurczęcia, mówiąc: „mangez, il est très tendre”<sup>1</sup>; „il n'en a été que plus malheureux”<sup>2</sup>, odpowiedziała z westchnieniem.

PRZEDRUK ZA: K. z Tańskich Hoffmanowa, *Pisma pośmiertne. Pamiętniki*, t. 3, Berlin 1849, s. 33.

---

<sup>1</sup> Proszę jeść, jest bardzo delikatne/krucze.

<sup>2</sup> I przez to był tylko bardziej nieszczęśliwy.

## Kury po węgiersku

Teodor Tomasz Jeż (właśc. Zygmunt Miłkowski) (1824–1915)

Na kwaterze naszej dobrze się nam działało. Było nami niegłodno i niechłodno. Zajmowaliśmy się kuchnią sami, urządziwszy pomiędzy sobą kolej. Kto się na kolei znajdował, powinien był nie tylko gotować, ale w izbie porządkować i czyścić. We względzie tym wytworzyło się wśród nas współzawodnictwo. Jeden sadił się nad drugiego; wymyślaliśmy potrawy i sposoby przyrządzania takowych. Nie pomnę, który z nas kupił dwie kury, obiecując przyrządzić je po węgiersku. Chodziło jednak przede wszystkim o zarżnięcie kur. Żaden z nas nie chciał się operacji tej podjąć. Nam, cośmy na bagnety uderzali, do uśmiercenia kur serca zabrakło. Po długich wreszcie wahaniach się zdecydował się na to Zamoyski: z nożem i kurami na ganek wyszedł, gardło poderznął jednej i na śnieg ją rzucił, poderznął drugiej i toż samo uczynił i – obie uciekły. Musieliśmy je łapać i Bułgarki o spełnienie nad nimi wyroku prosić.

PRZEDRUK ZA: T. T. Jeż, *Od kolebki przez życie*, t. 1, Kraków 1936, s. 379–380.

## Mięso końskie

Teodor Tomasz Jeż (właśc. Zygmunt Miłkowski) (1824–1915)

Bitwa skończyła się około dziewiątej rano. Przestaliśmy na pozycji do pierwszej zapewne. Słońce dogrzewało, pragnienie paliło; gasiłem je w kałuży, w której zwłoki psa mokły; wreszcie poprowadzono nas do miasta na kwatery. Zajęliśmy kwatery po Austriakach i jedliśmy obiady dla nich przyrządzone. Liczyli oni na to, że nas pobiją i wrócą. Stało się inaczej. Zachowała się mi w pamięci zupa, którą spożyłem: była tak opapryczoną, że chłodziłem sobie gębę winem, wodą i wiatrem. Mięsa nie jadłem, z powodu że na podwórze domu przez drogę przyprowadzono z pobojowiska konia z nogą złamaną, zabito go, ze skóry odarto i na mięso ćwiertowano. Myśl o mięsie końskim apetytu mnie pozbawiła.

PRZEDRUK ZA: T. T. Jeż, *Od kolebki przez życie*, t. 1, Kraków 1936, s. 300–301.

## Paszтет z gęsich wątróbek

Antoni Edward Odyniec (1804–1885)

Nie wiem, czy jadłeś go kiedy; bo ja w Wilnie słyshałem tylko o nim; w Warszawie już go widziałem przez okno u Chovota; ale dzisiaj dopiero skosztowałem raz pierwszy, przy śniadaniu, którem nas towarzysz podróży nasz, David, jako robiący nam honory ziemi Francuzkiej, w pierwszej tutejszej restauracji uraczył. A więc spytasz pewnie, czy smaczny? Jużciż sława nikomu i niczemu nie może przyjść bez zasługi; ale nie idzie za tym, aby każdy zasługę tę jednakowo ocenić umiał. Ja i w gastronomii, widać, jak we wszystkim, niestety, nie mogę wznieść się wyżej nad poziom prostego profana. I powiedz proszę ode mnie dobrej twojej żonie, że owe ciastko w mleku i naleśniki z sokiem, które uprzejmość Jej, jako najulubieńsze moje specjały, na ostatnim u was śniadaniu zastać dla mnie raczyła, zajmują zawsze zenit mego podniebienia; że o nich dzisiaj właśnie przy pasztecie myślałem, i że je sobie z góry u Jej dobroci, na pierwszą da Bóg ucztę po powrocie zamawiam. Wracając zaś do pasztetu – grunt jego jest massa z wątróbek gęsich, a główną ingrediencją trufle. Ale wiesz, jak się ten grunt przysposabia? Oto sadzą gęś najprzód do tak ciasnego kojca czy klatki, że się w niej ani ruszyć nie może, i zaczynają karmić jakimś smacznyimi gałkami. Z początku pewnie cieszy się nieboga, jak młoda żona staro bogacza, kiedy ją ten w dzień ślubu prezentami i klejnotami obsypuje. Ale pociecha prędko przemienia się w męczarnię. Biedne ptaszę, bez ruchu, zaczyna tęsknić i traci apetyt. Wtedy gwałtem jej gałki wpychają do gardła, a im tęsknota bardziej ścisza serce, tym więcej pęcznieje wątroba. Dopiero gdy już ma ją udusić, nóż uprzedza nożyce Parki. Wejdz więc tylko w położenie tej biednej gęsi, a przyznasz, że jest to istny *pendant* losu Prometeusza. Tam ptak bogów pastwi się nad człowiekiem, szarpiąc jego wątrobę, że śmiał sięgnąć w sfery nadziemskie i wykradł im ogień niebieski. Tu ludzie, potomkowie Gallów, mszczą się zda się nad ptakiem,

rozdzymając jego wątrobę, że kiedyś jego przodkowie ich przodkom z rąk już prawie Romę wydarli. W obu zaś razach, i Prometeusz, i gęś, mogliby ująć za symbol uczonego mędrca, który myślał jak Prometeusz, z nieba światło wykrada; a ciałem musi siedzieć, jak gęś, przy stoliku albo w bibliotece, i połykać książki jak gałki. Cierpi zatem nieborak i często kończy na wątrobę, a dzieła jego potem, jak pasztet Strasburski, świat cały pożywa i chwali.

PRZEDRUK ZA: A. E. Odyniec, *Listy z podróży. (Z Warszawy do Rzymu)*, t. 2, Warszawa 1875, s. 6–7.

## Co jedzą mieszkańcy Kamczatki?

Józef Kopec (1762–1833)

Ostatnich dni maja wychyla się słońce zza gór najwyższych, uderza promieniami i prawie w dniu jednym śniegi topi: wszystko gwałtownie, rzeki puszczają, szum niezwykajny morza, latorośle dobywają się z ziemi, dymy od wulkanów wzrastają gęstsze.

Kamczadale wtenczas spuszcza psy swoje, które biegną na brzeg morski i całe lato, aż do późnej jesieni, żywią się rybami wyrzuconymi, dopóki na zimę nie powrócą każdy do swego gospodarza.

Psy te ryb samych nie jedzą, tylko głowy, które są bardzo tłuste i smaczne. Mieszkańce wychodzą z familiami do lasów, kopią różne korzenie, ziemne kartofle, które myszy dla siebie przyspabiają na zimę, zrywają różne pączki od drzew i kwiatów, i za największy specjał jedzą.

*Zabawa druga.* Zaczyna z morza iść ryba do najmniejszych rzek w tak znacznej obfitości, że małymi siateczkami wyrzucają na brzeg wielkie stosy i suszą jak siano, robiąc zapas dla psów na zimę. Ryba ta pierwsza wychodząca z morza, a którą zowią Chachelcza, jest bardzo koścista i podobna do naszych jeźgarzy<sup>1</sup>.

Nadchodzi druga z wielkości podobna nieco do naszych linów, czerwona, z nosem do góry zakrzywionym. Tę rybę biorą prawie rękoma, wyrzucają na brzeg, płatają i suszą także dla psów na zimę. W tym czasie powietrze bywa najgorsze, bo nim te ryby wyschną, powstaje wielki smród, a z nim napada robactwo.

Następuje trzecia, najdystyngowańsza, którą zowią Czewycza, wielkości trzy razy jesiotra, łuska karpiowa w konchach, mięso czerwone, poprzeraśnięte tłuszczem, a którą płatają na polcie i wędzą. Ryba ta służy za chleb, kawałek zjadłszy, można się posilić. Sposób łowienia jest następujący: zbiera się kilkunastu gospodarzy i każdy

---

<sup>1</sup> Jazgarz – ryba z rodziny okoniowatych.

z nich przynosi kilkunasto-sążniowe siatki, plecione z tamecznej pokrzywy, gdyż konopi tam nie znają, Związawszy to w jedno robią sieć niezmiernie długą, tak że połowę rzeki Kamczatki przegradzają. Na wierzchu tej siatki nad wodą mają pouwięzywane lekkie kory dla znaku. Jeżeli ryba wpadnie, wyciągają sieć z największą ostrożnością, bo gdyby powietrza z wody chwyciła, mogłaby wszystkie szalupy powywracać. Ciągną więc siatkę z rybą razem do brzegu; część ludzi czeka prawie po samą szyję w wodzie, każdy zaś ma w ręku szluzę drewnianą. Podnoszą potem siatkę i za pokazaniem się ryby zaraz ją ogłuszają, a wyciągnawszy na brzeg, dobijają.

Chodzą też na różne kępy błot, zbierają niezmierną moc jaj od różnych ptaków jako to: łabędzi, gęsi kilka gatunków, kaczek, kuligów, czajek morskich, etc. i na tym czas im schodzi. Te jaja jedzą nieustannie, a co im w zbytku pozostaje, wrzucają w tłustość wielorybią i konserwują prawie rok cały.

Następuje młode ptactwo, a stare się wtedy pierzy i nie może czas jakiś latać. Wszystko to przebywa w trawach nad brzegami rzek i potoków wpadających do morza. Kamczadale polują na ptactwo. Zaszedłszy od głębi rzek z psami, tysiące na ląd pędzą i zabijają miotłami. Dzień i noc pieką, gotują i jedzą; potem znowu podobne polowanie robią, aż ptactwo nie odleci. Kamczadale bardzo są leniwi i nieprzezorni, bo pozjadawszy naraz zdobycze, później przez kilka dni mrą głodem. [...]

Ze skór jelenich wyrabiają zamsz na lato, spędzając sierść krzemieniem. Malują różnymi kolorami te skóry, gdyż farb naturalnych mają podostatek: suknie zaś przyozdabiają tamborowaniem, włosami zwierzęcymi i lśniącymi trawkami. Sandały czyli obuwie bardzo pięknie wyszywają. Na zimę noszą futra i kapturki na głowie, latem zaś mają odkryte głowy, wiele kos plecionych przy końcu, do których różne konchy i kółka uwiązują. Tamborują twarze, czoła i szyje, nakłuwając ością rybią do krwi, które potem smarują farbami i to już zostaje na zawsze. Kobieta najwięcej takiego wyszycia na sobie mająca jest według nich tym większą elegantką i tym bardziej dystinguje się nad inne.



Robią koszule z kiszek jelenich, które wyczyściwszy, zszywają jelenimi żyłami i od dżdżu kładą na siebie.

Robią też suknie z nurków morskich, które są niewypowiedzianej piękności, w różnych kolorach odmieniając się. Dla osobliwości robią też suknie z kamienia śludą zwanego, który daje się drzeć na najcieńsze arkusze papieru i służy tam za szyby do okien. Suknia takowa w ogień rzucona nie spali się. [...]

Następuje polowanie na wszelakie ptactwo, które biją w ten sposób. Robią siatki z tamecznej trawy, uwiązują do dwóch wielkich żerdzi i stawiają po rowach i wąwozach idących z gór do jezior. Tam całe ptactwo różnego rodzaju przebywa, żywiąc się orzechami wodnymi, a tak jest tłuste, że wysoko podlecieć nie może. Gdy więc noc nadchodzi, owe ptaki ciągną rowami i wąwozami do wody świeżej do rzek spadających, gdzie najmniej po kilka kóp w rozpięte siatki się płacze i tak przez noc wielkie stopy tego zbierają. Ponieważ zaś tak wielka liczba razem wpada, gęszą je miotłami i szyje odkręcają. Zjeść tego wprędce nie mogą ale robią zapasy aż do wiosny. Kopiają rowy długie, gdzie nakładają różne drzewa pachnące, a związując po parze żyłami na żerdziach wędzą. Wykopawszy na półtora łokcia, dopiero chowają te ptaki i konserwują; które tak są smaczne jak najprzedniejsze pulardy; to tylko że nadto są tłuste. [...]

Wiedząc gdzie ich jest największe mnóstwo, stawiają pastki na drzewach z pieczoną rybą; soból, przeskakując z drzewa na drzewo, trafia na pastkę, spieszy do ryby i zostaje w niej ujęty. Zostawisz pastki samym sobie przez kilkanaście dni, myśliwi idą z psami między cedry, wypędzając sobole na drzewa i biją z łuków tępymi strzałami, mierząc w sam łeb, żeby skóry nie popsuć. Przychodzą później do swoich pastek, wybierają zapadłe sobole i z tą zdobyczą wracają do domu, gdzie gromada różnych kupczyków z wódką, tytunem i innemu cackami na nich czeka. Te kupczyki za nic prawie nabywają prześlizczone sobole, lecz uczęstawwszy ich i zabrawszy zdobycz, muszą uciekać, bo Kamczadale odurzeni trunkiem gotowi im życie odebrać. [...]

U Kamczadałów największe nieszczęście i głód, gdy morze nie wyrzuca wieloryba, co się rzadko zdarza. Wieloryby, zbliżwszy się do brzegu, już nie mogą się wrócić na morze, bo cała forsa<sup>2</sup> balansu ma się do ziemi. W najpóźniejszą jesień największe bywają szturmy, porywają bałwany morskie wieloryby blisko brzegów, łomią je i miotają nimi po kilkanaście razy; zabrawszy je z brzegu, znowu na brzeg unoszą i wyrzucają. Tu dopiero następuje wielkie ukontentowanie dla Kamczadałów; którzy z całej kolonii zbierają się, nakładają wielki ogień i zaczynają naprzód losy rzucać między sobą, komu jaka cześć ma się dostać wąsów od wieloryba. Najpotrzebniejsze są dla nich te wąsy, których używają do obwodu łuków, na łyżwy dla siebie i na podbicie sanek.

Bywa czasem, że nie mogąc się zgodzić, zabijają jedni drugich. Później zaczynają transzerować wieloryba, odwalając ogromne bryły tłustości, gdyż w nim mięsa jest mało. Tłustość ta służy im przez całą zimę do oświecania mieszkań. Czas długi minie, nim oni wieloryba rozbiorą i przewiozą. Zaczyna już śmierdzieć, wiatry morskie unoszą na ziemię te smrodliwe zapachy, co niedźwiedzie poczuwszy, idą stadami za owym wiatrem, nie zbliżając się nagle, ale po kilkadziesiąt kroków postępując i wstrzymując się Kamczadale różnie ich straszą, nakładaniem wielkich ogniów i krzykiem, lecz oni na to nie dbając, coraz bliżej przystępują tak, że mieszkańcy zmuszeni są opuszczać zdobyc i uchodzić do swoich siedzib. Potem niedźwiedzie wpadłszy, już kończą wieloryba z pomocą tyśiącznych morskich czajek. Po upływie dwóch dni same już tylko widać kości, z których wybierają pacierze grzbietowe i zawożą do osad na fundamenty domów.

PRZEDRUK ZA: *Dziennik podróży Józefa Kopcia*, przedmowa A. Mickiewicza, Paryż 1867, s. 45–46, 47–51.

---

<sup>2</sup> Tj. siła, ciężar.

## Psie mięso

Józef Kopec (1762–1833)

Dla oszczędzenia żywności dla psów Kamczadale byli zmuszeni zjadać psy same. Już nam przychodziło ginąć w tym miejscu. Psy, nie odbierając swej porcji zwyczajnej, na siłach ustawały i między sobą się gryzły, rozrywając słabsze. Żadnego futra, rękawic ani kaptura przed nimi położyć nie można było, bo to wszystko z głodu porywały i zjadały. Ja miałem cokolwiek jeszcze żywności, jako to: mięso odgotowane jelenie, trochę ryb wędłych i część małą okruszyn sucharów w woreczku skórzanym, co mi komendant udzielił na drogę. Miałem prócz tego herbatę i trochę wódki, a ten cały mój magazyn idąc spać pod głowę kładłem, gdyżby mi to ukradziono.

Wypadało nam jeszcze przebywać miejsce z całego wojażu najokropniejsze, przez górę bardzo wyniosłą, która Rosjanie i Syberianie nazywają Babuszka.

Właziliśmy na tę górę z niewypowiedzianą trudnością. Przez kilkanaście dni nieraz sanie i psy w tył się cofały. Spuszczaliśmy się z jej wierzchołka, mając u nóg niby łyżwy nabijane gwoździami, podobne do szczonek. Za siedzenie służyły nam małe czółenka z rzemieni, a na rękę rękawice z gwoździami. Psy wyprężone same się spuszczały, zlatując kłębkami tak poplątane, że się wstrzymać nie mogły. Ekwipaże staczano, my zaś wszyscy zjeżdżaliśmy na owych czółenkach. Niebezpieczeństwo, a raczej niepodobieństwo było przeprowadzić się przez tę górę, gdyby nie krzaki cedrów wyglądających spod śniegu, za któreśmy się chwyтали, straciwszy równowagę niewątpliwa czekała nas zguba.

Spuściwszy się z owej straszliwej góry, spotkaliśmy Tunguzów z wielką trzodą jeleni, u których znaleźliśmy pod dostatkiem wszelkiej żywności dla siebie i psów. Tunguzowie byli nam wielce radzi; zabili młodego jelenia, którego język sam gotowałem i był bardzo smaczny. Tu wszystkie narody na każdym weselu i biesiadach nim traktują i bez niego obejść się nie mogą.

Nazajutrz przybyliśmy do portu Ochocka, skąd dawniej wypłynąłem, udając się do niższej Kamczatki.

PRZEDRUK ZA: *Dziennik podróży Józefa Kopcia*, przedmowa A. Mickiewicz, Paryż 1867, s. 69–70.

## Życiodajne guano

Jakub Gordon (1827–1895)

Yankee, mój towarzysz podróży – wedle jego własnego opowiadania – był w młodości prywatnym nauczycielem języków, następnie przez długi czas dentystą; że zaś miał nieszczęście nadwerżyć szczękę jednej damie, która zepsuła mu wzięcie przez ogłoszenie go w pismach publicznych jako niezgrabijasa – porzucił więc rzemiosło i zajął się dostawianiem do Europy nawozu ptasiego, zwanego *guano*, na czym ogromną zrobił fortunę.

Przed opuszczeniem Hawru widziałem tam w przystani okręt naładowany workami napelnionymi *guanem*, delikatnym i miękkim proszkiem czekoladowego koloru, sprowadzonym dla rozproszenia go po polach w celu użyznienia takowych. W niemiły sposób raził on me powonienie mocnym zapachem amoniaku.

Obecnie, gdy handel *guanem* nabrał tak wysokiego znaczenia na całym świecie, nie od rzeczy będzie poznać czytelnika z peruwiańskimi ptakami, znoszącymi *guano*.

Gniazdo ich, ciekawy i malowniczy to obrazek!

Rzecz doświadczona, że te narody są najbiedniejsze, których ludność ubiega się jedynie za poszukiwaniem drogich kruszców i kamieni na ziemi swojej, a zaniedbuje uprawę roli. Podobnie się stało z prowincją Peru, gdy najezdnicy Hiszpanie rzucili się tam chciwością do kopalni złota. Rolnictwo tej kwitnącej prowincji upadło i nie podniosło się aż do r. 1840 – *guano* poszło w zapomnienie.

Wtem jeden z przyjaciół pana John F..., podobny do niego *yankee*, nazwiskiem Franciszek Quiros, zjawia się w Limie, staje przed rządem peruwiańskim i prosi o wypuszczenie mu w arendę *guana*, ofiarując za wywóz rocznie 10,000 piastrow (80,000 złp.).

Niespodzianka ta zwróciła uwagę publiczną. Zaczęto szperać i dowiedziano się, że nawóz ten przedawano już cichaczem od niejakiego czasu w Anglii po cenie 140 piastrow za beczkę.

Wypuszczono go więc w dzierżawę na pięć lat, lecz za cenę 480,000 piastrow; po upływie tego czasu w r. 1847 rząd zachował dla siebie prawo wywozu drogiego produktu.

W 1852 r. handel *guana* wzrósł w takim postępie, iż przyniosł 4,500,000 piastrow dochodu.

O kilka mil od brzegu peruwiańskiego znajdują się wyspy, czyli raczej grupa skał zwana Chinchas, nakryta pokładem, grubości około piętnastu łokci, nawozu *guano*, zbitego ciężarem wieków na masę. Pył ulatujący z niej wpada do gardła, zamienia się w klejowatość, przenika odzież, osiada na oczach, w uszach, lecz nie jest szkodliwy zdrowiu. Emigranci Chińczycy są użyci przez rząd Limy do ładowania okrętów tym towarem, pod dozorem urzędników celnych.

Ileż to potrzeba było wieków i ile miriadów ptactwa do złożenia takiego zapasu!...

Lecz jest to bogactwo, które wkrótce wyczerpane zostanie.

Niezmierny napływ drobnych ryb około wybrzeży ma być przyczyną gromadzenia się tam ptaków karmiących się nimi. Chmury tych ptaków żeglują w powietrzu po nad wodą, i na raz, jakby na komendę, całe ich pułki rzucają się z szybkością na powierzchnię morza i ulatują na skały, do swego siedliska, każdy ze zdobyczą w dziobie.

Po uczcie zasiadają spokojnie na wodzie, aby odpocząć. Zajmujący widok, jak one się szykują gromadami – każda gromada obejmuje gatunek.

Pelikany stanowią najpowabniejsze grono. Gatunki owe różnokolorowego ptactwa nigdy się z sobą nie mieszają, każdy pilnuje swojego obozu.

Są one protegowane przez rząd miejscowy; płaci ten karę, kto się ośmieli je płoszyć; niegdyś groziła za to kara śmierci. Dla tego tak są one obłaskawione, że zaledwie ustępują z drogi tratwom płynącym po zabór ich *guana*. Nade wszystko pelikany przeprowadzają wzrokiem statki i witają ludzi spokojnie swym klekotem z taką powagą, jak gdyby rozumiały użyteczność usługi, jaką im świadczą.

Wyspy Chinchas są nie tylko gniazdem, dziedziną, gdzie składają jaja, ale zarazem ich cmentarzem. Pokój, którego tam doznają przez ciąg całego życia, sprawia, iż obierają te miejsca za swą mogiłę.

– Poczciwe ptaszki! pomruknął p. John, kończąc opowiadanie.

PRZEDRUK ZA: J. Gordon, *Przechadzki po Ameryce*, Berlin–Poznań 1866, s. 158–159.

## Ogłoszenia drobne i listy





## Ogłoszenia drobne

### „Gazeta Warszawska” 1812, nr 104

#### *Doniesienia.*

Dnia 26 grudnia 1812 r. w południe między 12stą i 1wszą, zginął szpicz mały, biały, z czarnymi oczami, włos biały, długi, odbiegł swego Pana między K[?] i Zamkiem, może też przez całe Krakowskie Przedmieście ku Nowemu Światu. Kto tego szpiczka odniesie i odda do Pałacu Xięcia Mikołaja Sapiehy pod nr m 1203 na Nowym Świecie w stacji dolnej po prawej stronie, odbierze złotych dwanaście nro 12 w nagrodę. Dan w Warszawie d. 27 grudnia 1812.

### „Gazeta Warszawska” 1812, nr 1, s. 13

Gospodarz jednej kawiarni w *Pest* (w Węgrzech) miał od dwóch lat na łańcuchu niedźwiedzia. Ten urwawszy się, chociaż za łaskawego miany, rzucił się na ośmioletniego syna kucharza, i pozbawił go ręki i oka; były go nieochybnie rozszarpał, ale niedźwiedzia z fuzji ubito.

Dnia 10 grudnia w bliskości *Schönbrunn* pod *Wiedniem* polaowało kilku szlachty w sposób wcale nowy. Kilkaset gołębi i bażantów puszczono na powietrze, do których strzelcy w okrąg ustawieni strzelali. Zamiast zajęcy puszczono króliki, ale te częścią dla zimna, częścią dla nowości miejsca biegać nie chciały.

### „Gazeta Warszawska” 1812, nr 3, s. 60

#### *Doniesienia.*

Z dnia 4tego na 5ty miesiąca stycznia rb. na probostwie w miasteczku Radzyminie, w Powiecie Stanisławowskim, Departamencie Warszawskim, skradziono koni troje; to jest: Konia gniadego z małą gwiazdką na łysinie, mierzyn dobry lat 9. Klaczkę maści wcale siwej bez odmiany, składu pięknego w roku 3cim, już żrebna, wzrost średni. Klaczkę płowo gniadą w roku 2gim, ale wzrostu mierzyna średniego, pod kałdunem nieco podpasłą; sanki parokonne lekkie z pudełkiem nowo zreperowane; 2 pary lejców rzemiennych,

kantary, połszorki stare ordynaryjne, siodło, chomąto &c. Nagrody za zwrot tej szkody zaręczam czer: zł: 6.

**„Gazeta Warszawska” 1812, nr 4, s. 74**

W Montor, w departamencie Haute-Marne, modlono się nad ciałem pewnego zmarłego. Wtem dał się słyszeć głos z trumny. Wszyscy wraz z Xiędzem uciekli. Pewien żołnierz odważył się otworzyć trumnę, a gdy to uczynił, wyskoczył z niej kot wielki.

**„Gazeta Warszawska” 1812, nr 4, s. 78**

Prezydent Policji Miasta Stołecznego Warszawy, podając do wiadomości publicznej, iż para Koni na ulicy błakających się schwytaną i zabezpieczoną została, wzywam właściciela onych, aby do Bióra mego stawił się i po udowodnieniu własności też parę koni odebrał. Dan w Warszawie dnia 8 stycznia 1812.

Zabłocki, P. P. S. M. W. Królikowski, Sekr.

**„Gazeta Warszawska” 1812, nr 7, s. 123**

W dziele pod napisem: *Fizyczno-ekonomiczna Biblioteka* czytamy między innymi, iż pszczoły można chować zimą bez karmi, wstawiając je do lodowni, i zamrażając je tamże. Drętwieją one w ten sposób, lecz za ogrzaniem słonecznym przychodzą do siebie.

W *Numwirth* przy *Leodium* mieszka pewny gospodarz, któremu kury zimą i latem niosą jaja. Skutek ten sprawia dawany im pokarm – Zwierzchnią łuskę siemienia lnianego suszy on naprzód w piecu; potem miele ją drobno, i w wodzie mąkę gotuje. Przydaje do tego nieco otrąb pszennych i mąki zmielonej z żołądźci. Z tego wszystkiego robi gatunek chleba, i daje go swym kurom.

**„Gazeta Warszawska” 1812, nr 8, s. 136**

*Prezydent Policji Miasta Stoł: Warszawy.*

Gdy dobry porządek i gospodarstwo myśliwskie wymaga, ażeby tak ptactwo dzikie na zimę nieodlatujące, jako też inne zwierzęta, które do pożywienia ludzkiego służą, w czasie do ich rozmnożenia

potrzebnym niszczoneymi nie były, przeto ponawiając wydane przeze mnie w tej mierze w dniu 18tym 1810 i 15tym lutego 1811 obwieszczenie, ostrzegam każdego myśliwem się bawiącego, a na ostatek i na własny użytek kupujących, iżby nikt nie ważył innej zwierzyny na targi tutejsze przywozić, onej sprzedawać lub kupować, zaczynając od dnia 1 marca r. b. aż do dnia 24 sierpnia tegoż samego roku, prócz następujących jako te: dzikich gęsi, dzikich kaczek, cyranek, chruścieli czyli derkaczów, kulików, wszelkiego gatunku słomek, bekasów, batalionów, trakawek, dzikich gołębi i wodnych kokoszek, gdyż spostrzeżone przy wjeździe do miasta przez rewizorów lub strażników policyjnych, zaś na targach lub innych miejscach przez kommisarzy cyrkulowych i ich subalternów, natychmiast konfiskowane i do szpitalów oddane będą, i oprócz tego przekraczający strofem pieniężnym ukarany zostanie.

Zakaz niniejszy do zwierząt drapieżnych nie rozciąga się, gdyż wszelkie tegoż rodzaju w każdym czasie zabijać jest wolno.

Aby zaś niniejsze urządzenie każdego wiadomości doszło, takowe w trzech gazetach po sobie następujących umieszczone, i tyleż razy przy trąbie ogłoszone mieć chce. – Dan w Warszawie dnia 26 stycznia 1812.

Zabłocki P. P. M. W.

**„Gazeta Warszawska” 1812, nr 8, s. 140**

W Stambule zapalił się był dom greckiego tłumacza. Za pomocą kilku janczarów uratował on swój skarb i ruchomości. Ale zapomniano dziecięcia w kolebce, a wejść już nie było można, bo płomienie wszystko ogarnęły. Nieszczęśliwy ojciec rozumiał, iż już dziecię utracił; aliści wielki pies jego wybiegł z domu, trzymając w paszczy dziecię za powijak, i położył je w progu domu przyjaciela pana swego. Któż zgadnie, jaka spotkała nagroda tak wspaniałe zwierzę? Oto tłumacz zabił go własną ręką i wraz z rodziną zjadł go na wielkim, na cześć jego danym obiedzie, mówiąc te słowa: – Nadto jest szlachetny ten pies, aby się miał stać pastwą robactwa;

niech się więc z krwią ludzką zmiesza, która przeto stanie się wspa-  
niałomyślniejszą, czulszą i cnotliwszą.

(z *Gazety Berl.*)

**„Gazeta Warszawska” 1812, nr 9, s. 160**

*Doniesienia.*

Piesek angielskiej rasy, czarny, z czterema kasztanowato podpalanymi łapkami, z białą gwiazdeczką na piersiach, bez ogona i z uciętymi uszkami, zginął dnia 29 stycznia. Kto by go znalazł, zechce się udać do domu J. Pana Aloe, Ogińskie zwanym, przy ulicy Długiej pod N. 561, gdzie przyzwoitą otrzyma nagrodę.

**„Gazeta Warszawska” 1812, nr 12, s. 216**

*Doniesienia.*

Dnia 10 b.m. na Ulicy Kapitulnej zginęła suczka ze Spiców, biała cała. Mający o niej jaką wiadomość raczy się zgłosić na ulicę S. Jerską pod ner 1767 na dole, a za to odbierze przyzwoitą nagrodę.

**„Gazeta Warszawska” 1812, nr 15, s. 268**

*Doniesienia.*

Z dnia czwartego na piąty bieżącego miesiąca i roku wyprowadzono ze stajni nocnym sposobem dziedzicowi wsi Krzyżanek pod Krebią w Powiecie Krobskim W. Romanowi Bronikowskiemu parę koni mianowicie klacz karą podpalaną źrzebną z obgryzionym ogonem lat 10 do 11tu mającą bez odmiany, i wałacha brudnogniadego bez odmiany 6 lat mającego; konie te są miernego wzrostu. Uprasza się każdego, ktokolwiek by takowe konie wyszedził, one przyaresztować racyl i wspomnianego powyżej dziedzica wsi Krzyżanek o tym uwiadomił przez pocztę, który poniesiono ztąd koszta z przyzwoitą nagrodą zwrócić przyrzeka.

Ze Środy Popielcowej na czwartek, we wsi Janewku pod Warszawą, skradziono podróżnemu dwie klacze; jedna była jasno kasztanowata z białą wązką strzałką między oczami, z uzdzeni-  
nicą rzemienną, mająca lat 8, druga skaro-gniada bez odmiany ze łbem tłustym, skazująca lat 7, w chomoncie ciemnopąsowym

manszestrem wykładanym. Obiedwie mierne i kute na przednie nogi. Wynalazcy przeznaczają się czterech: zł: 3, i ma się udać na drugie piętro w Pałacu Teperowskim w Warszawie Nr. 495, na ulicy Napoleona, lub do właściciela we wsi Gorkach, w Powiecie Łosickim, Departamencie Siedleckim, na probostwie mieszkającego.

**„Gazeta Warszawska” 1812, nr 18, s. 312**

W królestwie włoskim pomnażają się co rok trzody owiec, prawdziwego rodu hiszpańskiego. W roku zeszłym sześć nowych trzod przybyło. Cena jednego barana lub owcy maciory jest 100 lirów włoskich. Co się zaś tyczy najprzedniejszego rodzaju *Merinos* zwanego, takie barany kosztują 10 do 30 luidorów. Fabryka Pana *Antonio Guaita* w *Como* wyrobiła roku przeszłego z wełny przez Pana *Dandolo* dostarczonej sukna nieustępującego w niczym najpiękniejszym zagranicznym. Przed 10-ciu laty trzeba było wszystkie sukna z zagranicy sprowadzać; teraz, gdy ich dowóz zakazany, uczą się Włosi sami opatrywać w potrzeby swoje. Przedtem w Królestwie Włoskim wyrabiano wełny zagranicznej za 5 milionów lirów, a przynajmniej 4 miliony płacono cudzoziemcom za cienkie i ordynaryjne sukna, lub inne wehiano materie. Te wielkie summy mogą teraz nasi gospodarze wiejscy i fabrykanci sami zarobić. Już w przeszłym roku rozdano włościanom po kilka baranów, kto w roku bieżącym 1812 przysposobi sobie trzodę złożoną z 100, 200, 300 lub 400 owiec, i zobowiąże się przez 6 lat przynajmniej one ciągle utrzymywać, dostanie w pierwszym przypadku 3, w drugim 6, w trzecim 9, a za 400 owiec, 12 młodych pięknych baranów hiszpańskich w podarunku. Niech więc wszyscy dobrze myślący gospodarze wiejscy pomnożenie się i polepszenie hodowania owiec w Królestwie Włoskim poczytują za interes narodowy, a przez to wspierają dobroczynnie rządowi zamiary.

**„Gazeta Warszawska” 1812, nr 18, s. 316**

Z *Genui* 29 stycznia

Mieliśmy tu znowu dwa trzęsienia ziemi. Pierwsze było dnia 26 wieczorem o godzinie 10tej i 40tu minutach, a trwało 3 minuty; drugie

nastąpiło nazajutrz po południu o 4tej i 50 minutach. Oba wprawdzie nie zrzuciły żadnej znacznej szkody, ale często ich powtarzanie zaczyna sprawiać obawę między mieszkańcami. W *Acani* i innych okolicach naszego sąsiedztwa nierównie mocniejsze były. Godna uwagi jest przy tym ta okoliczność, że konie i muły będące w drodze zatrzymały się podczas trzęsienia ziemi i dalej iść nie chciały.

**„Gazeta Warszawska” 1812, nr 23, s. 410**

Przy St Quentin we Francji opadłszy morze d. 7 lutego, zostawiło na piaszczystym brzegu żywego ogromnego wieloryba. Zoczywszy go mieszkańcy, zbiegli się dla popłatania go w sztuki. Zapewniają, iż dla zwiezienia go do miasta użyto przeszło 30 wozów czterokonných, i spodziewano się mieć z niego 4000 funtów tłustości. Ugodzony zrazu rydlem tak przeraźliwie krzyknął, że kilkoro ludzi upadło na ziemię ze strachu, i leżeli bez zmysłów.

**„Gazeta Warszawska” 1812, nr 23, s. 416**

Prezydent Policji Miasta Stołecznego Warszawy, podając do wiadomości publicznej, iż koń z saniami na ulicy zabłąkany zajętym i zabezpieczonym został, wzywam właściciela, ażeby do bióra mego zgłosiwszy się, tegoż konia wraz z saniami po udowodnieniu, że jest jego własny, odebrał. Dan w Warszawie dnia 16 marca 1812.

Zabłocki, P. P. M. S. W.

**„Gazeta Warszawska” 1812, nr 24, s. 427**

Mac Arthur, officer irlandzki w Port Jakson w południowej Walii założył r. 1803 gospodarstwo wiejskie z 7 krowami, 12 owcami, 30 świniami, a w roku 1811 liczył 4600 owiec, 900 wołów i krów, i wielkie stada wieprzów. Oprócz tego, sprzedał w przeciągu tego czasu 20,000 sztuk bydła.

**„Gazeta Warszawska” 1812, nr 26, s. 466**

Dnia 30 marca r. 1812 zginął piesek wyżeł, na ulicy Leszno, zwany Grymas, kto go znajdzie odbierze czer: zło: 50 złotem nagrody.

**„Gazeta Warszawska” 1812, nr 28, s. 502**

Prezydent Policji Miasta Stołecznego Warszawy, podając do wiadomości publicznej, iż woz z parą koni, oraz jedna piła, dwie kosy i dwie siekiery osobie do posiadania onych niepodobnej odebrane i zabezpieczone zostały, wzywam właściciela, ażeby się w biorze mojem stawił, i po udowodnieniu własności, takowy woz z końmi etc. odebrał. Dan w Warszawie d. 2 kwietnia 1812.

Zabłocki P. P. M. S. W.

**„Gazeta Warszawska” 1812, nr 39, s. 695–696**

Oto jeszcze niektóre okoliczności tyżące się trzęsienia ziemi w Rzymie w nocy z 21 na 22 marca. Dawał się słyszeć dźwięk podobny do wydawanego od stłuczonych tysięcy szklanych rurek. Prawie wszystkie domy i inne budowle podostawały rozpadlin. [...] Kobiętę u rzeźbiarza mieszkającą spotkał szczególniejszy przypadek. Ze strachu schowała głowę między dwie poduszki. W chwilę potem upadł na łóżko posąg Herkulesa przy łóżku stojący, i gdyby nie poduszki, pewno by kobietę o śmierć był przyprawił. Donoszą od brzegów, że w czasie trzęsienia ziemi morze strasznie było wzburzone. Zwierzęta żalosne wydawały ryki. Nazajutrz jeszcze nawet koty wpadały w konwulsje i odurzone padały.

*Przestroga dla Włościan*

Włościanin, który przez długą zimę z wielką tylko biedą mógł żywić bydłę swoje, śpieszy za nadejściem wiosny wyganiać je na zieloną paszę. W braku suchej stawy nie może on użyć owych ostrożności środków, jakich przejście od suchej, a częstokroć nieposilnej stawy do soczystej zielonej paszy koniecznie wymaga.

Mało jest takich włościan, co każdemu bydłociu przed wyganiem go na pastwisko mogą dać trochę siana lub słomy, albo też otrąb lub ziarna szrótowanego, zmieszanych z solą. Zdarzająca się przy takowej zmianie stawy biegunka może jeszcze bardziej wycieńczyć i tak już zwątlone bydłę, a przez to powiększyć włościanina nędzę.

W celu zmniejszenia ile możności tego nieszczęścia następująca udziela się rada:



Nie trzeba wyganiać na wiosnę bydła przed wschodem słońca, ani na pastwiska okryte szronem lub rosą, aż póki słońce szronu lub rosy nie strawi. Dopóki bydlę przy zmianie stawy i okazującej się stąd biegunce, trwającej zazwyczaj tylko przez 3 lub 4 dni, zachowuje rzeźwość, moc i chęć do jadła, dopóki odchód jest farby naturalnej i zapachu, dopóty żadnego nie masz niebezpieczeństwa. W przeciwnym zaś razie, gdy bydlę okazuje dolegliwość jaką; gdy się nagłe odmiany gorączki i zimna, połączone to z prędszym, to z wolniejszym oddechem postrzegać dają, natenczas pomoc konieczna jest potrzebna.

Do najskuteczniejszych lekarstw w tym razie należą: woda wapienna, świeżo sporządzona. Daje się jej rano pół funta, i tyleż na wieczór, przydawszy do niej jedną lub dwie łyżki soku jałowcowego. *Sposób robienia jej następujący*: Na funt czystego i świeżo gaszonego wapna leje się z wolna 30 funtów wody; po wyszumieniu precedza się i chowa do użycia w butelkach dobrze zatkanych.

Proszek z kory wierzbowej. Daje się go po 3 łoty rano i tyleż na wieczór, przerobionego z trochę miodu praśnego lub soku bzowego na pigułkę.

Kora dębowa na proch starta, rano i w wieczór po łócie dawana.

Oprócz biegunki przy zmianie stawy, obawiać się jeszcze należy nadymania bydłęcia.

Klistery z solonego dekoktu siana wcześniej użyte, mogą cokolwiek pomóc. Skuteczniejsza zaś jest mieszanina z równych części mleka i oleju lnianego lub oliwy, dawana co godzina po funcie. Mocne nacieranie wzdętego brzucha wodą zimną, jest tylko dodatkowym środkiem. Gdy wzdęcie jest zbyt znaczne, w przy tym mocne wyprężenie, przekłucie brzucha tylko pomóc może.

Doradzona ilość powyższych lekarstw zastosowana jest do zupełnie dojrzałych bydła, i ta według okoliczności, gdyby skutek wkrótce nie nastąpił, jedną ósmą częścią jeszcze powiększona być może. Cielętom daje się czwarta część, a młodym bydłętom połowa zwyż przepisanej ilości.

**„Gazeta Warszawska” 1812, nr 41, s. 736***Doniesienia.*

Na dniu 11tym maja 1812 roku zginął pies duży kosmaty biały, uszy i głowę mający czarną, do połowy ostrzyżony, w podobieństwie lwa, na szyi ma obrączkę z żółtej blachy z napisem przy końcu: Teinfaltstrasse nro 74 in Wien. Kto by go znalazł, lub miał u siebie, niech się zgłosi do pałacu błękitnego przy ulicy Senatorskiej pod nrem 472 do szwajcara, a za to odbierze przyzwoitą nagrodę.

**„Gazeta Warszawska” 1812, nr 45, s. 808***Doniesienia.*

Prezydent Policji Miasta Stołecznego Warszawy, odezwą JW Prefekta Departamentu Siedleckiego zawiadomionym będąc, iż do maszerującego Pułku 1 Huzarów Westfalskich w marszu z Warszawy do Garwolin, cztery konie wałachy i klacz jedna przybłąkały się, które to konie przez tenże pułk w mieście Garwolinie u tamtejszego W. Podprefekta zostawione zostały,zywam właściciela takowych, ażeby w przeciągu dwóch tygodni do Kancellarii Prefektury Departamentu Siedleckiego końcem udowodnienia swej własności zgłosił się, w przeciwnym bowiem razie przez licytacją sprzedanymi będą. Dan w Warszawie dnia 4 czerwca 1812.

Zabłocki, P. P. M. S. W.

**„Pamiętnik Lwowski” 1819, marzec, s. 192–193**

## Brytan z Alpów

(La morale en exemples T. 11 p. 205)

Dla ochronienia przechodniów od zbyt często zdarzających się przypadków, w dzikich i niedostępnych górach Szwajcarii, są pobudowane domy schronienia (hospices), w których obłąkany lub zgłodniały pielgrzym znajduje pożywienie i tymczasową pomoc.

W tych to domach schronienia wychowują brytanów, które przechodząc po krętych i niebezpiecznych ścieżkach, wyszukują podróżnych. Każdy z nich ma łańcuchem do szyi przywiązaną

oplataną butelkę z gorzałką. Tak są wyuczone, iż gdy znajdą podróżnego, podają mu ten posilający trunek i prowadzą niepewne kroki jego do domu schronienia. Jeden z tych brytanów, przechodząc ścieżki podług swego zwyczaju, zdybał chłopczynę sześciolatniego, którego matka wpadła w przepaść śniegową, i której nie zdołano wynaleźć. Przejęte zimnem, osłabione przez głód, bólem i długim chodem, leżało niewinne to dziecko, płacząc rzewnie wśród drogi. Na ten widok brytan przybiega do niego, a podnosząc głowę, pokazuje trunek pokrzepiający. Nie rozumie go dziecko i przestraszone widokiem psa ogromnego, usiłuje nadaremnie uciekać. Brytan chce je ośmielić, podnosi z wolna łapę, kładzie ją jeszcze wolniej na nóżkach dziecięcia, rusza ogonem i liże skośniałe od zimna rączki.

Ośmielone takimi dowodami dobroci, usiłuje biedna dziecina podnieść się, lecz nogi, ręce i wszystkie członki tak są przeziębione, iż z sił opadła pada na ziemię. Litując się nad jego słabością, znajduje dobry pies sposób zaradzenia temu, kładzie się na brzuch, przysuwa się do dziecięcia i znakami wyraźnymi daje mu poznać, by usiadło na jego grzbiecie, dziecko wygrzebuje się jak może i zgięte we dwoje trzyma się swego wierzchowca, który je do domu schronienia przynosi, gdzie mu potrzebny dano ratunek.

Ten czyn mocne uczynił wrażenie w całym kantonie. Majętny pewien obywatel przyjął za własne dziecko tę sierotę i zalecił sławnemu malarzowi w Bernie wymalowanie tego wypadku. Obraz został umieszczonym w tym domu, w którym brytan usługiwał.

An...Kr...

### „Telegraf” 1853, nr 10, s. 37–38

Suczka Pani N... w uroczystym oczekiwaniu zostania matką, nadzwyczajnych doznawała cierpień – przerażona Pani N. o nieocznione faworyty zdrowie, posłała karetę po akuszerkę i lekarza. Obie uczone osoby przybyły i z wielką powagą odbywszy konsultację, przez trzy dni niosły pomoc pacjentce z taką usilnością, że wreszcie pod koniec trzeciej doby ku powszechnej radości

pięcioro zdrowych i w należytej sile szczeniąt ujrzało światło  
dienne.

Pani N. z przepelnionym od radości sercem i z łzawym od  
wdzięczności okiem, hojnie bo około stoma guldenami obdarzyła  
powtórnych dawców życia ulubionej psiny.

Nie jestże to czyn budujący – rozczulający – rozdierający –  
i szlachetny????

## Listy

Adam Mickiewicz (1798–1855)

### Do Józefa Jeżowskiego, Kowno, 8/20 kwietnia 1820

Miałem nazajutrz po przyjeździe straszny, ale nieszkodliwy przypadek. Jeździliśmy na słomki<sup>1</sup>. Balbiani, konno hasając, zwałął kilka razy kapelusze w błoto. Zaprosił mię tedy na rumaka. Szalony Rosynant<sup>2</sup>, męcząc mię długo w różnych szprynglach<sup>3</sup>, spał się nareszcie na tylne łapy i zwałił się na wznak na mnie. Szczęściem, przewidując, wyciągnąłem nogi ze strzemion i uskoczyłem w bok, inaczej koń by mi piersi rozcisnął, a teraz skończyło się na lekkim szarpnieniu bokiem siodła. Coś mi się tu nie udają szpacjery.

### Do Jana Czeczota, Kowno, 31 maja / 12 czerwca 1823

Jestem zdrow, chrypka mnie po egzaminach na kilka dni oniemiała, teraz już mogę gadać. Piękne dni, szpacjer częsty niemało ożywia na pół martwą istotę. Klacz moja<sup>4</sup>, niedawno uzdrowiona, nosi mnie po górach i dolinach, zda się mnie rozumieć i ledwo nie mówi ze mną; na przechadzce puszczam ją, idzie z daleka za mną, pozwala patrzeć i rozmyślać; zawołana, stawi się na rozkaz.

PRZEDRUK ZA: A. Mickiewicz, *Listy. Część pierwsza 1815–1829*, Dzieła, t. XIV, oprac. M. Dernałowicz, E. Jaworska, M. Zielińska, Warszawa 1998, s. 105, 295.

---

1 Słomki, słonki – ptaki z rodziny bekasów.

2 Rosynant – koń Don Kichota.

3 Szpryngle, z niem. skoki.

4 Klacz Beauty, z ang. Piękność – dar od Maryli.

### Do Zofii Ankwiczowej, Neapol, 13 czerwca 1830

Poznałem arcybiskupa<sup>5</sup> i ze wszystkich [znajo]mości neapolitańskich u niego tylko bywam. Bardzo Poko[chałem] starca. Często on i mile wspomina pannę Henrietę i p[o] [s]woich kotkach najczęściej o niej mówi. Walec<sup>6</sup> nosi w kieszeni, dał go pannie Klustin do przepisania i do nauczenia się, ażeby mu potem zagrała. Zgodziliśmy się z Odyńcem, że po Kardynale<sup>7</sup> jest to najprzyjemniejszy ksiądz w całym chrześcijaństwie.

### Do Stefana Garczyńskiego, Paryż, 12 stycznia 1833

Dedykacja musi być odmieniona, to jest pierwsze trzy wyrazy z tytułem wyrzucone<sup>8</sup>, dla tysiąca przyczyn, a najwięcej, że mi tak serce dyktuje. Pieśń o pchle<sup>9</sup>, jeśliś mógł odmienić na coś narodowego? bo mi przykro, że Fausta przypomina! Może ja wynajdę lub zrobię jaką piosenkę, jeśli zezwolisz, która by z dalszym ciągiem kwadrowała, tak aby ani jednego z dalszych wierszy nie wyrzucić. Szczury<sup>10</sup> wyborne, wyborne!

### Do Stefana Garczyńskiego, Paryż, 8 kwietnia 1833

Kochany Stefku.

Odebrałem twój hymn, który należy do najpiękniejszych twoich i naszej literatury tworów, i kochałbym go jeszcze więcej, gdyby tyle tobie nie był zaszkodził<sup>11</sup>. Zmiłuj się, już nic nie pisz i nie myśl,

5 Giuseppe Capececiaturo (177–1836) – arcybiskup Terentu, prymas Królestwa Obojga Sycylii, minister spraw wewnętrznych za Józefa Bonapartego i Murata; niechętny polityce papieskiej. Po upadku Napoleona usunął się z życia publicznego.

6 Walec.

7 Kardynał – Marcelina Łempicka, nazwana tak przez Odyńca z powodu jej „surowej powagi” (Odyniec II 128–129).

8 Pierwotnie dedykacja *Wacława* dla Mickiewicza zaczynała się od słów: „Mistrzowi poetów polskich”.

9 *Wacława dzieje*, cz. 1, rozdz. 5; śpiewana przez biesiadników pieśń o pchle jest swobodnym przekładem z *Fausta* Goethego.

10 Pieśń o szczurach śpiewa w tymże gronie biesiadnym Nieznajomy.

11 Wiersz bez tytułu (inc. *Piersi moje zbolale...*), napisany w Dreźnie 10 marca 1833 roku, który – jak donosił Garczyński – „sprokurował” mu pogorszenie stanu zdrowia.

pókiś chory. Ucisz w sobie człowieka, a pielęgnuj zwierzątko; reperuj okręt, a potem kapitan zacznij robić obserwacje i bijać harmaty.

**Do Antoniego Edwarda Odyńca, Bex, 10(?) lipca 1833**

W Bex dotąd lał deszcz nieustanny i mgła na górach ledwie teraz rozrzewniała. Gdybym miał wielkie sumy, sprowadziłbym cię tu z Zosią i siedzielibyśmy, póki coś nowego nie zajdzie na świecie. Kupilibyśmy parę krów szwajcarskich i koguta, żeby pod oknem piejąc, Litwę nam przypominał; kupilibyśmy też gęsi i indyków ett.

**Do Marii D'Agoult, Paryż, 3 czerwca 1837**

Vous faites bien de presser votre depart; l'Italie est magnifique en été, comme les pays du Nord au printemps. Quel dommage que ma pauvre Lithuanie est si loin! Je vous engagerais d'y faire une excursion avant la fin de ce mois. Il y a dans notre pays une montagne que l'on appelle la montagne aux cent mille rossignols. Je voudrais que Monsieur Liszt pût entendre le concert qui s'y donne à l'heure qu'il est<sup>12</sup>.

Słusznie Pani przyspiesza swój wyjazd; Włochy są wspaniałe w lecie, podobnie jak kraje północne na wiosnę. Co za szkoda, że moja biedna Litwa jest tak daleko! Zachęcałbym Panią do wycieczki tam przed końcem tego miesiąca. Jest w naszym kraju wzgórze, które nazywa się wzgórzem stu tysięcy słowików. Rad bym, żeby p. Liszt mógł usłyszeć koncert, jak się tam rozlega o tej porze.

<sup>12</sup> Wzmianka może się odnosić do okolic Kowna, o których czytamy w *Konradzie Wallenrodzie* (Wstęp, w. 35–37):

Tylko słowiki kowieńskiej dąbrowy  
Z bracią swoimi zapuszczańskiej góry  
Wiodą, jak dawniej, litewskie rozmowy

Ale zapewne raczej do Góry Zamkowej w Wilnie, podobnie donośnej wiosennymi treliami słowików.

### Do Konstantego Parczewskiego, Paryż, 17 lipca 1838

Celina dziękuje panu za pamięć; wielką by miała<sup>13</sup> ochotę na pieska, ale ja ani mówić sobie nie dam o tym nowym przybyszu. – I żona też, rozmyśliwszy się, zgodziła się na to, iż nam teraz niepodobna zająć się edukacją pudelka, kiedy mamy dwoje piastunów<sup>14</sup>.

### Do Ignacego Domeyki, Lozanna, 15 lutego 1840

Żona moja od czasu ostatniej wielkiej choroby, o której ci pisałam tyle razy i nie chcę na nowo rozpisywać się, zdrowa i w ciąży. Misia zdrowa, już czyta po polsku i pończochę robi; o tobie często wspomina, a że teraz widuje obrazki zwierząt i ptaków amerykańskich, wszystkie odnosi do Coquimbo, gdzie jest Domejko, bo już ciebie dobrze wymawia. Szczególnie prosi, żebyś przywiózł kolibryków<sup>15</sup>! Ja dalbóg nie wiem, czy u was są kolibryki? Napisz mnie szeroko o zwierzętach i ptakach, które widzisz, bo wiesz, jak ja tego ciekawy.

### Do Ignacego Domeyki, Paryż, 12 października 1841

U mnie w domu wszyscy zdrowi. Żona od dawna tak zdrową nie była. Dzieci hodują [się] dobrze. Misia gra już mazurka i czeka ciebie, z pełną kieszenią kolibryków masz przyjechać.

PRZEDRUK ZA: A. Mickiewicz, *Listy. Część druga 1830–1841*, Dzieła, t. xv, oprac. M. Dernałowicz, E. Jaworska, M. Zielińska, Warszawa 2003, s. 44, 187, 199, 223, 359, 360, 411, 519–520, 667.

<sup>13</sup> Wg Kempy w odpisie Kraszewskiego: „wielką miała”.

<sup>14</sup> Władysław Mickiewicz w pierwodruku wyraża przypuszczenie, że poeta odmówił przyjęcia psa ze względu na luźne projekty wyjazdu na prowincję (zob. list 482). Jednak przed wyjazdem do Szwajcarii Marynia miała jakiegoś Azora i rozśmieszała ojca pytaniem: „Papo, czy Azor Polak, czy Francuz?” (Żywot 11, 406). Piastun – dziecko wymagające piastowania. Było ich dwoje, gdyż syn Mickiewiczów, Władysław, urodził się 27 czerwca 1838.

<sup>15</sup> Czyli kolibrów, które rzeczywiście żyją m.in. w Chile.



**Do Aleksandra Chodźki, Paryż, 1 kwietnia 1842**

Drogi ludzi różne, a na każdej z nich każdy człowiek takie spotyka fenomena, które są właśnie najstosowniejsze dla jego nauki. Ja w Alpach raz widziałem byka na urwisku góry walczącego z piaskiem, który osuwał się i niósł go w przepaść. Walka trwała dwie może godziny i byk wybrnął. Podróżni przechodzili mimo. Odyniec patrzył na zwierzę jak na aktora, a ja wyciągnąłem z jego ruchów naukę, która mi nieraz była pomocna, a raz wyrwała mię z niebezpieczeństwa moralnego.

**Do Ignacego Domeyki, Paryż, 21 listopada 1842**

Gay nie oddał mi ani głowy lwiej, ani piór. Nie chciałem mu narprzykrzać się.

**Do Ignacego Domeyki, Paryż, 14 grudnia 1843**

U mnie w domu zdrowi. Najmłodszy tylko synek chorowity, ale go nie znasz<sup>16</sup>. Starsza Misia już chce listy pisać do ciebie. Często dopytuje się o ciebie, bo wie, że już sześć minęło<sup>17</sup>. Kolibryków od ciebie spodziewa się.

**Do Wiery Chlustin, Langrune, 13 lipca 1847**

Ladis me démontre les avantages de se fixer ici. On vivrait huitres et des crabes (*frutti di mare*) pour toute la famille. Le jour de notre arivée, il nous a fourni un plat de moules de sa pêche. Mais il a abîmé ses souliers! Ladis et Marie ne vivent que dans la mer et ne rêvent que la mer.

Władzio wykazuje mi korzyści osiedlenia się tutaj. Żyłoby się za darmo. Obiecuje zbierać codziennie małże, ostrygi i kraby (*frutti di mare*) dla całej rodziny. W dniu naszego przyjazdu dostarczył

<sup>16</sup> Aleksander, urodzony w 1842 roku.

<sup>17</sup> Domeyko, wyjeżdżając do Chile, podpisał kontrakt na sześć lat.

nam półmisek małży swego połowu. Ale zniszczył buciki! Władzio i Marynia żyją tylko morzem i marzą tylko o morzu.

PRZEDRUK ZA: A. Mickiewicz, *Listy. Część trzecia 1842-1848*, oprac. M. Dernałowicz, E. Jaworska, M. Zielińska, Warszawa 2004, s. 62, 122, 204, 443, 444-445.

**Do Wierzy Chlustin, Konstantynopol,  
21 października 1855**

Je vous avoue même que ce n'est pas sans un certain plaisir que je m'arrêtais dans quelques quartiers de la ville qui me paraissaient parfaitement semblables à ceux de ma petite ville natale de Lithuanie. Imaginez-vous, par exemple, une place publique, couverte d'une couche de fumier et de plumes, où se promenaient tranquillement des poules, des dindons et toute sorte de bêtes au milieu des groupes de chiens qui faisaient la sieste. Mais pour arriver de cette place chez nous, il fallait suivre des ruelles que j'ai trouvées si primitives et si pittoresques, que je vous en epergne la description. Décidément, je ne vous engagerai plus à faire un voyage en Orient. Quant à moi je m'y suis, comme je vous l'ai dit, parfaitement habitué. D'ailleurs, je n'affronte qu'une fois par jour ces passages à travers les tas des rats crevés et des chats éventrés, et des Anglais ivres-morts, et des portefaix turcs qui barrent hermétiquement les deux côtés de la ruelle; une fois sur le Bosphore, on prend un bateau, et comme les personnes à qui j'ai affaire habitent les rives, mes courses n'ont rien de désagréable.

Wyznam Pani nawet, że nie bez pewnej przyjemności zatrzymywałem się w niektórych częściach miasta, które mi się zdawały zupełnie podobne do miejsc w moim rodzinnym miasteczku litewskim. Proszę sobie wyobrazić na przykład plac targowy, pokryty warstwą nawozu i pierza, gdzie się spokojnie przechadzają kury, indyki i wszelkiego rodzaju stworzenia wśród gromad drzemiących psów.

Aby jednak dostać się z tego placu do nas, trzeba było iść uliczkami, które wydały mi się tak prymitywne i tak malownicze, że oszczędzam Pani ich opisu. Stanowczo już nie będę namawiał Pani do podróży na Wschód. Co do mnie, przyzwyczaiałem się do tego – jak to już powiedziałem – zupełnie. Zresztą zdobywam się tylko raz dziennie na te przeprawy poprzez kupy zdechłych szczurów i rozplątanych kotów, poprzez Anglików spitych na umór i tureckich tragarzy, którzy szczelnie zagradzają obie strony uliczki; doszedłszy już nad Bosfor, wsiada się na łódź, a że osoby, z którymi mam do czynienia, mieszkają na wybrzeżu, moje wycieczki nie mają w sobie nic nieprzyjemnego.

PRZEDRUK ZA: A. Mickiewicz, *Listy. Część czwarta 1849–1855*, oprac. M. Dernałowicz, E. Jaworska, M. Zielińska, Warszawa 2005, s. 364–365, 366.

## Listy

Juliusz Słowacki (1809–1849)

### Do Aleksandry Bécu, Warszawa, 13/25 lutego 1829

Podróż mimo najtęższych mrozów miałem bardzo przyjemną i prędką jechałem pocztą i we dwa dni po wyjeździe z Krzemieńca, tak jakby ze snu obudzony, zobaczyłem się na ulicach Warszawy, ale za pierwszym moim na te ulice wyjściem miałem niepospolity przypadek, parę koni, unosząc powóz i pozbywszy się już stangreta, w szalonym pędzie przeskoczyły przez sanki, którymi ja jechałem, i przeskoczywszy przez nie, zaraz padły. Schylony aż do ziemi, cudem prawie niepojętym uniknąłem ich kopyt, ledwom się wyrwał z lejc, któremi mnie oplatały, ty, która w sny i przepowiednie wierzysz, osądź, czy ten przypadek zdarzony przy pierwszym wyjściu na ulice Warszawy, dobry mi to w niej lub zły pobyt wróży. O wypadku tym, bojąc się jakiego przykrego wrażenia, nic nie pisałem do Mamy i ciebie proszę, żebyś pisząc, o tym do Krzemieńca nie wspominała.

### Do Matki, Warszawa, 15 września 1830

Śliczny starego Ursynów, zarosły wielkimi drzewami, bardziej do dzikiego lasu niż do ogrodu podobny – w wielu miejscach małe widać łąki, na których wybiera pasze jedyna krowa Niemcewicza; z tej krowy, jak mi sam mówił, ma dwa złote na tydzień przychodu.

### Do Matki, Wrocław, 17 marca 1831

Do Wrocławia jechałem przez Zulau<sup>1</sup>, gdzie widziałem piękny zwierzyńiec napemiony jeleniami – przez Kremnitz<sup>2</sup>, gdzie pokazywano mi plac batalii, gdzie Prusacy kiedyś zbili na głowę Austriaków.

<sup>1</sup> Zulu – Sułów Milicki.

<sup>2</sup> Kremnitz – nazwy takiej nie ma na najbardziej dokładnych mapach ani w słownikach geograficznych. Zawiodło również poszukiwanie tej miejscowości wedle wzmianki

### Do Matki, Paryż<sup>3</sup>, 7 marca 1832

To dotąd o mnie, teraz cokolwiek o Paryżu. Jest to ostatni dzień zapust. Przez te całe dni maski jeżdżą w kabrioletach otwartych po ulicach – ale to nie osoby pierwszego tonu. Najwięcej arlekinów – i pajaców. Dziś jednak spotkałem widok bardziej interesujący – jest to procesja wołu. Rzeźnicy wybierają najtłustszego woła, ubierają go w złociste szaty, złocą rogi – i sami przebierają się za dawnych rycerzy średnich wieków – i tak naprzód konno muzyka, potem tłum rzeźników na koniach w zbroi, potem dwa rzędy bogato przybranych rycerzy, majstrów cechowych – potem wół, który, jak mówią, trzy tysiące funtów waży, rzecz niepodobna do uwierzenia, choć prawdziwie wół ten zdawał mi się olbrzymim – po wole jedzie wóz przybrany, powożony przez woźnicę ubranego za Saturna, na tym wozie na przodzie trzech rycerzy, a na ostatniej ławce dziecię między dwoma ładnie przybranymi rzeźniczkami. To dziecię dawniej siedziało na wole, lecz raz się jedno z dzieci zabiło i od tego czasu na wozie je sadzają. Wół oddaje naprzód wizytę królowi, a potem wszystkim ministerialnym wołom. Wszędzie rzeźnicy dostają podarunki – nazajutrz zaś, to jest w popielec, zabijają wołu i wszędzie, gdzie był z wizytą, sztuki z niego rozsyłają. Smutnie patrzyłem na stworzenie, które jutro głowę pod topór odda. Czy mogliście sobie wystawić, aby wśród ucywilizowanego Paryża takie były farsy niezgrabne? Kiedy to piszę, pod moimi oknami dwie karyty odkryte, napełnione maskami, przejeżdżają.

### Do Matki, Paryż, 4 lipca 1832

Zwiedzałem niedawno ogród botaniczny – i gabineta – widziałem w ogrodzie żywe, ogromne lwy z Algieru – i żyrafę, która tak

---

o bitwie prusko-austriackiej. Być może chodzi o Trzebnicę (Trebnitz), co by się zgadzało z biegiem trasy, którą poeta jechał. W grę może jednak także wchodzić miejscowość Krośnice (Kraschnitz), przez którą prowadziła inna trasa z Sułowa do Wrocławia.

<sup>3</sup> List ten poeta zaczął pisać w „ostatni dzień zapust”, tj. we wtorek 6 marca. Ukończył go nazajutrz i wtedy postawił datę, ale 8 marca dopisał jeszcze końcowy fragment na kartce odciętej od listu Skibickiego.

niegdyś zawracała głowę damom francuskim. Nie znalazłem, aby żyrafa mogła damom głowę zawrócić<sup>4</sup> – strasznie niezgrabna, ale ogromnie wysoka.

#### Do Matki, 30 lipca 1832<sup>5</sup>

Ciesz mi się, że *Żmiję* wszyscy znajdują najlepszym, bo to jest mój ostatni poemat – widać więc, że postępują i kształcą się... Kniaźwicz chory ozdrowiał, przeczytawszy pieśń pierwszą, i skoczył z łóżka do czytającego – a generał Umiń[ski] pytał się raz na wieczorze Skibickiego, jak po francusku sumak, bo chciał jechać do Jardin de Plantes, aby to zwierzę widzieć...

#### Do Matki, Paryż, 3 września 1832

D. 3 sierpnia. Pojechałem na dwa dni do Wersalu, gdzie były różne fety<sup>6</sup> – i wielkie wody puszczano. Dobrze się przez te dwa dni zabauiłem – o wschodzie słońca wychodziłem na spacer do lasu, bo już się stęskniłem w Paryżu do drzew – i murawy – zwłaszcza do murawy rosą okrytej i pachnącej dziką wonią. O wodach wersalskich nic pisać nie będę, bo chyba bym powtórzył to, co w dawniejszym liście napisałem. Zawsze mi się najwięcej podoba sala marmurowa, której ściany à jour<sup>7</sup> zapełniają tryskające fontanny z marmurowych wazonów. Możecie wszystkim mówić, że w tej sali wiszą pająki z fontann brylantowych utworzone, a w tych nadpowietrznych pająkach wieczorem woskowe świece się palą. Jeżeli kto nie

4 Sens uwagi Słowackiego o żyrafie wyjaśnia notatka A. E. Odyńca w jego dzienniku podróży z lat 1830–1831. Pod datą 9 listopada 1830 roku Odyniec zanotował: „Zwiedziliśmy Jardin des Plantes, menażerię. Giraffa ma coś w sobie panińskiego – wdzięk w postaci i ruchach” (A. Pług, *Notatki z podróży do Paryża i Londynu Antoniego Edwarda Odyńca*, „Kłosy” 1889, nr 1247). Odyniec wyraził zapewne opinię, która krążyła po Paryżu.

5 Jest to data rozpoczęcia pisania listu. Końcowy jego fragment ma dodatkową datę dnia następnego.

6 Były to uroczystości z okazji odsłonięcia pomnika gen. Hoche’a. Odbyło się wtedy wręczenie sztandaru batalionów Saint-Cyr, dekoracja zasłużonych obywateli miasta oraz defilada oddziałów Gwardii Narodowej. Feeria wodna odbyła się w niedzielę 5 sierpnia (według zapowiedzi w „Journal des Débats” z 2 sierpnia t. r.).

7 à jour (fr.) – ażurowy, przezroczysty, z prześwitami.

uwierzy, będzie miał ze mną sprawę, gdy wrócę, ale dlaczegożby temu nie miano dać wiary? Wszakże dziwniejszą są rzeczą w Anglii powozy, do których z pary uwiane zakładają konie, konie, które zamiast owsa węgle ziemne jedzą<sup>8</sup>.

[...]

D. 27 sierpn. [...] W menażerii królewskiej, gdzie dawniej co miesiąc dla zwierząt dostarczano z pewnego okręgu miasta 15 zdechłych koni, teraz tylko dwa przysłano... więc trzynaście musiało dwunożne żywić zwierzęta.

### **Do Matki, Paryż, 8 grudnia 1832**

Właśnie w tych dniach przyjechał znów do Paryża z Anglii mój przyjaciel Anglik<sup>9</sup> – śmieszna dosyć figura, z czerwonymi włosami. Ręce jego stężały jak żelazo od boksowania się i cierpi na tym, że ze mną nie może się dalej w tej szlachetnej sztuce egzercytować. Nic nie umie po francusku – wszystkiemu zaś, co nosi polerowaną świata cywilizowanego postać, dziwi się jak dziecko – i co niedziela chodzi za miasto patrzeć na walkę zwierząt, na którą sam tylko najpodlejszy lud paryski patrzeć może, tak jest przerażającą.

### **Do Matki, Genewa, 15 lipca 1833**

Przez jakiś czas, póki wielka familija Ouwaroff bawiła w naszym domu, miałem nieco roztargnień. Z obu stron między nami panowała taka delikatność, żeśmy sobie uczuć nie dali różnicy narodowej – zdaje mi się nawet, że te osoby mnie dosyć polubiły, bo po odjeździe w listach pisanych do pani Patty dały mi długie dowody pamięci – a panna Aleks, odjeżdżając, zostawiła mi rysunek, przez siebie zrobiony, domu wiejskiego, w którym mieszkał niegdyś Byron bawiąc w Genewie...

---

<sup>8</sup> Pierwsza linia kolejowa w Anglii, na trasie Stockton – Darlington, otwarta została 27 września 1825 roku. Druga, na trasie Liverpool – Manchester, w roku 1830.

<sup>9</sup> Być może znajomy z Londynu (Mac Donell), o którym wzmianka w liście do matki z 20 października 1831 roku.

Kilka razy towarzyszyłem im konno na spacer. Jeden z tych spacerów, najprzyjemniejszy, był na góry otaczające jedną stronę Genewy... góry, z których mniejsza równa naszej Zamkowej Górze... Damy jechały w dwóch powozach, ja zaś dostałem sobie dosyć niezłą szkapę i tak przybyliśmy aż do stóp Salève... Tam wszyscy wsiedliśmy na osły. Moje zwierzątko, największe i najmocniejsze, prowadziło cały orszak, orszak wesoły, śmiejący się, błyszczący różnymi kolorami sukien damskich. Na górze czekało nas wiejskie śniadanie – na długim stole z desek pod gruszami i jabłoniemi... Potem oczy nasze rzuci[liśmy] na ogromną dolinę, po której płynie kręty Rodan – jezioro – w końcu jeziora najezona [dachami] Genewa – i kilkanaście innych miasteczek – łąki – drzewa – słowem, widok ogromny, rozległy, prawdziwie prześliczny...

#### **Do Matki, Genewa, 23 sierpnia 1833**

Obok mego pokoju ma mieszkanie la comtesse Seidwitz, wiek lat 65 – z wszelką grzecznością dla dam to piszę – trochę uróżowana, co dnia w innej sukni, wygorsowana – krzyż dworu wiedeńskiego, zawieszony na ogromnej kokardzie, nosi przy boku. Za nią zawsze lokaj, Niemiec, z dwoma poduszkami, które kładzie, gdziekolwiek baba usiąść zamierza. Z tym wszystkim jest to bardzo dobra osoba, wesoła, przyuczona u dworu do grzeczności, każdemu ma coś powiedzieć, bardzo lubi kalambury, wozi z sobą papugę, która kilka słów z okna krzyczy... a oprócz służącego ma służącą, Niemkę, którą sama pilnuje i na klucz zamyka przed wielkimi pokusami – a tak zamknięta panna oknem cały dzień wygląda i cały dzień śpiewa nieuczonym, lecz ładnym głosem, z akompaniamentem gitary. Biedna dziewczyna, prawdziwie jak papuga wygląda...

#### **Do Matki, Genewa, 27 kwietnia 1834**

Prawdziwą rozkoszą dla mnie są oba Kochanowscy. Co dzień odczytuję ich dzieła. Jak ten Jan K[ochanowski] był spokojny i szczęśliwy



w swojej chacie – z żoną, z dziećmi. Pod wyniosłą lipą Czarnolesia musiał sobie po obiedzie zasypiać – i do tej lipy tak piękne wiersze napisał. Prawdziwie mu zazdroścę jego chaty – lipy – żony – dzieci – i czasów szczęśliwych, w których żył...

#### **Do Matki, Genewa, 18 grudnia 1834**

Gdybym się nie lękał nadto romantycznego porównania, powiedziałbym, że z myślami moimi podobny jestem do psa, co się sam za ogon chce złapać i kręci się długo na jednym miejscu, na koniec znużony, wywraca się i zasypia przed kominkiem.

#### **Do Matki, Genewa, 5 lutego 1835**

Zima ta jednak była nadzwyczaj ostra w porównaniu z innymi zimami. Mieliśmy kilka dni śnieżnych i niektóre kanały zamarły. Cała publiczność ślizgała się na łyżwach, ja zaś musiałem wyznać, że nadto jestem niezgrabny i że nigdy nauczyć się latać po lodzie nie mogłem. Dzisiaj pierwszy raz tegorocznego słyszałem skowronka – gdzieś daleko w niebie błękitnym śpiewał nade mną – a u Was jeszcze wrony czarne muszą skakać po ulicach.

#### **Do Matki, Genewa, 24 maja 1835**

Znużony tym wieczorem, zaduchem salonów, blaskami lamp... wyszedłem przed wschodem słońca na brzeg jeziora. Ciche były wody jak błękitne zwierciadło – rybki wyskakiwały na wierzch. Tak mi się zdawały wesołe te rybki, które noc całą przepędziły w cichej wodzie – i nad rankiem pluszczą się i szukają świeżego powiewu... Coś w tym życiu rybek było bardzo sprzecznego z huczną nocą człowieka. – Marzyłem, patrząc na czerwieniące się niebo. Jakieś biedne kobiety przysły prać bieliznę nad jezioro – grablami naprzód odgarnęły muł brzegowy i kamyki, a potem rozrzuciły kosz cały prostej, czarnej bielizny. Nie wiem, dlaczego, ale to prozaiczne zatrudnienie ludzi dziwnie mię wzruszyło, mnie, ubranego w balowym stroju. Zmysły moje rozigrane, zdolne były do przyjmowania najmniejszych wrażeń...

Spostrzegałem okiem prawie łzawym sprzeczności między chwilami życia, między celami życia różnych ludzi – myć bieliznę albo patrzeć na wschód słońca i topić się w marzeniach... Po jakiej ogromnej drabinie te zatrudnienia musiałyby wchodzić i schodzić, aby się spotkać na środkowym szczeblu. Prawda, Mamo, że najszcześniejsze rybki, które połyskały srebrną skrzelą w chłodnej wodzie.

#### Do Matki, 2 sierpnia 1842

– Tę zimę jeszcze tu spodziewam się przepędzić, najawszy sobie dwa małe pokoiki, wyłączone południowym słońcem, bo w moim teraźniejszym mieszkańku słońca mi braknie, więc w dniu zimowe smutno – a jak smutno, to myśl ponurzeje i latać nie może. Słońce jest jedyną moją niewolą – ono mię zmusza do migracji ciągłych z ulicy na ulicę. – Oddałę się więc trochę od mojej staruszki 80-letniej<sup>10</sup>, sąsiadki teraźniejszej, która już teraz nad tym ubolewa i ciągle zaprasza na obiady – zda mi się, że Ci o niej pisałem. Jest to wdowa po generale dawnym – stara – i bardzo opuszczona przez ludzi – nawet przez krewnych – bardzo dobra staruszka, karmiąca wróble, które tysiącami zlatują się do niej – i często w moje okno zaglądną, świergocąc... Wizyta jej oddana jest pewną ofiarą, bo już trochę ślepa i głucha – ale ja z pewną świętością odwiedzam ją i mówię do niej z uśmiechem – bo wdowa, opuszczona...

PRZEDRUK ZA: *Korespondencja Juliusza Słowackiego*, oprac. E. Sawrymowicz, t. 1, Wrocław–Warszawa–Kraków 1962, s. 31–32, 55, 59, 99–100, 124, 25, 134, 138, 158–159, 196, 205, 239, 272, 280, 299–300.

---

<sup>10</sup> Z postacią tą wiąże się wiersz Słowackiego *Wspomnienie pani de St. Marcel z domu Chauveaux*, napisany wkrótce po jej śmierci.

**Do Matki, P., 2 października 1843**

Com uczuł, droga moja, spojrzawszy na Ocean, tego Ci wyrazić nie mogę. Między tym morzem a mną jest tajemniczy jakiś związek, sympatia – i ta musi być prawdziwa, albowiem nigdy inne morza nie miały dla mnie podobnego uroku. Zapach Oceanu, kolor jego zielonawy, brzegi Porniku takie, jak widziałem je w imaginacji, czytając Walterskotowego *Pirata*, to jest szare, skaliste, okryte chwastami; natura obca, ale znajoma, bo widziana kiedyś przecuciem, zapragniona sercem – a wśród tej natury tyle rzeczy, które odległe miejsca i czasy przypominały – czasem motylek, za którym biegałem nad Wilenką, zupełnie taki sam, a gdym go obejrzał, to każde oczko na skrzydełku znajome mi, każdy zygzaczek jak litera z dawnego pisma, w dzieciństwie gdzieś w pamięci zapisana – czasem pliszeczka nad morzem, zupełnie do tej podobna, do której niegdyś na dziedzińcu w Mickunach strzelałem... Słowem, nigdzie od wspomnień uciec nie można – nigdzie od łez – i od tęsknoty. A ta cała natura – gdybyś ty wiedziała, jak ona ciepła, wonna i kochance podobna, otoczyła mnie skrzydłami, zapraszała do odpoczynku, do odetchnienia – jak ona mi wyrzucała, żem się długo gorączkowym myśłem oddawał, a o niej zapomniał! jak w płotach ćwierkaniem makolągiew, wonią malin orzeźwiała mnie, zabraniała myśleć o trudzie, o ciągnięciu tego woza żywota, w którym my jak konie pracujemy! Jaka ona dobra i litosna dla strudzonych ludzi! – Podziękowałabyś jej, że Cię wyręczyła na miesiąc przy twoim synu.

**Do Juliusza i Wojciecha Stattlerów,****Paryż, Nowy Rok 1845**

Gdybym ja wiedział, czego ty szukasz, dzieciątko moje, choćby ta rzecz była marą i rzeczą z ducha czystej krainy wyjętą... postarałbym się modlitwą albo siłą prostą poety dać ci w widzialnym kształcie tę myśl, to widzenie, jak cacko i podarunek Nowego Roku. – Bo ja wiem, że w dzieciństwie tak szukałem duchów obracającymi się z wolna oczyma – a czarnoksiężnika przy mnie nie było – aż

z rozpaczny zacząłem być samemu sobie dawcą rzeczy duchowych. To mówię o pierwszym noworocznym podarunku dla ducha twego, bo gdybyś leżał teraz przy mnie w kołysce i rączki twoje wyciągał, to w rączki te włożyłbym godny królewskiego dziecka podarunek – oto pomarańczę jedną, którą mi dziś szlachetny dawny żołnierz polski ofiarował na ulicy, jak pies do taczek z owocami zaprzężony – pomieszany z tłumem przekupników paryskich – między wózkami rzeźników, które psy ciągnęły – on! – żołnierz polski – jako jeden z nich – u którego ja z odkrytą głową tę pomarańczę kupiłem – i sam zjem, aby mi sokiem czerwonym serce oblała...

PRZEDRUK ZA: *Korespondencja Juliusza Słowackiego*, oprac. E. Sawrymowicz, t. 2, Wrocław-Warszawa-Kraków 1963, s. 19, 63–64.



## Wykaz źródeł



- Andersen H. Ch.: *Dzienniki 1825–1875*. Wybór, przekład i opracowanie Bogusława Sochańska. Poznań 2014.
- Domeyko I.: *Araukania i jej mieszkańcy. Wspomnienia z podróży po Południowych prowincjach rzeczypospolitej Chilijskiej*. Tłum. J. Zamostowski. Wilno 1859.
- Domeyko I.: *Moje Podróże (pamiętniki wygnańca)*. T. 1–3. Przygotowała do druku, opatrzyła przedmową i przypisami E. H. Nieciowa. Wrocław–Warszawa–Kraków 1962–1963.
- Dziennik podróży Józefa Kopcia*. Przedmowa A. Mickiewicz. Paryż 1867.
- Elementarz dla dzieci polskich*. Paryż 1851.
- Felińska E.: *Pamiętniki z życia*. Seria 1. T. 2. Wilno 1856.
- Felińska E.: *Pamiętniki z życia*. Seria 2. T. 1. Wilno 1858.
- Fredro A., *Trzy po trzy*, oprac. K. Czajkowska, w: tenże, *Pisma wszystkie. Proza*, t. XI, część 1, oprac. S. Pigoń, wstępem poprzedził K. Wyka, Warszawa 1968.
- Gordon J.: *Przechadzki po Ameryce*. Berlin–Poznań 1866.
- Gorecka M.: *Wspomnienia o Adamie Mickiewiczu opowiedziane najmłodszemu bratu*. Warszawa 1875.
- Gospodarz Wiejski i Miejski czyli Dziennik Najpotrzebniejszym i Najpożyteczniejszym Wiadomościom Poświęcony, a mianowicie: rolnictwu, ogrodnictwu, leśnictwu, budownictwu; wychowaniu zwierząt domowych; pszczelnictwu, rybołówstwu, łowiectwu; sztukom, rękodziełom, rzemiosłom; porządkowi domowemu, spiżarni, kuchni; rozmaitościom itd.* Wydawany w połączeniu prac i starań przyjaciół umiejętności przemysłowo-rolniczych, przez Józefa Lipowskiego, rządowego profesora nauk matematycznych i rysunków liniowych. T. 1. Strazburg 1838.
- Grabowski J.: *Pamiętniki wojskowe*. Warszawa 1905.
- Hoffmanowa K. z Tańskich: *Pisma pośmiertne. Pamiętniki*. T. 3. Berlin 1849.
- Jeż T. T.: *Od kolebki przez życie*. T. 1. Kraków 1936.



- Korespondencja Juliusza Słowackiego*, oprac. E. Sawrymowicz, t. 1–2, Wrocław–Warszawa–Kraków 1962–1963.
- Mickiewicz A.: *Listy. Część trzecia 1842–1848*. Oprac. M. Dernałowicz, E. Jaworska, M. Zielińska. Warszawa 2004.
- Mickiewicz A.: *Listy. Część druga 1830–1841*. Dzieła T. xv. Oprac. M. Dernałowicz, E. Jaworska, M. Zielińska. Warszawa 2003.
- Mickiewicz A.: *Listy. Część pierwsza 1815–1829*. Dzieła T. xiv. Oprac. M. Dernałowicz, E. Jaworska, M. Zielińska. Warszawa 1998.
- Mickiewicz A.: *Listy. Część czwarta 1849–185*. Dzieła T. xvii. Oprac. M. Dernałowicz, E. Jaworska, M. Zielińska. Warszawa 2005.
- Morawski S.: *W Peterburku 1827–1838*. Wyd. A. Czartkowski, H. Mościcki. Poznań 1927.
- Niemcewicz J. U.: *Pamiętnik. Dziennik pobytu za granicą*. T. 2: 1833–1834. Poznań 1877.
- Niemcewicz J. U.: *Dzienniki 1835–1836*. Do druku przygotowała i przypisami opatrzyła I. Rusinowa. Warszawa 2005.
- Odyniec A. E.: *Listy z podróży. (Z Neapolu do Genewy)*. T. 4. Warszawa 1878.
- Odyniec A. E.: *Listy z podróży. (Z Warszawy do Rzymu)*. T. 2. Warszawa 1875.
- Odyniec A. E.: *Listy z podróży. (Z Rzymu)*. T. 3. Warszawa 1885.
- Odyniec A. E.: *Listy z podróży. (Z Warszawy do Rzymu)*. T. 1. Warszawa 1884.
- Ostrowski E.: *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich*. T. 1. Grodno 1859.
- Ostrowski E.: *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich*. T. 2. Grodno 1859.
- Pamiętnik Deotymy (Jadwigi Łuszczewskiej)*. Warszawa 1910.
- Puzynina G. z Guntherów: *W Wilnie i dworach litewskich. Pamiętnik z lat 1815–1843*. Wyd. A. Czartkowski i H. Mościcki. Wilno [1928].
- Weterynaryja popularna. Nauka poznawania i leczenia chorób zwierząt domowych wyłożona w sposób każdemu przystępny podług chlubnie znanych lekarzy weterynarii, Haubnera, Hertwiga, Kreutzerza, Wagenfelda, Rohlwesa, Veitha, i wielu innych, przez J. N. Kurowskiego wspólnie z lekarzem weterynarii, w kraju naszym od wielu lat praktykującym. Z dziesięcią tablicami*

- rycin w Warszawie, nakładem Aug. Emmanuela Glücksberga,  
księgarza przy ulicy Miodowej, n. 497. pod filarami, 1840.
- Wspomnienia z podróży do Syberii, pobytu w Berezowie  
i w Saratowie: spisane przez Ewę Felińską. T. 1. Wilno 1853.*
- „Gazeta Warszawska” 1812, nr 1, 3, 4, 7, 8, 9, 12, 15,  
18, 23, 24, 26, 28, 39, 41, 45, 104.
- „Pamiętnik Lwowski” 1819, marzec.
- „Telegraf” 1853, nr 10.



## **Spis ilustracji**



1. Kotka z kociętami  
Henriette Ronner: *Cat with Kittens*. 1844  
Public domain: <https://www.rijksmuseum.nl/en/my/collections/1802187--an-u/animales/objecten#/SK-C-163,0>
2. Wilk  
Print. publisher: firma Jos. Scholz  
Loup. / Wolf. / Lupo  
Public domain: <https://www.rijksmuseum.nl/en/collection/RP-P-OB-201.018>
3. Świnie  
Porcs / Pigs / Schweine / Porgi. / Zwijnen,  
firma Jos. Scholz, 1829–1880  
<https://www.rijksmuseum.nl/en/collection/RP-P-OB-201.044>
4. Mops  
Portrait of Edwin vom Rath's Pug, Conradijn  
Cunaeus, c.1880 c.1895  
<https://www.rijksmuseum.nl/en/collection/RP-T-1941-89>
5. Kot, wróble i pies  
Kat bespiedt vogels bij een slapende hond,  
Henriette Ronner, 1831–1909  
<https://www.rijksmuseum.nl/en/collection/RP-T-1892-A-2662>
6. Flaming karmazynowy  
Osteologia avium. A sketch of the osteology of birds. By  
T. C. Eyton, ESQ, FGS, FLS. Wellington, Salop 1867.  
<http://www.biodiversitylibrary.org/page/41398995#page/109/mode/1up>
7. Płomykówka z dzieckiem  
John Gould: *Birds of Asia*. Vol. 1. London 1850–1883.  
<http://www.biodiversitylibrary.org/page/37485738#page/96/mode/1up>

8. Orangutan  
*The naturalist's library*. Conducted by Sir William Jardine. Edinburgh 1833  
<http://www.biodiversitylibrary.org/page/23527230#page/109/mode/1up>
9. Prehistoria  
*Dictionnaire pittoresque d'histoire naturelle et des phénomènes de la nature*. By Z. Gerbe and oth. Paris 1833–[1840].  
<http://www.biodiversitylibrary.org/page/36059752#page/259/mode/1up>
10. Niedźwiedzie brunatne  
The Bears in the Gardens of the Zoological Society, Huish 1830  
<http://brightonmuseums.org.uk/discover/2016/07/23/bears-in-brighton/>
11. Latające ryby i ich łowcy  
*Histoire générale des voyages*. T. 2. Paris 1837, ryc. 17.
12. Lwica i lwiatka  
Charles d'Orbigny: *Dictionnaire universel d'histoire naturelle*. Paris 1849  
<http://www.panteek.com/DOrbignyM/index.htm>
13. Koń  
*Weterynaryja popularna. Nauka poznawania i leczenia chorób zwierząt domowych wyłożona w sposób każdemu przystępny podług chlubnie znanych lekarzy weterynarii, Haubnera, Hertwiga, Kreutzerza, Wagenfelda, Rohlwesa, Veitha, i wielu innych, przez J. N. Kurowskiego wspólnie z lekarzem weterynarii, w kraju naszym od wielu lat praktykującym. Z dziesięcią tablicami rycin w Warszawie, nakładem Aug. Emmanuela Glücksberga, księgarza przy ulicy Miodowej, n. 497. pod filarami, 1840, tab. 11.*

## Ilustracije





↑ 1.



Loup .

Wolf .

Lupo .

49

↑ 2.



Reizingsprent van het Schild in Rome N° 338

Pores

Pigs

Schweine

Porgi.

Zwijnen.

↑ 3.



↑ 4.



↑ 5.



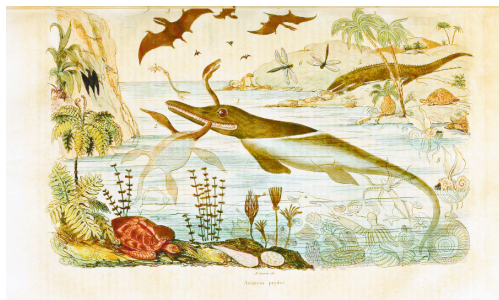
↑ 6.



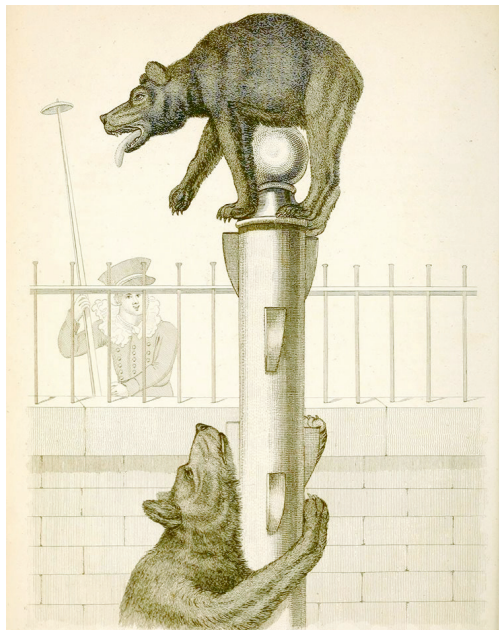
↑ 7.



↑ 8.



↑ 9.



↑ 10.

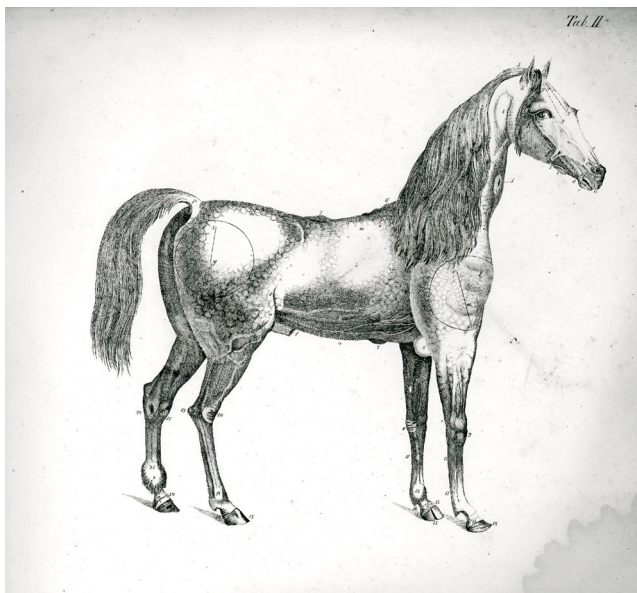


Latające ryby i ich lowcy

↑ 11.



↑ 12.



↑ 13.







**REDAKCJA:** Krzysztof Smólski  
**KOREKTA:** Nina Brzostowska-Smólska

**PROJEKT GRAFICZNY:** Daria Malicka  
**SKŁAD I ŁAMANIE:** Marcin Kiedio

Projekt Pracowni Romantycznej IBL PAN, nr: 0097/NPRH2/  
H11/81/2013, finansowany przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa  
Wyższego, opracowywany w l. 2013–2017



NARODOWY PROGRAM  
ROZWOJU HUMANISTYKI

**KIEROWNIK GRANTU I REDAKTOR NAUKOWY SERII:**  
dr hab. Marta Zielińska

**RECENZENT TOMU:**  
prof. dr hab. Józef Bachórz

**REDAKTOR PROWADZĄCY SERII:**  
Krzysztof Smólski

© Copyright by Beata Mytych-Forajter, 2017

© Copyright by Instytut Badań Literackich PAN, 2017

ISBN: 978-83-65573-99-5

Druk: Oprawa Sp. z o.o., ul. Dowborczyków 17, 90-019 Łódź